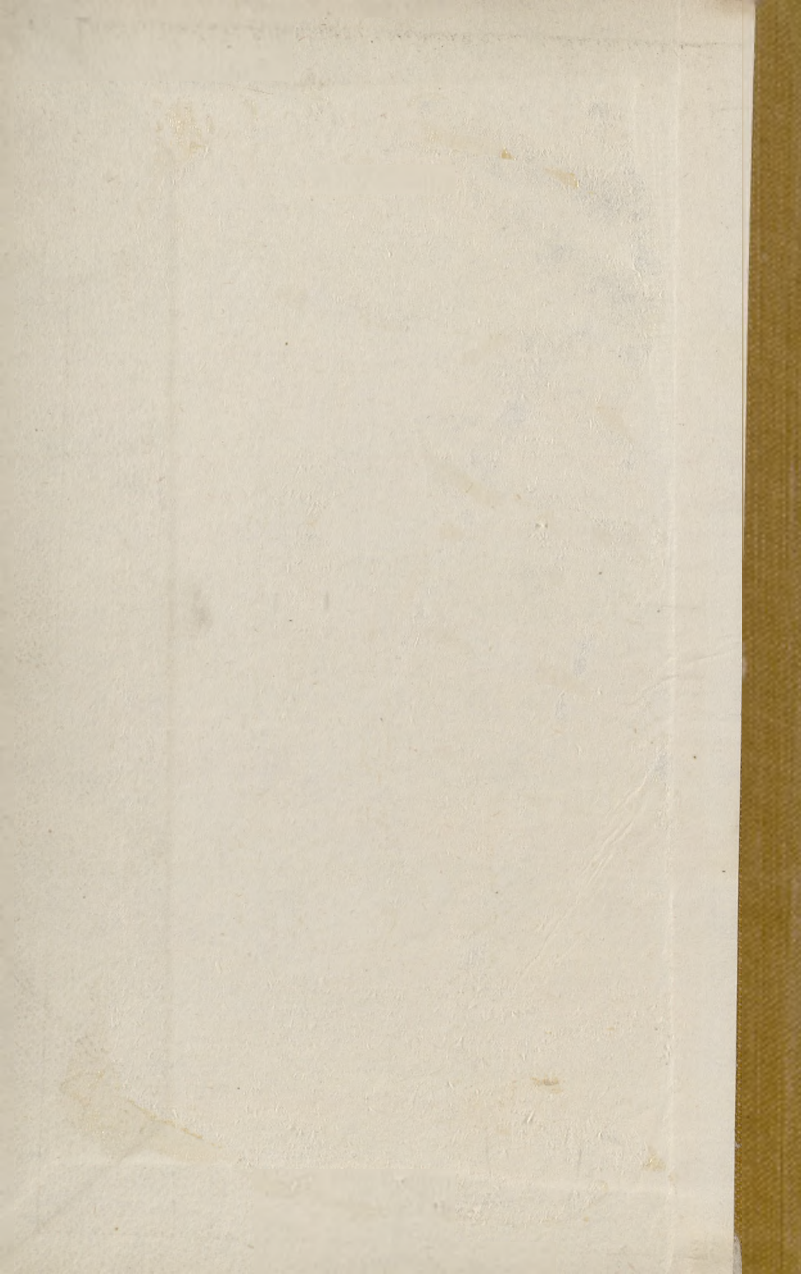
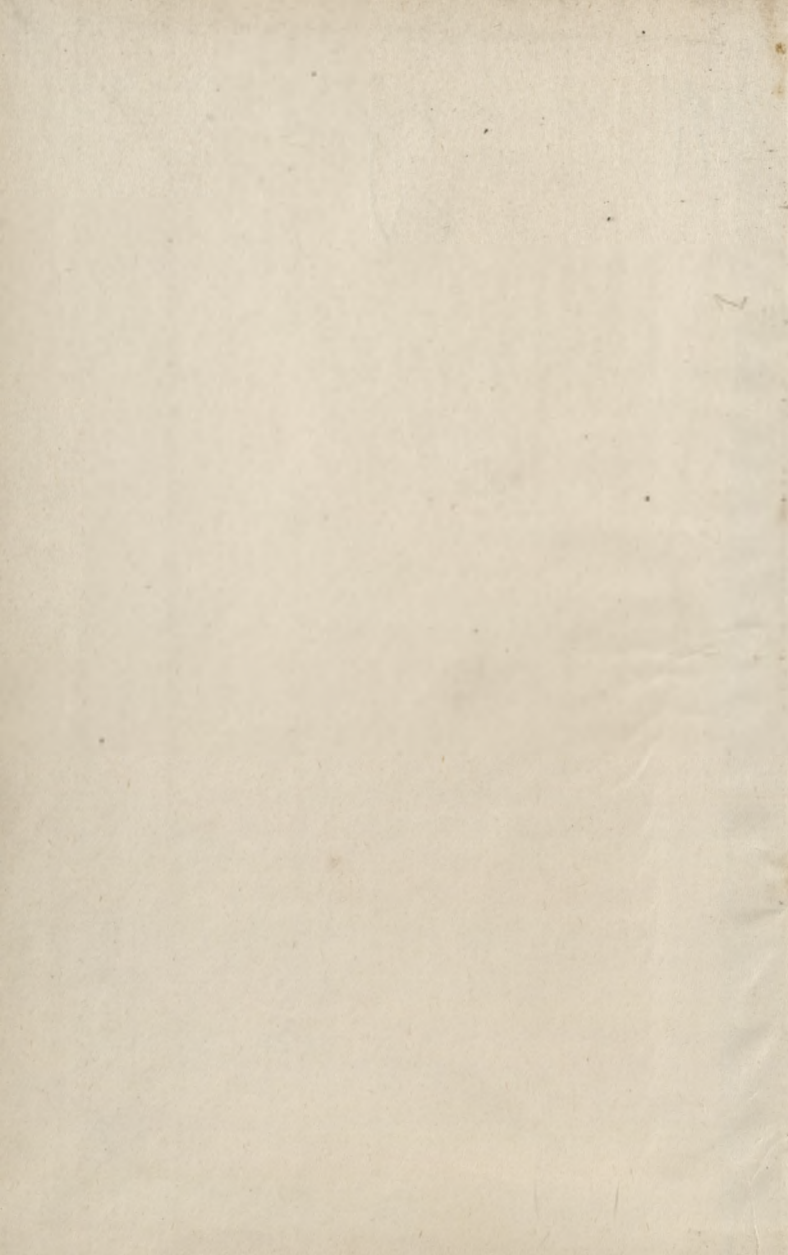




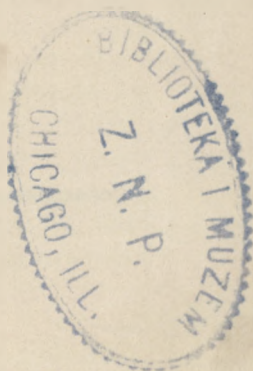
OK

D



429

WSPOMNIENIA OSOBISTE



D 429

DLA UCZCZENIA
40-letniej pamiątki powstania styczniowego

WSPOMNIENIA OSOBISTE Z POWSTANIA 1863 ROKU

SKREŚLIŁ

STANISŁAW GRZEGORZEWSKI

sierżant z pułku „żuawów śmierci”, porucznik wojsk narodowych
1863 roku



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1903



Wspomnienia moje o uczestnictwie w powstaniu narodowym 1863 r. obiecałem napisać moim przyjaciółom na jednej z wieczornic gniazda sokolego Borszczowskiego — i z przyrzeczenia się wywiązuję.

Do właściwej treści tych wspomnień, obejmującej szczegóły powszedniego życia powstańca w obozach, po galicyjskich kwartarach i opisu bitw, w których udział brałem, dołączam także opis udziału mego w ruchu narodowym przedpowstańczym, w tem mniemaniu, że w ten sposób utworzy się obraz więcej jasny mojej żołnierki i uwydatni się może rys jaki owych czasów.

W oddziałach wojsk powstańczych brałem udział pod dowództwem Langiewicza w pułku żuawów Rochebrune'a i pod Komorowskim w wyprawie na Poryck.

Pamięć żuawów jeszcze i teraz pozostała żywą u wszystkich, a »marsz żuawów«,

sławiający ich dzielność i męstwo, śpiewany bywa prawie na każdej uroczystości pa-tryotycznej. Więcej szczegółowe jednak dzieje tego pułku mało są znane; kto byli ci żuawi, czem się odznaczyli, czem zasłużyli sobie na pamięć w narodzie, mało kto już dziś wie zapewne. Monografia więc tego sławnego oddziału wojsk narodowych z roku 1863 byłaby bardzo pożądaną, a ja czułbym się być bardzo szczęśliwym, gdybym ją był mógł w całości skreślić. Niestety, brakło mi wiele danych; opisuję więc tylko te fakta, które znam, na które patrzyłem, w których udział brałem i te szczegóły, które zdołałem sobie przywołać na pamięć. Opis ten nie jest zapewne dostatecznym, ale, zdaje mi się, będzie jedynym skreślonym przez uczestnika i z tego względu może zainteresować.

Nigdy nie miałem wybitnego stanowiska w społeczeństwie, więc tak w okresie przedpowstańczym, jak i w powstaniu samem, byłem jednostką, z jakich się tysiące, tłumy składały. W zarysach, obraz dziejów moich w tych »Wspomnieniach« przedstawiony, może być przystosowany do każdego młodzieńca średniej klasy z owych czasów — dać więc może wyobrażenie

o duchu, jakim młodzież ówczesna tej sfery była ożywiona, a dzisiejszej młodzieży ukazać choć w części te ideały, jakimi pokolenie, skłaniające się obecnie do mogiły, przejęte było.

Dzieje moje, w tych »Wspomnieniach« opisane, może przyczynią się do odświeżenia pamięci o ostatniej naszej epopei, może staną się podniętą, zachętą, do obznajmienia się z tym porywem narodu do odzyskania praw mu należnych, może wreszcie poruszą jaką strunę patryotyczną w czytelnikach. O, wtenczas, praca moja, z przyjemnością podjęta dla zaspokojenia ciekawości przyjaciół, może mieć głębszą wartość, przynieść może jakiś pożytek sprawie ojczystej.

Oby tak było!

I.

Pobyt w Liège*).

W r. 1860 nie było w Królestwie innych wyższych szkół dla młodzieży, która opuszczała gimnazya, prócz Akademii Medycznej w Warszawie i Instytutu Agronomicznego w Marymoncie. Młodzież, której skłonności i stosunki osobiste inny wskazywały kierunek studyów, udawała się na uniwersytety do Moskwy, Kijowa i Petersburga. Do Petersburga wyjeżdżali też młodzi ludzie, chcący kształcić się na inżynierów — w przeważnej jednak liczbie wyjeżdżali w tym celu za granicę do Francji, Belgii i Niemiec na politechniki, aby tam nabyć specjalną wiedzę, której zużytkowanie w kraju zapewniało stanowisko w społeczeństwie zaszczytne, dobrze płatne,

*) Wymawiaj Li-eż.

a niezależne od karyery w służbie rządowej.

W owych czasach sławną była politechnika w Liège w Belgii, z trzema wydziałami: mechaniki — sztuk i rzemiosł — i górnictwa; miasto zaś samo ciche, spokojne, nie drogie, nadawało się bardzo na pobyt studentów, którzy tylko naukę mieli i mieć powinni byli na celu. To też z tych względów królewiaczy średniej zamożności do Liège przeważnie wysyłali synów swoich, chcących się kształcić na techników.

Ojciec mój, żołnierz w powstaniu w roku 1831, ranny pod Wolą przy wzięciu Warszawy, co nawiasowo nadmieniam, nie chciał mnie wysłać do szkół moskiewskich, a uwzględniając zdolności i chęci moje, postanowił za poradą przyjaciół wysłać mnie do Liège, abym tam wstąpił na wydział politechniki, który sobie upodobał.

W początkach więc sierpnia 1860 r., gdy już wyprawa moja była gotowa i formalności różne paszportowe załatwione, zaopatrzony w pieniądze, opuściłem dom rodzicielski i Warszawę, mając zaledwie lat 18. Na wyjeździe, matka zawiesiła mi na szyi medalik z Matką Boską Częstochowską, aby mnie chronił od wszelkiego złego i żegnała

krzyżem świętym; ojciec, na wsiadanem do wagonu, wypowiedział mi do ucha ostatnie słowa rad i ostróg:

— Pamiętaj, abyś całe życie był uczciwym i pocziwym człowiekiem!

Słowa te miałem i mam zawsze w pamięci; błogosławieństwo matki i medalik chroniły mnie od śmierci i wszelkiej złej przygody.

W kilka dni po wyjeździe z Warszawy znalazłem się już na miejscu przeznaczenia w Liège.

Żal ścisnął serce, przykro mi się zrobiło za swoimi, gdym się uczuł sam w obcym mieście, wśród obcego mi zupełnie społeczeństwa, a otucha dopiero wtedy w serce wstąpiła, gdy, odszukawszy kilku znajomych i kolegów, usłyszałem znów polską mowę i uścisnąć mogłem przyjaźnie podane mi dłonie rodaków. Przy pomocy tych znajomych znalazłem sobie mieszkanie z wiktą, a urządziwszy się na dłuższy pobyt, tak jak inni, zabrałem się do nauki.

Program egzaminu wstępnego na wydział mechaniki, na który zapisać się pragnąłem, obejmował wyższy zakres nauk matematycznych, niż z gimnazjum warszawskiego wyniosłem, musiałem się więc

w tym kierunku douczać; a gdy przytem wszystkie przedmioty szkolne przestudować musiałem na nowo w języku wykładowym politechniki, to jest we francuskim, miałem wówczas wiele pracy, której też systematycznie się poświęcałem.

W czasie mego przyjazdu do Liège, zastałem tam ze 40 Polaków studentów, na różnych wydziałach politechniki; tworzyli oni osobne towarzystwo akademickie, do którego zaraz po przybyciu wprowadzony zostałem i wstąpiłem. Towarzystwo to miało osobny swój lokal, utrzymywało dzienniki i posiadało wcale ładną bibliotekę. Niewinne gry, jak szachy, domino itp. były w lokalu dozwolone — ale w karty grać nie było wolno.

Na czele towarzystwa stali wówczas: Czarnowski, Loewenstein i Domański. Oni to, podtrzymując zasadę, że pierwszym obowiązkiem akademików Polaków jest praca, nauka i wzbogacanie umysłu swego, urządzali częste towarzyskie zebrania, mające na celu zaznajomienie młodych kolegów z wiadomościami, których nie dawała politechnika, a niezbędnymi dla każdego wykształconego człowieka. Na tych zebraniach członkowie odczytywali prace swoje litera-

kie, historyczne i inne, lub wiodły się dyskusye na różne z góry obmyślane poważne tematy.

Szczególniej odczyty z historyi polskiej nadzwyczaj dodatni wpływ wywierały; tchnęły one zawsze gorącą miłością sławnych dziejów naszych, gorącą miłością społeczeństwa naszego, a kończyły się najczęściej zwrotem o obowiązkach, jakie ciążyą na młodzieży względem kraju. Z odczytów tych wychodził każdy podniesiony na duchu, lepszy jakiś, zacniejszy — a zasylając tęskne myśli do ojczyzny, czynił postanowienia służenia jej godnie w całym życiu, dopomożenia, ile sił starczy, do dźwignięcia jej z upadku.

Prócz kolegów, stojących na czele towarzystwa, osobistością, mającą wpływ na młodzież polską w Liège, był kapitan Godzicki, emigrant z roku 1831, tam osiadły. Pan kapitan, przyjaciel Lelewela, mały człowieczek, wyprostowany zawsze, jak kijek, w szerokim halstuchu z czasów W-go Ks. Konstantego, był bardzo wykształconym człowiekiem i cały oddany na usługi młodzieży. On to na zebraniach akademickich w naszym towarzystwie rozbierał szczegółowo dzieła wielkich wieszczów naszych;

on wskazywał nam piękności »Dziadów«, »Nieboskiej Komedyi«, »Irydyona«, »Księdza Marka«, »Dziejów Wacława« i wielu innych poematów. On odkrywał w nich głębokość myśli, tłumaczył alegorye, podnosił zalety języka i artyzm kompozycji, on uczył umiejętnego czytania poezyi. Młodzież uczęszczała chętnie na wykłady kapitała, a przez uszanowanie jego wieku i zasług dla kraju, w uznaniu pracy jego w łonie towarzystwa, okazywała mu przy każdej sposobności serdeczną swoją wdzięczność i cześć zasłużoną.

Wogóle towarzystwo ówczesne akademików w Liège, bardzo a bardzo dodatni wpływ wywierało na członków swoich. Tam to wyrabiało się i utrwalalo w młodzieży to przekonanie, że fachowa wiedza, oparta na ogólnej oświacie umysłu, przedstawia dopiero możliwość oddania krajowi najlepszych usług, ofiarowania ojczyźnie najpiękniejszych owoców z pracy, jaką jej jest winna. Tam to w czasie odczytów i pogadanek spływał zawsze do młodych serc promień piękna, dobra i prawdy; tam uświadamiał się duch prawdziwego patriotyzmu.

Takie było to towarzystwo akademików Polaków w Liège i takim życie akademickie; tętno tego życia, przenikając wrażliwe, młode umysły, pozostawiło na każdym z uczestników, tak miemam, do śmierci niezatarte ślady, a w sercach każdego z pewnością miłe i wdzięczne wspomnienie.

W czytelni towarzystwa mieliśmy różne dzienniki. *Dziennik Poznański* odznaczał się wówczas najobfitszemi wiadomościami z ojczyzny — był też przez nas najczęściej czytany i lubiany. Z niego to wiedzieliśmy o każdym zdarzeniu, o każdym wypadku w Królestwie — wypadki te zaś, po moim wyjeździe z Warszawy, jedno za drugim szybko po sobie następowały, a nas utrzymywały w ciągłym podnieceniu.

Był to początek objawów zewnętrznych ówczesnego ruchu narodowego. My w Liège, będąc tak daleko poza krajem, nie byliśmy wtajemniczeni w motywa kierownicze tego ruchu, a dzienniki były jedynem źródłem naszych wiadomości. Wkrótce jednak mieliśmy sposobność dowiedzieć się czegoś więcej o znaczeniu wypadków w Królestwie i o zamiarach partyi rewolucyjnej.

Pamiętam, z wiosną 1861 r. przybył do Liège p. Jan Kurzyna w misyi politycznej od generała Mierosławskiego. Ten Kurzyna, w roku 1859 uczeń Akademii Medycznej w Warszawie i przewodniczący stowarzyszeń akademickich, uciekł był do Paryża przed prześladowaniem Moskali za udział w rozruchach studenckich i tam przyłgnął do sławnego generała-rewolucjonisty.

Celem przybycia Kurzyny do naszego Towarzystwa było wciągnięcie nas do organizacji, którą generał pragnął w życie wprowadzić między studentami zagranicznych uniwersytetów. W rozwinięciu życzeń generała, Kurzyna gorąco przemawiał; starał się nas przekonać o potrzebie takiego związku, przedstawiając jaskrawo ówczesny stan umysłów w Królestwie i wskazując na prawdopodobieństwo blizkiego zbrojnego wybuchu przeciw Moskalom. Mimo jednak wymowy tak wówczas między młodzieżą wpływowej osobistości, misya się nie powiodła, bo starszyzna nasza odradziła wszelką styczność z Mierosławskim. Delegat odjechał nic nie wskórawszy, zadowolony tylko z gościnnego przyjęcia, jakiego doznał.

Bytność Kurzyny między nami nie pozostała jednak bez wpływu. Po jego wyjeździe zastanawiano się i debatowano długo, głównie w sferach kierujących. Jak się zachować mamy wobec wiadomości, których nam udzielił i czy wogóle mamy jakąś akcyę rozwinąć. Radzono i radzono i wkońcu uradzono na wszelki przypadek przygotowywać się do powstania; w wykonaniu zaś tej myśli postanowiono kształcić nas teoretycznie i praktycznie w sztuce wojennej.

Z początkiem więc maja, Zboiński, major artylerji z r. 1831, mieszkający w Liège jakodyrektor fabrykiczy kopalni, zaczął nam wykladać zasady fortyfikacyi polowej, taktyki i strategii; porucznik zaś wojsk belgijskich, niejaki Bone, został uproszony, aby odbywał z nami mustrę i uczył w praktyce ruchów wojskowych.

Do mustry stanęliśmy wszyscy, więc było nas około 40 i przez cały czas trwania nauki, pilnie, z wielką ochotą uczęszczaliśmy na ćwiczenia, które się odbywały za miastem na wielkim trawniku. Dwa miesiące, zdaje mi się, chodziliśmy na te ćwiczenia, w ciągu których przerobiliśmy całą szkołę plutonu, ucząc się robienia

bronią i wszystkich ruchów tak w kolumnie, jak i w tyralierce. Prócz tego porucznik żądał, aby każdy z nas kolejno obejmował komendę i wykonywał wszystkie ruchy z powierzonym mu oddziałem, chcąc oswoić nas z wygłaszaniem komendy i przyuczyć do komenderowania.

Tak sięćwicząc, gdy w pierwszych dniach lipca, z początkiem wakacyi, skończył się nasz kurs wojskowy, każdy umiał już nie tylko całą mustrę plutonową, jako żołnierz, ale i sam mógł objąć komendę i kierować ruchami; — w razie więc potrzeby, mógł już zostać instruktorem rekrutów.

Wywdzięczając się porucznikowi Bone za jego bezinteresowną dla nas pracę, za dostarczenie nam karabinów do ćwiczeń i nadzwyczajną uprzejmość w obejściu, ofiarowaliśmy mu parę ozdobnych pistoletów w upominku.

W tymże czasie, gdyśmy odbywali ćwiczenia wojskowe za miastem, uczyliśmy się także fechtunku na pałasze i bagnety w mieście, w sali szermierki, od nauczyciela specjalisty. Również w tymże czasie uczęszczaliśmy na wykłady majora Zboińskiego, które się odbywały w lokalu towarzystwa naszego, najczęściej przed obiadem,

Major miał bardzo obszerne działy umiejętności wojskowych do przedstawienia nam w bardzo krótkim czasie, więc naturalnie mógł nam podać trochę tylko encyklopedycznych wiadomości; zawsze jednak coś z tej nauki zostało w pamięci i mogło dać cenne wskazówki postępowania w razie potrzeby.

W ten to sposób, przyszłe powstanie miało już z nas materyał wojskowy trochę wykształcony i przygotowany.

II.

Manifestacje warszawskie.

Okolo tego czasu, gdym się ćwiczył w szkole plutonu, ojciec mój zachorował na zapalenie płuc; przy końcu zaś lipca otrzymałem telegram wzywający mnie do Warszawy, bo ojcu się pogorszyło. Przyjechałem na tydzień przed jego śmiercią, która nastąpiła 6 sierpnia 1861 r.

Straszny cios, który nas oboje z matką dotknął, pograżył nas na długo w bolesnem odrętwieniu — mnie zaś przybyło jeszcze nowe strapienie, matka bowiem zachorowała na nerwy i przez parę miesięcy po pogrzebie ojca kilka razy dziennie w spazmatyczny płacz padała.

Czas jednak goi wszelkie rany, koi wszelkie cierpienia i smutki, powoli i matka się uspokajała — i ja też, zwykłą rzeczy kolejną, przychodziłem do siebie.

Jak tylko odzyskałem zdolność spo-

strzegawczą, zauważyłem niezwykłą zmianę tak w zewnętrznym wyglądzie mieszkańców stolicy jak i w ich usposobieniu.

Warszawa jakoś poważnie teraz wyglądała; mężczyźni z oznakami grubej żałoby chodzili w czamarach, nosili bekiesze z potrzebami na piersiach, tak zwane »chłopki« i półwysokie kapelusze oszyte krepą. Kobiety nosiły także grubą żałobę; miały czarne suknie oszyte białymi taśmami u dołu i czarne kapelusze z woalem krepowym.

Zetknąwszy się z kolegami, dowiedziałem się, że ten strój żałoby przybrała ludność Warszawy po poległych w czasie manifestacyi uczuć narodowych w dniu 27-go lutego i 8-go kwietnia tego roku.

W dniu 27 lutego, podczas wielkiej manifestacyi odbytej na pamiątkę bitwy Grochowskiej, moskale pierwszy raz strzelali do bezbronnych tłumów i zabili 5-ciu ludzi. Tym niewinnym ofiarom barbarzyństwa i głupoty moskiewskiej, ludność Warszawy urządziła wspólny pogrzeb, na którym jednomyślnie w strojach żałobnych wystąpiła. Na ich też mogiłach, na cmentarzu powązkowskim gromadzono się następnie co dzień, naturalnie w strojach żałobnych

i śpiewano pieśni pobożne i patryotyczne.— I w ten to sposób strój żałobny stał się ubiorem niezbędnym w codziennem życiu każdego Warszawianina.

Dnia 8-go kwietnia, z powodu rozwiązania Towarzystwa Rolniczego odbyła się nowa wielka manifestacya patryotyczna. Manifestanci zeszli się przypadkiem na placu zamkowym około kolumny Zygmunta III-go z procesyą kościelną, idącą z przeciwnnej strony od Bernardynów, a w czasie tego spotkania, moskale znów dali ognia do tłumów i zabili tą razą kilkuset ludzi.

Nasz genialny Grottger tę chwilę właśnie z wielką prawdą przedstawił w znanej wszystkim rycinie.

Nieszczęśliwych poległych wówczas nie pozwolili moskale zabrać, lecz sami uprzątały z placu i topili w Wiśle, aby nie dopuścić do pogrzebu i zatrzeć doniosłość dokonanego mordu. Teraz już choć bez pogrzebu, ale wszyscy wogóle w Warszawie przyodziali grubą żałobę po tych poległych i zaczęli ją nosić obowiązkowo.

Powszechna ta żałoba, dziwnie wzruszające wywołała wrażenie. Przybywający wówczas do Warszawy, tak jak ja, w pełni tej manifestacyi, czuli, że jakieś nieszczę-

ście stać się musiało, że jakiś cios głęboki musiał dotknąć mieszkańców, którzy boją, boleści ukryć nie mogą i żal swój strojem żałobnym objawiają.

W owym czasie jednak nietylko Warszawa była w żałobie; manifestacyjne stroje stolicy rozpowszechniły się błyskawicznie po prowincyi aż do granic Rzplitej i dały początek żałobie narodowej. Od warszawian strój żałobny przyjęty i noszony stale i wszędzie przez wszystkie warstwy ludności, nadał właściwą cechę całej Polsce w epoce przedpowstańczej i symbolicznie wyrażał żalobę narodu po straconej wolności Ojczyzny i boleść z powodu srogiego ciemnienia wrogów. To też cały świat ówczesny, oceniając wypadki w Polsce, okazywał nam swoje sympatye i objawiał współczucie dla narodu w żałobie.

Teraz także dowiedziałem się od kolegów, że wraz z oznakami żałoby, zaczęła ludność Królestwa przyjmować dawny strój polski; moskale jednak na to nie pozwolili i aresztowali każdego, kto ośmielił się pokazać publicznie w kontuszu, żupanie i konfederatce. Owe chłopki, które noszono powszechnie i niskie kapelusze, stanowiły

rodzaj stroju kompromisowego między rządem i ludnością; między rządem, który wówczas tolerował te chłopki i ludnością, która zamaifestować chciała zewnątrznie w jakikolwiek bądź sposób — jeżeli nie szlacheckim, bodaj chłopskim krojem sukni — swoją odrębność narodową. W tym kroju sukien ukrywała się także myśl głębsza; uwidaczniał on powrót do tradycyi Kościuszkowskich i wskazywał kierunek politycznych dążeń ówczesnej inteligencji — co moskale dopiero później zrozumieli.

W łączności z tymi krwawymi wypadkami, ze strojem i nastrojem żalobnym warszawian — zastałem ludność stolicy wówczas manifestacyjnie rozmodloną. Co dzień gromadzono się licznie po kościołach i domach modlitwy innych wyznań; księża, pastrowie, rabini, miewali patryotyczne kazania, a śpiewy: »Boże coś Polskę« i »Z dymem pożarów« rozbrzmiewały po świątyniach. Powiew wolności, pewnego rodzaju swoboda, jaką się odczuwało w domach bożych od ucisku moskiewskiego, wywoływały niezwykle podniosłe wrażenie. A gdy w przepelnionym kościele wznosił się chór potężny: »Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Paniel« były przykłady, że

wrażliwszym serce pękało z rozrzewnienia ¹⁾.

Dnia 10 października odbyła się wspa-
niała manifestacya narodowa, z powodu po-
grzebu arcybiskupa Fijałkowskiego, w któ-
rej już osobiście udział brałem.

Arcybiskup Fijałkowski z wypadkach
z lutego i kwietnia stanął otwarcie po stro-
nie ludu wobec rządu i przy każdej spo-
sobności w owych czasach okazywał łą-
czność własnych uczuć patryotycznych
z uczuciami swoich owieczek. Nawet na
łożu śmiertelnem zalecał duchowieństwu,
aby nie opuszczało narodu, aby pamiętało
zawsze, że jest polskiem duchowieństwem.

Takim patryotyzmem przejęty arcypa-
sterz, musiał sobie zjednać miłość i sza-
cunek ogólny. Wdzięczność ludu, chęć za-
znaczenia ze swej strony uwielbienia dla
cnót zmarłego, chęć uczczenia dygnitarza
narodowego, były powodem do wspania-
łego pogrzebu, jakiego Polska przedtem
nigdy nie widziała. Lecz nie tylko war-
szawiacy, ale i cała archidiecezya przy-

¹⁾ Znałem p. Markiewicza, utrzymującego pen-
sjonat męski w Warszawie, który w ten sposób
życie zakończył.

jęła udział w tym obrzędzie, nadto mnóstwo inteligencji z całego Królestwa, przybyłej w tym czasie z powodu otwarcia Szkoły Głównej.

W jakim składzie i porządku odbywał się pochód pogrzebowy, nie pamiętam dokładnie, — ale pamiętam moc księży, zakonników, zakonnic, seminarya, bractwa, cechy, procesye włościan z archidiecezyi, przyprowadzone przez swoich proboszczów, las chorągwi kościelnych i narodowych i mnóstwo, mnóstwo światła. Brało udział także w kondukcie duchowieństwo wyznania lutereckiego i kalwińskiego, — rabinat warszawski z 10-iem przykazania — wszyscy w uroczystych strojach. Brali udział uczniowie szkół zszeregowani pod przewodnictwem nauczycieli; — nawet konsuLOWIE, przedstawiciele państw obcych. Jednem słowem wszystkie instytucye zorganizowane i wybitne w mieście osoby postępowały w szeregach konduktu. Przy końcu tego konduktu, który posuwał się środkiem ulic, a długi był może jakie pół mili, na purpurowych marach niosło trumnę arcypasterza naprzemian wyższe duchowieństwo i znakomitsi obywatele.

Wogóle cały ten kondukt wywoływał

bardzo poważny i podniosły nastrój w uczestnikach, a smutne żałobne śpiewy i jęki dzwonów ze wszystkich kościołów potęgowały jeszcze te wrażenia. Pogoda też była cudowna, tak że cała Warszawa udział w tej pogrzebowej uroczystości wziąć mogła. Ow długi orszak żałobny, prowadzony przez najwspanialsze ulice i place, postępował ciągle wśród zbitych mas publiczności, a widziany z jednego punktu — tak jak przezemnie, ze schodków przy sklepie Dobrycza na Krakowskiem Przedmieściu — parę godzin przesuwiał się przed okiem patrzącego.

Porządek w czasie pogrzebu był wzorowy, a utrzymywała go straż obywatelska; karność zaś wszystkich była tak wielka wobec tej straży, że spokój uroczysty nie był zakłócony nawet najmniejszym wybrykiem. Policya moskiewska gdzieś się pochowała, moskala nikt nie widział.

Był to więc wspaniały iście królewski pogrzeb, a przeszło 100 tysięczny orszak ludu, towarzyszący zwłokom tego prymasa polskiego, nadawał mu cechę obrzędu narodowego. Ale co mu nadawało cechę manifestacyi politycznej, to te chorągwie o barwach narodowych z orłami polskimi i wie-

niec cierniowy niesiony za trumną przez dzieci w żałobnych strojach, w środku którego umieszczone były dwie korony: Polska i Litewska. Te insygnia królewskie niesione za trumną, symbolicznie przedstawiając godność zmarłego, nadawały obrzędowi cechę pogrzebu zastępcy króla, którego Polska nie posiadała — pogrzebu rzeczywistego prymasa w czasie bezkrólewia, za jakiego uważano zmarłego arcybiskupa.

Na ten pogrzeb, na tę manifestację nikt nie zwoływał, nikt nie naganiał; — a każdy tam dążył, każdy był; każdy tam chciał dać wyraz swej łączności we wspólnem uczuciu narodowem. Wszyscy również mieli świadomość doniosłości tej patriotycznej demonstracyi, śmiałości wystąpienia wobec rządu moskiewskiego i grozy możebnych skutków; — lada chwila bowiem mogło się stać coś takiego, że wypadki z lutego i kwietnia z łatwością powtórzyć się mogły. Bez względu jednak na niebezpieczeństwo, tłumy całą duszą zespoliły się w jednym uczuciu — chciały dowieść gotowości swej do poświęceń dla idei, zaznaczyć jedno polskie serce, bijące w tysiącach.

Ja pierwszy raz uczestnicząc w tak

wspaniałej manifestacyi, nie mogłem opamiętać wzruszenia. Ja nie tylko oczami, ja całym sercem patrzyłem, ja całym sercem widziałem chorągwie nasze narodowe, widziałem Orły Białe w Warszawie. Jam odczuł oddech swobodny Ojczyzny mojej; ja czułem, ja widziałem potęgę tego tchnienia, którego żadne wysiłki wrogów stłumić nie były w stanie! — O! z pewnością manifestacya ta pozostawiła nie tylko w sercu mojem, ale i w sercach wszystkich uczestników niezatarte wrażenia, których wspomnienie samo po 40 przeszło latach rozrzewnia jeszcze a zarazem dodaje otuchy.

Manifestacya ta była i doniosłą w skutkach. Przybyli włościanie z różnych stron Królestwa, serdecznie byli przyjęci przez mieszkańców Warszawy i hojnie ugaszczani, a zetknięcie się tak patryotycznej publiczności z włościanami wywiązało poufały, przyjazny, wzajemny stosunek i wpłynęło wraz z podniosłą uroczystością, w której udział brali, na rozbudzenie w nich poczucia jedności i przynależności narodowej. Włościanie ci, jako też i inni przybysze z prowincyi rozniesli następnie po całej Kongresówce opowieść o wspaniałym pogrzebie polskiego arcybiskupa i przyczyn-

nili się bardzo do rozbudzenia patryotyzmu po wsiach i miasteczkach.

W tym także celu rozbudzenia w masach idei narodowej, miała się odbyć 10. października, a więc w dniu pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego, druga manifestacya w Horodle nad Bugiem, przy współudziale Rusinów i Litwinów, na pamiątkę i dla wznowienia unii trzech narodów, zawartej w r. 1413. Wkrótce jednak rozeszła się wieść po Warszawie, że moskale przeszkodzili tej manifestacyi. Kilkanaście tysięcy ludu, zgromadzonego na miejscu po obu stronach Bugu, nie dopuszczono do połączenia się i biedacy z Kongresówki tylko zdaleka mogli wyciągać ręce do uścisku dłoni, które im Rusini i Litwini wyciągali przyjaźnie z drugiej strony rzeki. Wojsko i armaty moskiewskie rozłączyły dzieci jednej matki od bratnich wynurzeń, jak rozłączyły i rozłączają od stu przeszło lat ich pożycie rodzinne.

W dniu 15 października, jako w rocznicę śmierci Kościuszki, znów zamierzono w Warszawie odprawić po kościołach solenne nabożeństwo żałobne.

Moskali jednak drażniły już dawno te stroje, te ciągle modły publiczne, te obja-

wy patryotyzmu i wrogie dla ich rządów demonstracye. Wobec więc zapowiedzianej na wielką skalę nowej manifestacyi, postanowili z całą siłą przeciwko niej wystąpić i nie dopuścić do jej wykonania. W tym celu postanowili ogłosić stan wojenny w kraju całym i w życie wprowadzić myśl, która wśród nich już od marca nurtowała.

Dnia 14 października wydał namiestnik proklamacyę do ludności, ogłaszającą wprowadzenie stanu wojennego i sądów doraźnych w Królestwie. W Warszawie rozlepiono po wszystkich ulicach plakaty o tem postanowieniu rządu i przepisy, jak się mieszkańcy stolicy teraz zachować mają.

Plakaty te czytali wszyscy; czytali, nie zdając sobie sprawy z doniosłości zarządzeń i nie przypuszczając, aby Moskale odważyli się i mogli wydane przepisy, ściśle wykonać. To też nazajutrz 15. w zapowiedziany dzień żałobnego nabożeństwa za Kościuszkę, kościoły stosownie przystrojone przepelnione były pobożnymi, a po skończeniu exekwii, śpiewano jak zwykle »Boże coś Polskę« i »z Dymem pożarów«.

Wobec tak wyraźnego lekceważenia wydanych rozporządzeń i przestępstwa świeżo

ogłoszonych przepisów, postanowili moskale ściśle wykonać groźby w nich zawarte i w samym początku zmusić ludność do posłuszeństwa. W tym celu osaczyli wojskiem katedrę, kościół Bernardynów i Ś-to Krzyski jako największe i najliczniej odwiedzane, aby aresztować demonstrantów. Wojsko w silnych oddziałach zostało ustawione na ulicach przy kościołach, a warty postawiono u wszystkich wejść.

Widząc moskali i domyślając się po co przyszli, nie chciał lud wychodzić ze świątyń, sądząc, że w końcu sprzykrzy się im taka bezcelowa straż i odejdą sobie. Tymczasem moskale uwzięli się i czekali; czekali cały dzień, czekali i w nocy, a lud nie wychodził; lud siedział zamknięty w kościołach. Nad ranem sprzykrzyło się rzeczywiście moskałom takie obleżenie, ale zamiast odejść spokojnie, wyrąbywali drzwi, przemocą wdzierali się do świątyni i wśród bójki aresztowali wszystkich mężczyzn. W kościele Ś-to Krzyskim nikogo nie znaleźli, bo OO. Misyjonarze wcześniej wypuścili pobożnych przez klasztor i ogrody na miasto. U Bernardynów i w Katedrze ze 3000 zabrali do cytadeli.

Skoro dzień się zrobił, zawrzało w War-

szawie. Po ulicach snuli się mieszkańcy i powtarzali sobie wiadomość: Kościoły sprofanowane — tyle a tyle tysięcy poprowadzono do cytadeli — aresztowano tego a tego i t. p. wieści. Tymczasem moskale w uzupełnieniu bohaterskich czynów wysłali sotniami kozaków i czerkiesów na miasto, którzy rozpuszczali swoje zagony po ulicach i tratowali bezmyślnie wszystkich. W ten sposób został wprowadzony stan wojenny w Warszawie.

Nadmienię jeszcze, że po profanacyi kościołów przez żoldactwo, kapituła uchwaliła zamknąć je wszystkie i trzymać zamknięte dopóty, dopóki nie otrzyma gwarancyi od rządu, że podobne bezprawia więcej się nie powtórzą. Otwarcie kościołów zarządził dopiero w lutym 1862 roku nowo mianowany arcybiskup warszawski ks. Feliński.

Przejście od zupełnej prawie swobody pod rygor stanu oblężenia było bardzo przykrem dla mieszkańców stolicy. Teraz nie wolno było zatrzymywać się i rozmawiać w kilku po ulicach; po 9-tej wieczór nie wolno było wogóle chodzić po mieście, a gdy się ściemniło, każdy z przechodniów musiał mieć zapaloną latarkę. Te i tym

podobnych wiele przepisów ścieśniały swobodę miejskiego życia i utrudniały zaspokojenie codziennych potrzeb wielkiego centrum. Nim się zaś ludność oswoiła z tym nowym porządkiem, z tymi przepisami, nie mało było ofiar, które cytadelą przypłaciły nieświadomość lub upór. Nie brakło jednak, jak zwykle między warszawiakami, dowcipnisiów, którzy np. w południe już chodzili z zapalonemi latarkami; ale takich moskale prowadzili również do cytadeli.

Ciężkie to były wogóle czasy dla Warszawy, ów stan oblężenia. Moskale tak jak w pierwszym dniu tak i w następnych wysyłali sotniami patrole czerkiesów i kozaków, którzy pędząc co koń wyskoczy ulicami, tratowali wszystkich po drodze lub jadąc powoli prześladowali żałobę i stroje do ówczas tolerowane. Kobietom obdzierali białe tasiemki i całe suknie; mężczyznom zrywali chłopki i niskie kapelusze — a wszystkich okładali nahajkami. Chodzenie wówczas po ulicach nie bardzo było bezpieczne, a jednak każdemu się chciało wyjść na miasto.

I mnie także, pamiętam o mało nie obili. Raz, mając jeszcze wówczas kapelusz w żałobie i chłopkę, szedłem jakiś za-

myślony. Wtem slysze za sobą na trotoarze hałas kopyt końskich, — nie oglądając się, wskoczyłem do bramy, która na szczęście w pobliżu się znajdowała, i ocalałem; nahaż świsnął mi tylko nad uchem. Za chwilę wysunąłem głowę na ulicę, ale czerkies był niedaleko i potrzasał ku mnie srogiem swem narzędziem; musiałem więc przeczekać jeszcze jakiś czas w mojem ukryciu, dopóki nie straciłem z oczu całej bandy.

Przy takim polowaniu, naturalnie musiała publiczność z czasem zmienić sposób ubierania się; ale i wówczas nie brakło chęci dokuczenia znienawidzonym. Szczególniej kobiety były bardzo pomysłowe; ubierały jaskrawe suknie upstrzone wstążkami w niemożliwym doborze kolorów: na przykład niebieska spódnica naszyta żółtymi i zielonemi ozdobami; takiż kapelusz z kwiatami. Było to istne szyderstwo z rozporządzeń, jednak, choć wszyscy je rozumieli, musiało być bezkarnem.

Tu muszę nadmienić, że przed kilkunastu laty, może w r. 1886, widziałem we Lwowie obraz Wojciecha Kossaka, zatytułowany: »wspomnienie z r. 1861«, przedstawiający szarżę czerkiesów na ulicach

Warszawy. Wielkie to płótno naszego artysty silnie wywiera wrażenie, a mnie lży wycisnęło, tak żywem przedstawieniem jednej, ale typowej sceny ówczesnych strasznych czasów.

W ciągu mego w owym czasie pobytu w Warszawie, nie wiele myślałem o nauce, zajęty będąc zdrowiem matki, domowymi naszymi sprawami i uczestnictwem w demonstracjach ulicznych.

Matka jednak, pojmując, że nie można chłopca w moim wieku pozostawiać bez żadnego zajęcia, radziła się opiekuna i przyjaciół, co ze mną robić. Różne były rady, moim jednak zamiarem było, gdy się matka trochę uspokoi, powrócić do Belgii na dalsze studia — i naturalnie postawiłem na swoim.

Gdy decyzja zapadła, szło o wyrobienie paszportu; w tem jednak była wówczas trudność. bo zbliżał się czas stawienia się mego do wojska. Aby więc mógł paszport otrzymać, potrzebowalem świadectwa lekarza, że dla zdrowia muszę się udać do wód zagranicznych, poręki dwóch obywateli miasta, to jest dwóch właścicieli kamienic, którzy musieli zagwarantować

swoją osobą i majątkiem, że powrócę do kraju; trzeba było załatwić mnóstwo formalności i rozdać łapówek, aby gładko sprawa poszła, za paszport zapłacić 10 rubli i wreszcie przedstawić opiekuna na drogę, bo małoletni bez opiekuna nie mógł wyjechać.

Przy pierwszym moim wyjeździe do Belgii ojciec mój wszystko to załatwił — przy powtórnem, sam się o to postarałem, wzbudzając podziw matki i znajomych, którzy sądzili, że nie pokonam tych trudności. Dobrzy ludzie jednak pomagali mi wszędzie — paszport otrzymałem, a pożegnawszy się czule z matką, w styczniu 1862 r. wyjechałem powtórnie do Belgii.

Tym razem jednak nie pojechałem do Liège, aby zapisać się na wydział mechaniki, lecz, powziąwszy zamiar wstąpienia na wydział dróg i mostów, udałem się wprost do Gandawy, gdzie wydział ten, jedyny w Belgii, przyłączony był do tamtejszego Uniwersytetu.

Przybywszy na miejsce, zastałem tam kilku kolegów z Liège i Warszawy, oraz spory zastęp młodzieży polskiej. Było nas 34 przed powstaniem.

III.

Wyjazd do powstania. — Żuawi śmierci.

Wymarsz do obozu.

Po przybyciu do Gandawy ¹⁾ zacząłem się przygotowywać do egzaminów, aby z rozpoczęciem kursów mógł się zapisać na wykłady.

Tymczasem w kraju partya rewolucyjna objęła ster ruchu. Wypadki poważne jedno za drugim szybko następowały i wyłonił się »Komitet centralny narodowy«, który zaczął wydawać odezwy i drukować czasopisma. Za przykładem moskiewskich gwałtów i w odpowiedzi na nie, wprowadzono terroryzm z polskiej strony. Strzaskano szcękę namiestnikowi Lüdersowi za

¹⁾ Gandawa, Gand, Gent, wielkie miasto we Flandryi wschodniej. W XIV wieku liczyło 400.000 mieszkańców, w czasie mego pobytu 120.000, dziś 160.000.

podpisanie krwawych wyroków na oficerów moskiewskich, będących w porozumieniu z Polakami, urządzono zamachy na życie Wgo Ks. Konstantego i Wielopolskiego — jednym słowem, każdy dzień przynosił nowe szczegóły ówczesnych wydarzeń w kraju, a w Gandawie między nami, jak zapewne i po innych uniwersytetach w Europie między Polakami, więcej było z tego powodu politykowania, niż nauki. Mimo to, po wakacyach, z rozpoczęciem wykładów, zapisałem się na kurs przygotowawczy do szkoły dróg i mostów.

Późną jesienią zaczęły już nas docho-
dzić wieści o przygotowującym się zbroj-
nem powstaniu w Królestwie. Wieści te,
odbierane wprost z kraju, głównie jednak
z Paryża, z obozu Mierosławskiego, utrzy-
mywały nas w nerwowem usposobieniu
i oczekiwaniu rozpoczęcia stanowczej walki
z Moskalami. Wreszcie telegramy roznio-
sły po Europie wiadomość, że dnia 22 sty-
cznia 1863 r. walka ta rozpoczęła się na
obszarze całej Kongresówki — a następnie
wyczytaliśmy w dziennikach manifest Rzą-
du Narodowego, powołujący wszystkich Po-
laków do tej walki.

Jakkolwiek wypadek ten był spodziewany, sprawił na nas jednak niezwykle wrażenie; odezwa Rządu Narodowego postawiła nas w nowe wyjątkowe położenie, nad którem teraz poważnie zastanowić się należało. Dla mnie i dla kolegów, nie w tem tkwiło pytanie, czy słuchać Rządu Narodowego czy nie — ale w tem, jak wezwaniu zadanie uczynić, bo żaden z nas pieniędzy nie miał na podróż i nie wiedział, w jaki sposób dostać się na pole walki. Inni jeszcze, tak jak ja, mieli stosunki rodzinne, z którymi się musieli liczyć i pomyśleć nad ich uporządkowaniem.

Tak upłynęło dni kilkanaście.

Nadmienię, że w Gandawie nie byli studenci Polacy tak zorganizowani, jak w Liège; to też dopiero po skomunikowaniu się z towarzystwem w Liège, zostaliśmy powiadomieni o istnieniu komitetu (Mierosławskiego), mającego za zadanie ułatwienie młodzieży podróży do kraju.

Dnia — około 10 lutego opuściłem Gandawę z kilkoma kolegami i przybyliśmy do Liège. Stamtąd komitet wysyłał nas do kraju partyami po 2 lub 3 różnymi pociągami, aby nie zwracać uwagi Niemców i kierował na różne punkta przeznacze-

nia. Nie mającym pieniędzy dawano na podróż.

Z Liège napisałem do matki o mojem postanowieniu, ale bardzo ostrożnie, bo otwierano listy zagraniczne w Warszawie. Napisałem także do mego opiekuna, a przyjaciela domu rodziców moich, polecając mu opiekę nad matką moją, w razie gdybym sam, wskutek nieprzewidzianych okoliczności, nie mógł o niej myśleć i wywdzieńczyć się za ofiary, dla mnie czynione.

Wkrótce, gdy przyszła kolej na nas Gandawczyków wyruszenia na teren walki — około 20 lutego — wysłano mnie i Zwierkowskiego do Wrocławia, gdzie mieliśmy się zgłosić pod pewnym adresem po dalsze wskazówki i polecenia. Na koszt podróży dano nam po 90 franków z komitetu, to jest tyle, aby 3 i 4 klasą opłacić można było kolej.

Jechaliśmy więc kilka dni bummelcugami niemieckimi, oczekując często po kilka godzin na stacyach właściwego połączenia pociągów. W Dreźnie, gdzieśmy przybyli wieczorem, oznajmiono nam, że następny bummelcug odejdzie do Wrocławia dopiero o godz. 6 rano; aby przebyć ten czas, siedzieliśmy trochę na dworcu,

ale przed północą dworzec zamykano i nas wyproszono grzecznie na ulicę. Nie mogąc dla braku funduszków przespać się w hotelu, postanowiliśmy zwiedzić miasto. I rzeczywiście całą noc łaziliśmy, jak prawdziwi turyści; wprawdzie nie widzieliśmy Madonny Rafaela, ale miasto zewnętrznie nam się bardzo podobało.

Z Drezna wyjechawszy, przybyliśmy do Wrocławia i zgłosili się pod wskazany adres. Jegomość, który nas przyjął — jakiś kupiec — polecił nam przejechać granicę austryacką w Boguminie (Oderbergu) i udać się do Krakowa do p. Mieczysława Brzeskiego, słuchacza praw, który nam udzieli dalszych wskazówek.

Na granicy w Boguminie, nim wysiedliśmy, odebrano od nas paszporty do wizy przez policję graniczną. Tu nadmienić muszę, że mój przyjaciel Zwierkowski był austryackim poddanym, więc na dalszą podróż oddano mu zaraz paszport; mnie zaś zaprosił komisarz do kancelaryi. Jakiś był dobry człowiek, Polak, ten pan komisarz; po wypyтaniu, po co i do kogo jadę, domyślając się pewnie z moich balamutnych opowieści o krewnych w Krakowie, rzeczywistego powodu mojej podróży —

zaczął mi odradzać, abym nie jechał do powstania, bo nie ma ono widoków powodzenia, bo wreszcie, szkoda tak młodego chłopca, aby zginął itd. na ten temat. Z początku słuchałem cierpliwie, ale w końcu za wiele mi tego było, więc mówię:

— Proszę pana, po żadne morały tu nie przyszedłem, wróć mi pan paszport, bo chcę i muszę jechać dalej.

— Kiedy tak, to pan dalej nie pojedzie — powiada do mnie — paszport nie ma wizy konsula austriackiego, zatem pojedzie pan tam, skąd pan przyjechał.

I rzeczywiście zmusili mnie do tej jazdy, wsadzając do wagonu wracającego do Prus pociągu. Naturalnie, na pierwszej stacyi na Śląsku pruskim wysiadłem, w kłopotcie serdecznym, co dalej począć.

W oberży, do której wstąpiłem, kelner, domyślając się zaraz, kto jestem i co mnie spotkało, powiedział mi w rozinowie, że więcej w miasteczku jest takich Polaków, których zawrócono z Bogumina, a poprzedniego dnia dwóch udało się do sąsiedniej wioski o pomoc w tych kłopotach do hr. Reichenbacha (jeżeli dobrze pamiętam). Nie było innego wyjścia; najmuje konie i jadę również do tego hrabiego. Po przedstawie-

niu się, opowiedziałem mu po francusku, co mnie spotkało na granicy austriackiej i jasno, otwarcie przyznałem się, że jako Polak chcę i muszę jechać na plac boju do powstania, oraz proszę go o radę i pomoc w tak przykrem położeniu, w jakim się znajduję.

Grzecznie mnie bardzo przyjął ów poczciwy Niemiec, przedstawił żonie, córkom i owym dwom towarzyszom, o których kelner mówił. Jednym z nich był Stan. P., mój kolega z Gandawy, który również nie przewidział potrzeby postarania się o wizę na paszporcie konsula austriackiego w Belgii. Po obiedzie bawiliśmy się doskonale z córkami gospodarza, bardzo milemi panienkami, aż do późna wieczorem i przyjęli uprzejmie nam ofiarowany przez hrabiego nocleg.

Nazajutrz kazał pan hrabia zaprządz do powozu i sam osobiście przewiózł mnie i mego kolegę przez granicę austriacką, naturalnie drożyną, gdzie nie było urzędów; i w ten sposób przybyliśmy szczęśliwie do stacyi kolejowej za Boguminem, już w Austrii. Na pożegnanie uścisnęliśmy serdecznie dłoń zacnego Niemca, a pamięć

wdzięczną za gościnność i przysługę na zawsze mu przechowam.

Jak się to czasy zmieniły! Wątpię, aby dzisiaj znalazł się taki uczynny Prusak dla Polaków; dzisiaj, każdy zarażony hakatą, wypędziłby nas i oddał pewnie w ręce policyi.

Tak więc, dzięki szczęśliwym okolicznościom, przybyłem do Krakowa około 26 lutego.

W Krakowie, podług zalecenia, poszedłem zaraz zameldować się do Brzeskiego. Po oficjalnem przedstawieniu, poznaliśmy się bliżej. Brzeskich było dwóch: starszy Mieczysław, słuchacz praw, który należał do organizacyi narodowej i młodszy Bronisław, 16-letni młodzieniec; mieszkali oni na ulicy Jagiellońskiej w dwóch pokoikach. W parę godzin byliśmy już przyjaciółmi, zaprosili mnie też zaraz do siebie na mieszkanie. Jak serdecznie prosili, tak bez ceremonii przyjąłem; a był tam już u nich na kwaterze Józef Wierzbicki, mój najlepszy przyjaciel i kolega z Gandawy, w ten sam sposób przez nich zatrzymany. Mieszkaliśmy więc we czterech, aż do czasu wyruszenia do obozu.

W tym czasie w Krakowie była żałoba z powodu porażki oddziału Kurowskiego. Oddział ten, złożony z samych prawie Krakowian, wszedł do Królestwa w połowie lutego. Niedoleżny dowódca w ataku na Miechów dnia 17 lutego, posłał strzelców w liczbie kilkudziesięciu, rozsypanych w tyralierkę, a za nimi kawaleryę, do zwalczania i wypędzenia Moskali, zamkniętych po domach i kościołach. Naturalnie, atak się nie udał, a Moskale, z zakrytych stanowisk, wystrzelali co najdzielniejszą młodzież krakowską. Mało co ocalało tak ze strzelców, jak i kawaleryi, a szczątki tej wyprawy, rozbitki, powrócili do Krakowa.

Tutaj zaznaczyć mi wypada, że owi strzelcy, szturmujący Miechów w liczbie kilkudziesięciu, stanowili zawiązek pułku zorganizowanego przez Francuza Rochebrune'a, pod nazwą: »żuawów śmierci«. Mieli oni mieć wszyscy charakterystyczny strój, według pomysłu dowódcy, ale wówczas kilku, może kilkunastu zaledwie było umundurowanych.

Bliższych szczegółów o początku żuawów, o tem, w jaki sposób i od kogo uzyskał Rochebrune upoważnienie do organizacji tego pułku, nie jestem w stanie po-

dać, ani też nie mogę przytoczyć szczegółów bohaterskiego ataku na Miechów, w którym żuawi pierwszy raz dali dowody niezwykłej odwagi i sławą się okryli.

Pod ten czas w Krakowskiem bił Mostkali Langiewicz, najłatwiej więc było dostać się do niego, a my, pragnęliśmy tego bardzo, bo znany on już był w kraju i za granicą, jako dzielny i szczęśliwy generał. Na własną jednak rękę nie mogliśmy się ruszyć, bo, będąc pod komendą organizacyi, musieliśmy czekać na rozkaz wymarszu; organizacya zaś musiała dbać o to, aby żołnierzom zapewnić bezpieczeństwo w drodze i nie narażać grupiek na schwytanie przez obieszczyków.

Zwierkowski, który, jako krakowianin, znał wszystkich, dowiedział się, że do Langiewicza wybiera się Rochebrune i że tam pułk żuawów na nowo zostanie sformowanym; postanowiliśmy przeto, my gandawczycy, do tego pułku się zaciągnąć i aby się dobrze przedstawić dowódcy, sprawiliśmy sobie całe umundurowanie przepisane dla żuawa, u krawca, który szył mundur dla Rochebrune'a, a którego Zwierkowski także wynalazł.

Nadmienić muszę, że zaraz po przyjeździe do Krakowa, telegrafowałem do matki do Warszawy o przysłanie pieniędzy. Pocziwe matczyisko telegraficznie za przekazem bankierskim przysłała mi 1000 złp. (500 koron), więc było się za co ekwipować w owych czasach.

Strój wyprawny mój i kolegów był następujący:

Naprzód koszula z surowego jedwabiu, za poradą doświadczonych sprawiona, a mająca chronić ciało od niepotrzebnego inwentarza; — i to dobra była rada. Po tem zwykłe płócienne ubranie, a na to jeszcze całe ubranie z łosiowej skóry. Teraz przychodziło ubranie żuawskie; więc spodnie czarne sukienne, szerokie, jak do polskiego stroju; czarna kamizelka sukienna z białym krzyżem na niej naszytym, zapinana na gładkie białe metalowe guziki; mundur także z czarnego sukna bez kołnierza — rodzaj surducika z pół-krótkimi połami, ufałdowanemi z tyłu, jak przy bekieszy, na jeden rząd białych, metalowych guzików zapinany; na szyi szalik wełniany czarno-biały, na głowie fez czerwony turecki z czarnym kutasem — no i na nogach buty z cholewami.

Gdy już opisuję strój żuawski, dodam, że odznaki starszyszy wojskowej stanowiły naszywki na rękawach z wąskiego szychu dla oficerów — ze zwykłej żółtej tasiemki dla podoficerów i kaprali. Fez oficerski był także oszyty siwym barankiem z długim włosem, na którym z przodu widniała kokarda w kolorach narodowych z polskim orzełkiem, jak przy dzisiejszych czapkach sokolich.

Taki był strój żuawów.

Dla uzupełnienia ubioru obozowego, kupowaliśmy sobie i przyodziali na mundur guńki z chłopskiego brązowego sukna i chłopską formą, dla ochrony od marcowej pogody i przykrycia się w czasie snu. Pas skórzany z ładownicą uszczelniał przyleganie ubioru do ciała, a lekki tornister na ramionach służył na pomieszczenie kilku sztuk bielizny zapasowej i wszystkich drogich mi pamiątek. Dodam jeszcze, że każdy z nas zaopatrzył się w rewolwer lub sztylet i zakupił — manierkę.

Po dokonaniu tych sprawunków, została mi jeszcze połowa pieniędzy.

Teraz, zwracając się myślą do opisanego stroju żuawów, wyjaśnić chcę i łatwiej mi to przyjdzie — skąd powstać mogła

nazwa »żuawów śmierci« dla polskiego oddziału wojsk powstańczych.

Przedewszystkiem zaznaczę, że nazwa ta powstała w głowie Francuza, który żywił dawne sympatyje do naszego narodu i pamiętał o przelanej obficie krwi polskiej dla Francyi w licznych bojach, uświetniających historię wojen napoleońskich. W czasie naszego powstania szlachetne uczucie wdzięczności nie wygasło jeszcze w sercach Francuzów i Rochebrune, dopóki go nie opętała mania wielkości, ulegając wewnętrznym pobudkom, poszedł z nami bić Moskali.

Francuskie pułki żuawów, biorąc swój początek w Algierze, wśród ludności butnej i wojowniczej, odznaczały się w bitwach największą zawsze dzielnością i brawurą. Ubiór ich stanowi niebieska kurtka, czerwone spodnicowe spodnie, czerwony fez na głowie i białe kamasze po trzewikach; odznaki zaś służbowe wyszywane są na rękawach. Otóż z ubioru żuawów, Rochebrune, jako były podoficer, zdaje mi się, tych pułków francusko-afrykańskich, przyjął do naszego stroju tylko fezy i odznaki służbowe, a inne części odzieży przystosował, i słusznie, do naszej polskiej natury.

Ustaliwszy w ten sposób całe umundurowanie dla swoich teraźniejszych podkomendnych, nazwał ich »żuawami«, aby samem mianem i jakąś zewnętrzną charakterystyką wlać w nich przymioty zuchwałe pierwowzorów.

Chcąc prócz tego jeszcze więcej podnieść siłę moralną i ducha żołnierzy powstańczych, zachęcić ich do bezwzględnej, bezpardonowej walki dla siebie i wrogów, nazwał ostatecznie »żuawami śmierci« pułk, mający się utworzyć pod jego rozkazami i przybrał go w grobowe kolory.

Chorągiew, godło pułku, odpowiadała także temu pomysłowi, a wielka co do rozmiarów, wyrobioną była z czarnej materii z białym na niej naszytym krzyżem. Chorągiew ta doskonale symbolizowała również charakter epoki ówczesnej — ówczesne usposobienie narodu naszego, który w żałobie, z modlitwą na ustach podjął śmiertelną walkę z potężnym wrogiem.

Całe więc wyposażenie pułku, jego godło, strój i nazwa trafnie były obmyślane przez Francuza, a harmonizując z treścią ducha Polaków i zewnętrznymi jego objawami, unaoczniały żołnierzom konieczność

walki na śmierć i przypominały przymioty, jakimi odznaczać się powinni do odniesienia zwycięstwa.

Dnia 4 marca bił się Langiewicz pod Pieskową Skalą, niedaleko Krakowa. Całe miasto było w poruszeniu, bo wiadomość o bitwie, jakby telegrafem przeniesiona, natychmiast rozeszła się pomiędzy mieszkańcami. My zaś, będąc już zupełnie przygotowani do wiosennej kampanii i oczekując tylko na rozkaz wymarszu, niecierpliwiliśmy się tem więcej — pragnęliśmy tem goręcej znaleźć się już w szeregach walczących.

Nareszcie dnia 6 marca zawiadomił nas Brzeski, że tego wieczora we czterech, bo i on do nas gandawczyków się przyłączył, wyruszamy — i rzeczywiście wyjechaliśmy. Za miastem, odprawivszy fiakra, wsiedliśmy na przygotowaną furę chlopską, którą ubocznymi drożynami przejechaliśmy granicę Kongresówki w okolicy Barana. Nie daleko jadąc, stanęliśmy przed jakąś leśniczówką, gdzie już było kilkunastu powstańców i pułkownik Czapski, pod którego dowództwem mieliśmy się dostać do obozu Langiewicza. Za nami przybyło jeszcze kilkudziesięciu,

tak, że drużyna nasza liczyła około 100 ludzi.

W leśniczówce tej była przygotowana broń belgijska i ładunki w pakach, które mieliśmy zabrać i konwojować; dla uzbrojenia jednak tej eskorty polecono mnie i moim kolegom z Gandawy otworzyć po jednej pace z bronią i ładunkami, opatrzyć wszystkie części karabinów i złożyć.

Przy tej czynności, pierwszy raz w życiu, spotkałem się ze złą wiarą i oszukaństwem: mnóstwo karabinów było niewykończonych, niezdatnych do użytku. Kominki nie miały dziurek, lufy nie miały bączków i skówek do przymocowania do drzewca — jednym słowem, prawie połowa karabinów była nie do użycia. Aby nas uzbroić, trzeba było dwie paki otworzyć.

Tu nasuwa się uwaga, ile to grosza ciężko zebranego, ile ofiar poświęcenia się osobistego tych, którzy tę broń dowozili na miejsce przeznaczenia, poszło na marne! Każdy karabin podwójnie kosztował, a może i więcej, gdy wliczy się konfiskaty częste transportów. Rady zaś na to nie było wobec tego, że ładowanie już w Belgii i dalszy przewóz aż na miejsce musiały być okryte jak największą tajemnicą.

Jakkolwiek więc było z tymi karabinami, część naszego oddziału została uzbrojoną; poczem, zabrawszy paki na fury, wyruszyliśmy około północy w dalszą drogę. Maszerowaliśmy już parę godzin, gdy dano rozkaz odpoczynku, założono mały obóz i ustawiono wedety.

Na jeden taki posterunek wyprowadzono mnie i Wierzbickiego, o jakie 500 kroków od obozu. Nigdy nie zapomnę doznanych wówczas wrażeń.

Noc była spokojna, księżyc za chmurami, ziemia pokryta jeszcze śniegiem — gdzieniegdzie wyżyny tylko czerniały.

My stoimy na wedecie, stoimy przejęci ważnością naszego zadania, wyteżając wzrok na wszystkie strony. Wtem widzimy postacie jakieś, jakby ku nam się zbliżające, więc teraz tem silniej wpatrujemy się w ciemny przestwór i czekamy. Postacie owe, jak cienie, poruszają się to na prawo, to na lewo, to ku nam, lecz nic wyraźniejszego nie można rozróżnić, choć lzy z patrzenia płyną. Sądziliśmy, że jakiś oddział Moskali, nie wiedząc o naszym obozie, mija nas bokiem, lub też spostrzegłszy, zdaleka obserwuje. Tym czasem i dzień zaczęło. Im więcej brzask rozświecał ciemności,

tem dokładniej kształty owych moskali występowały na tle śniegu, jakby coś nieruchomego.

Gdy się trochę rozwidniło, przekonaliśmy się, że to krzaki i wtenczas dopiero odzyskaliśmy równowagę nerwów. Strach i obawa o bezpieczeństwo broni i obozu były powodem tak silnych wrażeń, żeśmy się stali zdolni do halucynacyi, doświadczaliśmy złudzeń wzrokowych.

Wkrótce ściągnięto wedety, ani razu nie zmieniane w ciągu paru godzin i po-
maszerowaliśmy dalej. Około godz. 10 rano
przybyliśmy do Goszczy, gdzie obozował
Langiewicz.

IV.

Obóz w Goszczy.

Już na samym wstępie do obozu, gdyśmy stali jeszcze w szeregach, oczekując na zapowiadziany przegląd Langiewicza, mieliśmy czas i sposobność z naszego wzniesienia, na którym nas przy drodze ustawiono, rzucić okiem na całą wieś i obozowisko.

Na północno-zachodniej stronie wioski odznaczał się dwór zwykły, dawnych kształtów, oddalony o kilkaset kroków od miejsca, na którym znajdowaliśmy się; ze stanowiska więc naszego można było doskonale widzieć, jak tam ciągle wchodzi i wychodził jacyś wojskowi, przy pałaszach i rewolwerach, poubierani w czapki barankowe i kurtki z szarego sukna, tak zwane ulanki. Ku południo-wschodowi od dworu, na tle przestrzeni, obejmującej chaty włościańskie, a nawet i poza nią, widać

było znaczniejsze zbiorowiska wojska. Tu i ówdzie rozrzucone bataliony odbywały mustrę: w miarowych ruchach poruszały się wyciągnięte linie żołnierzy, to znów zzwijały się w kłęb i rozwijały wstęgą — a broń błyszczała w promieniach słońca. W dali, konnica jakoś dzielnie i ochoczo uwijała się po błoniu, ćwicząc się w ruchach wojskowych i robieniu bronią.

Tak nam się przedstawił obóz Langiewicza na wstępie, a jeżeli dawniej, w czasie ćwiczeń w Liège, marzyliśmy o wojaczce i o przyszłej organizacyi partyzantki, to widok tego obozu przewyższył nasze nadzieje.

Byliśmy właśnie pod wpływem takich błogich ważeń, gdy oto zwrócił naszą uwagę zwiększony ruch około dworu, a po chwili ujrzeliśmy wychodzącego mężczyznę średniego wzrostu, w takim samym jak inni stroju, ze szarfą kolorów narodowych przez ramię, któremu jakiś szacunek okazywało otoczenie. Rozeszła się szeptem wieść w szereгах naszych, że to Langiewicz — i rzeczywiście w kilka minut mieliśmy go przed sobą.

Langiewicz wówczas mógł mieć lat trzydzieści kilka; twarz miał pociągłą, czarny zarost strzyżony, oczy czarne bystre, postawę zręczną. Ubrany był w zwykłą ułankę z szarego sukna i strojny w oznaki generalskie, to jest miał szarfę przez ramię i kitkę z piórek przy rogatywce.

Fotografia Langiewicza, której kopię tu załączam, wykonaną była przez W. Rzewuskiego prawdopodobnie w Goszczy lub w Sosnowce, bo doskonale przedstawia rysy i ubiór jego z czasów dyktatury¹⁾.

— Jak się macie? — odezwał się do nas.

— Niech żyje generał! — krzyknęliśmy.

Generał odbył przegląd szeregów, coś pogadał z pułkownikiem Czapskim.

— Każę wam dać jeść — powiedział jeszcze i odszedł.

Wkrótce też przyniesiono nam wódki, słoniny i chleba. Tu nadmienię, że wódka, słonina i chleb stanowiły całodzienne i co-

¹⁾ O bytności fotografa W. Rzewuskiego w Sosnowce wspomina ksiądz Szule w swoich »Pamiętnikach«. (A. Giller: »Polska w walce« — str. 113).

MARYAN LANGIEWICZ





dzienne pożywienie nasze w obozie Langiewiczza pod Goszczą.

Ponieważ my, nowo przybyli, nie tworzyliśmy żadnej organizacyi wojskowej, a byliśmy dopiero ochotnikami do wstąpienia w szeregi już zorganizowane, przeto po zaspokojeniu głodu przysłani przewodnicy mieli nas rozprowadzić po obozie, aby każdy wpisał się do rodzaju broni, najlepiej jego usposobieniu odpowiadającej. Gdy więc już podjedliśmy, podzieliliśmy się na grupy: kawalerzystów, strzelców, kosynierów i żuawów i pomaszerowaliśmy za swoimi przewodnikami.

Właściwy obóz żuawów, jeżeli dobrze pamiętam, znajdował się prawie na kraju południowo-wschodnim wsi, więc za dobry dopiero kwadrans my ochotnicy do tej chorągwi przyszlismy na miejsce, gdzie nas ustawiono zaraz w szeregi do zapisu i przeglądu przez pułkownika.

Rochebrune już czekał na nas; w milczącej postawie patrzył, jak wyrównujemy front i sunął wzrokiem po każdym z osobna. Gdy szeregi już były wyrównane — a było nas kilkudziesięciu — jeszcze z bliska każdemu się przypatrzył, wypytał

o nazwisko i wyraził zadowolenie z tych, którzy już umundurowani przybyli.

W czasie tego przeglądu i my ze swej strony z ciekawością przypatrywaliśmy się naszemu pułkownikowi.

Franciszek Rochebrune ¹⁾, młody jeszcze człowiek, średniego wzrostu, dosyć szczupły, smagławej cery, brunet, miał twarz wydłużoną typu Francuza południowych prowincyi, z wąsem krótkim i małą hiszpanką, z oczami czarnymi, świdrowatemi, przenikliwemi. Jakąś stanowczość, śmiałość, zuchwałość nawet odczuwało się w nim z ruchów, z mowy, z głosu, a to pierwsze wrażenie wzbudzało zaufanie w jego żołnierskie przymioty.

Byliśmy też zachwyceni naszym pułkownikiem, a opowiadania o jego szalonej odwadze przy napadzie na Miechów, któreśmy słyszeli od uczestników wyprawy, wzbudzały we wszystkich tym większy szacunek i przejmowały karnością względem tak dzielnego i zasłużonego już dowódcy.

Po przeglądzie zapisano nas do księgi pułku I kompanii, tym, którzy przybyli

¹⁾ Czytaj Roszbrün.

FRANCISZEK ROCHEBRUNE





w zwykłych ubraniach, rozdano teraz z magazynu fezy czerwone. Tu zaznaczę, że kompletne umundurowanie mieli tylko ci, co je sobie sami sprawili. Fezy nosili wszyscy; ale to jedno uniformowe przykrycie głowy, znakomicie zaznaczając przynależność do pułku, dostatecznie zastąpiło resztę stroju.

Po odbyciu tych wstępnych formalności, byliśmy zatem żołnierzami wojska polskiego w pułku żuawów i przydzielono nas zaraz pod komendę podoficerów.

W tym czasie skończyły się mustry i nastąpił południowy spoczynek — była więc doskonała sposobność zapoznania się z kolegami wcześniej od nas przybyłymi. Kolegów zaś tych było już dosyć, bo Langiewicz jeszcze dnia 5 marca na noc stanął obozem w Goszczy, a Rochebrune widocznie 24 godziny przed nami zgłosił się i zaraz zaczął organizować swoich żuawów.

W liczbie naszych kolegów znaleźliśmy bywalców z całego świata. Najwięcej było studentów z różnych uniwersytetów zagranicznych, uczniów ze szkoły wojskowej w Cuneo, garibaldczyków, uczniów ze szkoły paryskiej w Batignolles, synów emigrantów

polskich z r. 1831, zrodzonych we Francyi i tym podobnych żywiołów. Byli i cudzoziemcy: Włosi, Francuzi, Węgrzy, tak, że polskiego języka mało było słyhać w obozie. W tej zbieraninie widzieć można było paniczów o arystokratycznych rysach i manierach, elegantów paryskich — obok zakazanych fizyognomii urwisów światowych.

Z tej ostatniej kategorii nie mogę do dziś dnia zapomnieć jakiegoś żydka, nazwiskiem Krasnopolski, w czerwonej koszuli garibaldeczyka, z zadartym nosem, w binoklach, który z fezem na tyle głowy, wyśpiewywał ochryplym głosem paryską z owych czasów brukową śpiewkę: *Mo'ssieu c'est m'n'amant* i t. d. (*L'pied qui remu*). Po bitwach już tego wesołego towarzysza nie widziałem; padł zapewne, splacając dług serdeczny ojczyźnie.

W tym pierwszym dniu naszego pobytu w obozie, kiedyśmy się już dosyć napolu-dniowali, najedli chleba ze słoniną i popili wódką z balii — bo w balii był rezerwoar, skąd się kieliszkami wprost czerpało, zrobiono nam uwagę, że trzeba myśleć o noclegu, abyśmy nie spali pod gołym niebem. Więc zakręciliśmy się około tej sprawy i przyjęli system, który tam już przez

innych był praktykowany: mianowicie wybudowaliśmy na prędce rodzaj szałas.

Zewnętrzny kształt takiego szałas przedstawiał się, jak daszek na psiej budzie, a raczej, jak sama psia buda, którą się urabiało z gałęzi wierzbowych, obok rosnących i okrywało słomą, przyplaskaną ziemią. Od tyłu szałas był tak samo zabezpieczony, jak z boków; z frontu zaś był zupełnie otwarty.

Każde takie legowisko wyłożone barłogiem na posłanie, urządzało się na dwóch, aby cieplej spać było; do spania zaś trzeba się było wczolgiwać; jednak, kto się tam z trudem wsunął, spał doskonale, guńką się przykrywszy.

Po ukończeniu razem ze Zwierkowskim, przy pomocy naszych kolegów i już przyjaciół, takiego wspólnego naszego gniazda, pod wieczór zasiedliśmy przy biwakowem ognisku.

Zwykle wieczorami rozpalało się ogniska przy spożywaniu posiłku dla ogrzania zziębniętych członków; przy każdym zasiadało po kilkunastu, na czem kto mógł, najczęściej na ziemi i przypiekając przy ogniu słoninę na patyku, zajadało się ją z chlebem. Tak biwakując, gawędziło się

wesoło, poruszając najrozmaitsze tematy; były to najprzyjemniejsze chwile w życiu obozowem. Nawet ta słonina przypiekana, gdy się już zrobiła przezroczystą, stawała się specyalem prawdziwym. Nigdy w życiu nie mi lepiej nie smakowało.

Nazajutrz wzięto nas do nauki ruchów zasadniczych i obchodzenia się z bronią palną, żuawi bowiem uzbrojeni byli w karabiny belgijskie. Ćwiczenia odbywały się rano i po południu po parę godzin.

Na trzeci dzień zauważył Rochebrune na mustrze, że ja coś dobrze wszystko rozumiem; wypytawszy się więc, skąd jestem, mianował mnie kapralem, przydzielając 8 rekrutów nowo przybyłych do nauki. W dwa dni później zostałem mianowany sierżantem i dano mi już większy oddział do mustry.

Kolega mój Wierzbicki w tym samym czasie został mianowany podporucznikiem, jako były oficer ze szkoły kadetów w Petersburgu.

W czasie naszego przybycia do pułku, dopiero 1-sza kompania zaczęła się uzupełniać, a kompanie miały mieć po 200 ludzi, pułk zaś 4 kompanie.

Wkrótce też 1-sza kompania została

skompletowaną, a zaczęła się tworzyć druga, której kapitanem mianowany był, poprzedniego dnia przybyły do obozu, Wojciech Komorowski i do której przydzielony był porucznik Wierzbicki.

Ta druga kompania nie doszła, zdaje mi się, nigdy do pełnej liczby żołnierzy; cały zatem pułk żuawów, po opuszczeniu Goszczy, w największym rozwoju, zaledwie 400 żołnierzy rachował.

Nie przypominam sobie dokładnie nazwisk wszystkich oficerów i starszyszy naszego pułku, a tym mniej żołnierzy, o ile jednak pamiętam, wymienię.

A więc:

Pulkownik: Rochebrune.

Majora nie było.

Adjutant pułkowy: podporucznik Wiktor Stawiński.

Kapral kancelaryjny: Maksymilian Greffen ¹⁾.

Pierwsza kompania:

Kapitana nie pamiętam.

Porucznik: Raszewski.

¹⁾ Ten Greffen, warszawiak, niestety mój kolega szkolny, w r. 1873 i 1874 był głośny w Wiedniu, jako szpieg moskiewski.

Podporucznicy: Postolski i Czaderski.

Wachmistrz: Sekutowicz.

Sierżant: Grzegorzewski.

Kapral: Idzikowski Adam; innych nie pamiętam.

Druga kompania:

Kapitan: Wojciech hr. Komorowski.

Podporucznik: Wierzbicki.

Innych oficerów i podoficerów nie pamiętam.

Chorążym w randze podporucznika był Cywiński.

Przy nazwisku chorążego do opisu chorągwi podanego wyżej dodam jeszcze, że na szarfach w kolorach narodowych u drzewca w górze wiszących, widniał napis: »W imię Boże — r. 1863«.

Reprodukcję fotografii chorągwi z chorążym i oficerami załączam.

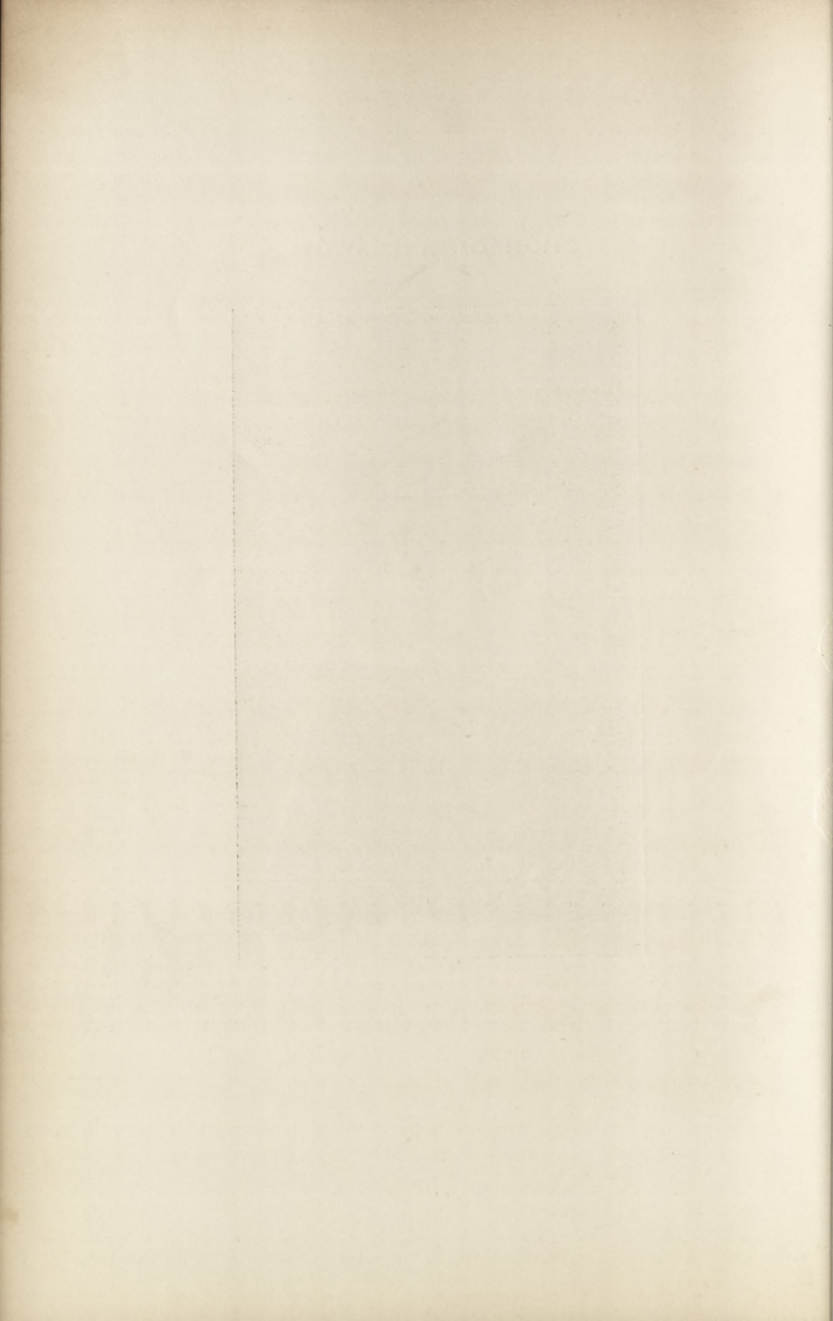
Lekarzem pułkowym był Kutek, a jego pomocnikiem Cybulski, obaj bardzo sympatyczni.

Nadmienię jeszcze, że kapelanem miał być podobno ks. Paweł Kamiński¹⁾ -- ale

¹⁾ Ten ks. Kamiński, jakiś niespokojny człowiek, opuścił obóz Langiewicza po ogłoszeniu dyktatury. Piszę o nim obszernie Giller (»Historya« tom I., str. 29).

CHORĄGIEW ŻUAWÓW





go nigdy w obozie naszym żuawskim nie widziałem.

Z żołnierzy, z którymi byłem w ściślejszej przyjaźni, lub mam ich fotografie, pamiętam:

Zwierkowskiego, który stracił lewą rękę; Chlapowskiego, męża artystki; Gieżyńskiego, który skłuty 17 razy bagnetem i za żywego pozostawiony na pobojuwisku, potem się w szpitalu krakowskim wyleczył; Kahanego Filipa, który stracił prawą rękę; Zlasnowskiego, rannego w kolano; Sokalskich, ojca i dwóch synów: z nich ojciec i jeden syn zabici, pozostałemu najmłodszemu kula strzaskała udo i stracił całą nogę; Kostro Michała, rannego pod Sosnówką, który zmarł w szpitalu w Krakowie; dalej Krasnopolskiego, Leśkiewicza, Listopada, Łasiewickiego, Szczepanowskiego, Zaleskiego, Piekszewicza, Borgia (Włocha), Stroke i Kaz. Rozwadowskiego.

Więcej nazwisk nie pamiętam.

Mieliśmy w pułku także i muzykę, składającą się z jednego klarnetu i bębna. Bardzo dobra, śliczna muzyka dodawała znakomicie animuszu w czasie marszów. Inne pulki i takiej nie miały.

Mieliśmy również i śpiewaków. Wieczorem po mustrze, po gawędzie, intonował Listopad, nauczyciel z Piotrkowa, śpiew:

Siedzi Krakus pod drzew cieniem,
Kosa przy nim leży;
Z czoła spływa pot strumieniem,
A krew na odzieży.

A wszyscy chórem powtarzali:

Z czoła spływa pot strumieniem,
A krew na odzieży.

Potem drugi śpiew:

Z moskalami jutro może
Bić się będziemy, co daj Boże,
Czy zwyciężym, czy zginiemy,
Zawsze sława nam!

A chór:

Czy zwyciężym, czy zginiemy,
Zawsze sława nam!¹⁾

Tu nadmienić mi wypada, że marsz żuawów, dziś powszechnie znany i śpiewany, powstał znacznie później, jak sama treść wskazuje. Włodzimierz Wolski, pod wpływem opowiadań o dzielności żuawów

¹⁾ Pomieszczone w zbiorkach Fr. Barańskiego, podług melodyi przezemnie dostarczonych.

napisał ów wiersz, a kto muzykę dorobił, nie wiem.

W obozie w Goszczy znalazłem mnóstwo kolegów i znajomych z Warszawy, rozmieszczonych w różnych pułkach, z którymi się serdecznie witałem. Miałem też sposobność napisać do matki przez jednego z okolicznych obywateli, który przybył zwiedzić nasz obóz i podjął się oddać list mój na pocztę. List doszedł.

Powinienem wspomnieć jeszcze o markietance. Coś mi się majaczy, że była jakaś, ale dokładnie sobie przypomnieć nie mogę. Pieniądze jednak było gdzie wydać, bo żydki krakowscy naznosili do obozu wina i różnych łakoci co nie miara. To też ci, co mieli pieniądze, szastali niemi na wszystkie strony, a kilku wyzuło się prawie z całej gotówki na poczęstunki. Do tych ostatnich i ja należałem, rozumując, że w razie śmierci nie będę nic potrzebował, a jeżeli kulka minie, zawsze w obozie znajdzie się jakieś pożywienie i dobrze będzie.

W czasie tego pobytu naszego w Goszczy mieliśmy także mały alarm. Ktoś, gdzieś, strzelił; zrobił się wir w obozie. Z kwatery głównej powylatywali adjutanci,

a między nimi wybiegła i Pustowojtówna w męskim ubraniu, przy pałaszu, z rewolwerem za pasem, dla zbadania, kto się przestępstwa dopuścił, które regulamin obozowy surowo karci. Pustowojtówna wbiegła między nas, pytając, czy w naszym pułku nie zaszedł wypadek; na szczęście nie u nas się to stało. Przy tej sposobności poznaliśmy to dziewczę zapalone, córkę generała moskiewskiego, urodzoną z Polki i po polsku wychowaną, poświęcającą dla ojczyzny więcej niż życie, bo i cześć swoją. Zaznaczam jednak, że opinia ogólna, tak w obozie, jak i zaraz po powstaniu, jak i dziś jeszcze nie poważa się uwłaczać jej czci dziewczęcej.

Tak więc czasy pobytu w obozie w Gosszcy najpiękniejsze, najmilsze zostawiły po sobie wspomnienia; a kto je przeżył, do najszcześniejszych dni swego życia zaliczyć musi.

O! śliczny to był obóz, przeszło 4 tysiące wojska liczący! Wszystko zaś tak się składało, aby przez cały czas naszego w nim pobytu pięknym się wydawał.

Pogoda była wyjątkowa w marcu; w powietrzu czuć już było pierwsze wiosny tchnienie, a śnieg na stokach północnych,

choć się jeszcze błyszczał — błonia z południową wystawą już przysychały.

Na tych błoniach tu i owdzie wojska nasze odbywały ćwiczenia; a już sam widok szeregów maszerujących, uzbrojonych, ochotnych, gotowych do walki z wrogiem, choć mizernie ubranych, nappełniał serce otuchą i radością. Kawalerya nasza imponowała najwięcej, a szczególnie oddział umundurowany w białe kierezye krakowskie. Te kierezye krakowskie wywoływały jakieś sympatyczne wrażenia, jakieś reminiscencye błogie, przywodzące na pamięć Racławice, w pobliżu których właśnieśmy się znajdowali.

Boże, Boże, jaki to śliczny był obóz! jakie cudowne widoki!

Czy zdolne jest dzisiejsze pokolenie, które do oswobodzenia ojczyzny innemi drogami zdążać musi, czy zdolne jest pojąć to uczucie, które rozsadzało pierś na widok szeregów wojska polskiego? Oczami, sercem, całą duszą chłonęło się te obrazy żywe, prawdziwe.

A wieczorem? Księgiby można i pisać i zapisać o tem wszystkim, cośmy w ten czas nafantazyowali przy ogniskach biwakowych o walkach naszych przyszłych,

o zwycięstwach, o zainteresowaniu się ludów Europy sprawą polską, o przybyciu Garybaldiego i Kossuta, o interwencji Francuzów, o entuzyazmie Warszawy na widok wkraczających naszych szeregów! A ile było przytem osobistych nadziei, pragnień, życzeń, ile żądań, wymagań nawet!

Kto widział wówczas ten obóz w Go-szczy, kto patrzył sercem polskiem na to wojsko polskie, ożywione jednym duchem, jedną myślą, kto słyszał tych żołnierzy gotowość do poświęceń życia i wszystkiego najdroższego dla ojczyzny, ten musiał nabrać przekonania, że z takimi ludźmi cudów można dokazywać! Można iść z gołemi rękoma po moskiewskie karabiny — z karabinami po armaty i wypędzić wrogów z naszej ziemi!

Im dłużej zostawaliśmy w tym obozie, tem więcej rozwijały się szlachetne pierwiastki miłości kraju rodzinnego w sercu każdego przez Stwórcę złożone. Nawet u prostaczków uczucia te klarowały się, idealizowały pod wpływem tych rozmów, tych poważnych dyskusyj, wesołych dykteryjek — nawet obozowych conceptów!

To też entuzyazm patryotyczny, zapal i chęć do walki rosły w żołnierzach, czy-

niąc nas nieczułymi na myśl o śmierci lub
kalectwie — uzdalniając do największych
ofiar w imię uczucia, które Krasicki tak
wzniośle określił:

Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe.
Dla ciebie zjadł smakuja truczny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe.

Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe;
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!¹⁾

Takim duchem ożywieni byli żołnierze polscy w obozie pod Goszczą, a jako jeden z nich, nie waham się twierdzić, że wszyscy.

O, śliczny to był obóz!

I dziś, po tylu latach, gdy te urocze obrazy, te nieokiełznane fantazje biwakowe, jak sny na jawie, przywołuję na pamięć — widzę je, słyszę — ale serce jakoś mięknie, pierś się rozszerza, lzy rzewne cisną

¹⁾ Wiersz z IX księgi „Myszeis”, który musiałem się nauczyć na pamięć z rozkazu ojca, gdym czytał ten poemat, mając lat kilkanaście.

się do ocz, a nieudolne pióro wypada
z ręki.

.

Bolu i żalu za nim nie mogę wyrazić
inaczej!

V.

Dyktatura, marsze i utarczki.

W czasie, gdyśmy odbywali mustry, gdyśmy się ćwiczyli w obrotach wojskowych, w używaniu broni, gdyśmy krzepili ducha i przygotowywali się do krwawych rozpraw z wrogami — w głównej kwaterze politykowano, rozgrywał się akt historycznej doniosłości. Tam w tym czasie właśnie przekonywano i przekonano Langiewicza o pożytku i potrzebie ujęcia władzy dyktatorskiej.

My, prości żołnierze, nic nie wiedzieliśmy o dokonanej w dniu 10 marca rewolucyi i zaledwie echa jakieś o tej przemianie rządu do nas dochodziły. Już wyraźniej mówiono o dyktaturze w dniu 12 marca, to jest w dniu, w którym wydano rozkaz zwinięcia obozu i wymarszu; fakt zaś stał się publicznym, gdy po opuszcze-

niu Goszczy rzeczywiście odbyło się uroczyste ogłoszenie dyktatury.

Około 11-tej godziny rano, na bloniu stosownie obranem za wsią, ustawiono całe wojsko w wielki kwadrat w ten sposób, że ołtarz przygotowany do ceremonii znajdował się w środku tegoż. Do ołtarza powołano starszyznę i tam wobec zebranych odczytał Jeziorański manifest Langiewicza do narodu o objęciu władzy dyktatorskiej, a ks. Kamiński odebrał przysięgę od dyktatora na wierność narodowi.

Rozległ się okrzyk: »Niech żyje dyktator!« — który powtórzyliśmy w szeregach i skończyła się ceremonia.

Nadmienię jeszcze, że sam fakt ogłoszenia dyktatury odbywał się tak daleko od żołnierzy, stojących w »carré« — żeśmy nie mogli słyszeć słów manifestu, a przysięgi i mało co widzieli, z powodu stłoczonych przy ołtarzu dostojników różnego rodzaju.

W czasie przysięgi Langiewicza, gdyśmy stali w szeregach kwadratu, miało miejsce dziwne atmosferyczne zjawisko. Słońce świeciło jasno na niebie; białe chmurki wolno przeciągały w przestworze, a w chwili uroczystej tak się ułożyły, że

dwie z nich na niewielkiej odległości od słońca, symetrycznie po prawej i po lewej jego stronie, jakby nieruchome przez kilka minut zawisły. Chmurki te, formą swoją owalną i wielkością prawie jednakowe, na cieńszym końcu posiadały jeszcze pewnego rodzaju wypukłości, jakby dodane do ogólnych kształtów, którymi zwrócone były ku słońcu. Otóż te wypukłości, nie większe jak sito, zostały silnie oświecone przez znajdujące się między nimi słońce, a przez odbicie wewnątrz nich słonecznego światła, same świeciły, zdawało się patrzącym, że one same świecą. Widok więc nie był zwykły, bo były trzy słońca na niebie.

Połączenie tego zjawiska atmosferycznego z aktem ogłoszenia dyktatury bardzo dobre wrażenie na wojsku zrobiło. Zdawało się, że znaki niebieskie wróżą nam lepszą przyszłość, a oświecając blaskiem swoim akt historycznej doniosłości, wróżą nową erę dla Polski, zapowiadają koniec smutku i żałoby narodowej. Gdyby nie te 3 słońca, to ogłoszenie dyktatury w obozie naszym przeminęłoby bez głębszego wrażenia, bo wojsko nie entuzjazmowało się tą nową formą rządu.

Nam żołnierzom szło o akcję, o walkę z moskalami, a to były jakieś konspiracye, nie bardzo zrozumiałe i odczute w szereгах.

Po skończonej ceremonii rozwinął się oddział i ruszył w pochód.

W tem miejscu zaznaczam jeszcze raz, że w owym czasie pułk nasz był w największym swym rozwoju i liczył nie całe 400 ludzi; dodam jeszcze, że już nigdy się potem nie powiększył, a po upadku dyktatury zanikł na zawsze. Żuawi polscy znikli, pozostawiając po sobie pamięć bohaterskich czynów, zapisanych chlubnie na kartach dziejów powstania 1863 r.

Pochód oddziału odbywał się w następującym układzie:

Naprzód awangarda, złożona z konnego oddziału, która wysyłała przed sobą szpicę z kilkunastu koni się składającą; za konnicą postępował do awangardy należący niewielki oddział strzelców. Tak jak za szpicą w pewnej odległości postępowała awangarda, tak za awangardą w pewnej odległości postępował cały oddział: więc reszta strzelców, kosynierzy — dwie armatki starego jakiegoś systemu, konnica, potem znów strzelcy, a na końcu tabor

z amunicją i bagażami. Pochód oddziału zamykała ariergarda złożona ze strzelców i konnicy, postępująca w odwrotnym porządku, jak awangarda. W marszu po większej części szliśmy dwójkami, więc cała kolumna była nadzwyczaj wydłużoną i ciągnęła się pewnie na jakie ćwierć mili.

W Słomnikach, któredy przechodziliśmy, Langiewicz, stojąc na ganku przed najpavradniejszym dworkiem miasteczka, odbywał przegląd przeciągających pułków i kompanii. W pobliżu dyktatora nasz bęben i klarnet odezwały się jakimś marszem odświętnym, żuawi starali się zastosować krok do rytmu muzyki, a Langiewicz pochwalił nas, mówiąc:

»Idziecie, jak gęsi«!

Słowa te utkwily mi w pamięci i uczułem pewien żal do dyktatora, łatwiej bowiem było robić uwagi z ganku, niż maszerować porządnie *per pedes* w błocie marcowem.

Już nad wieczorem przybyliśmy do Sosnówki, zajmując kwatery na nocleg po chatach i budynkach gospodarskich. My z 1-szej kompanii żuawów zapchaliśmy się

do jakiejś stodoły, gdzie wygodnie na słomie i pod dachem, od tak dawna nie widzianym nad głową, można było przenocować.

Tymczasem moskale, dowiedziawszy się o wymarszu Langiewicza z Goszczy, ruszyli także z Miechowa i już nazajutrz z rana dnia 13 zostaliśmy zaalarmowani.

Wobec tego zarządzono pogotowie do bitwy i ustawiono nas pod lasem za wsią. W tem pogotowiu do rozprawy będąc i oczekując rozkazów, widzieliśmy moskali ciągle dosyć daleko, a odpędzaliśmy tylko podsuwających się kozaków, jak psiuków, gotowych do szarpania w razie nieuwagi, a uciekających za lada zwrotem.

Na takich zaczepkach zeszedł prawie cały dzień, bo Langiewicz nie był w możności, lub nie chciał zmusić moskali do przyjęcia bitwy, a oni widocznie byli za słabi. Nad wieczorem gdzieś przepadli moskale, a my wróciliśmy do Sosnowki.

Tu nadmienię, że stojąc pod lasem, miałem sposobność oddać mój tornister na furgony, bo tornister, choć taki lekki i próżny prawie, jak mój, w marszu na plecach robi się taki ciężki, jakby był ołowiem wypchany. Wyrzekłem się więc wszelkich

pamiętek i bielizny i bez żalu rzuciłem biedę na furgony.

Na straż obozową, tak zwaną grangardę, pułk nasz wysłał tego dnia jeden pluton 2-giej kompanii. Grangarda, jest to straż, przeznaczona do czuwania nad bezpieczeństwem wojska podczas obozowania; ustawia się ona w pewnej odległości od obozu i wysyła przed siebie wedety, to jest przednie czaty, które zmienia co godzinę. Żuawów wysłano ku Szczepankowicom, na drodze do Miechowa, skąd moskale nadchodzili. Pod wieczór rzeczywiście patrol ich natknął na naszą wedetę i zabili żuawa. Dalszych skutków jednak z tego nie było, bo grangarda odpędziła ten patrol, przy której to akcji znów jeden żuaw był ranny (Kostro).

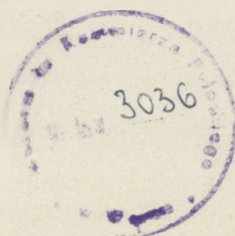
Wieczorem powróciła nasza grangarda, zmieniona przez inną, przywiózłszy zabitego i rannego. Pogrzeb uroczysty poległego towarzysza odbył się natychmiast przy świecach na cmentarzu w Sosnowce, wobec całego pułku; rannego odesłano furą do Krakowa.

Nazajutrz rano dnia 14 zwinęto obóz i pomaszerowaliśmy dalej.

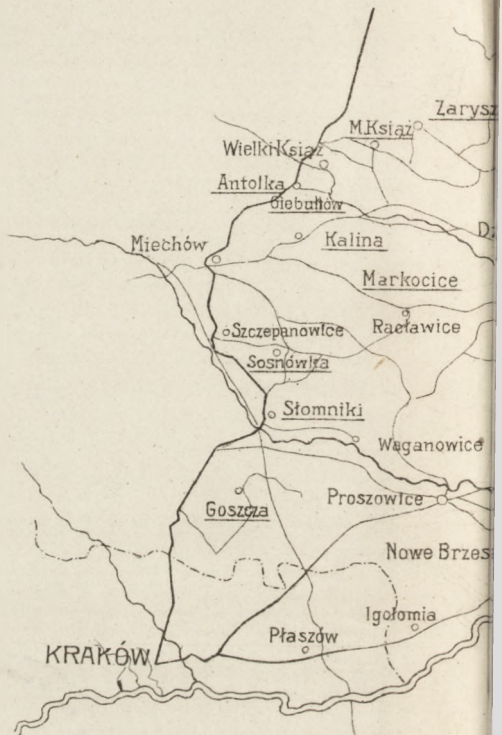
Dzień był pogodny, myśmy szli w awangardzie, szliśmy ochoczo, gwarząc i dowcipkując, nie wiedząc, jak zawsze, gdzie idziemy i jaki był najbliższy cel naszego pochodu.

W tym marszu właśnie, miałem sposobność na skřęcie drogi podziwiać wspałały widok całego oddziału Langiewicza, maszerującego za nami. Jak oko sięgnęło, postępowały szeregi naszego wojska, a widok ten rzeczywiście był imponujący; wywoływał w umyśle reminiscencye, gdzieś, kiedyś czytanych zwycięskich naszych pochodów, pokrzepiał ducha i dodawał nowej energii do znoszenia trudów.

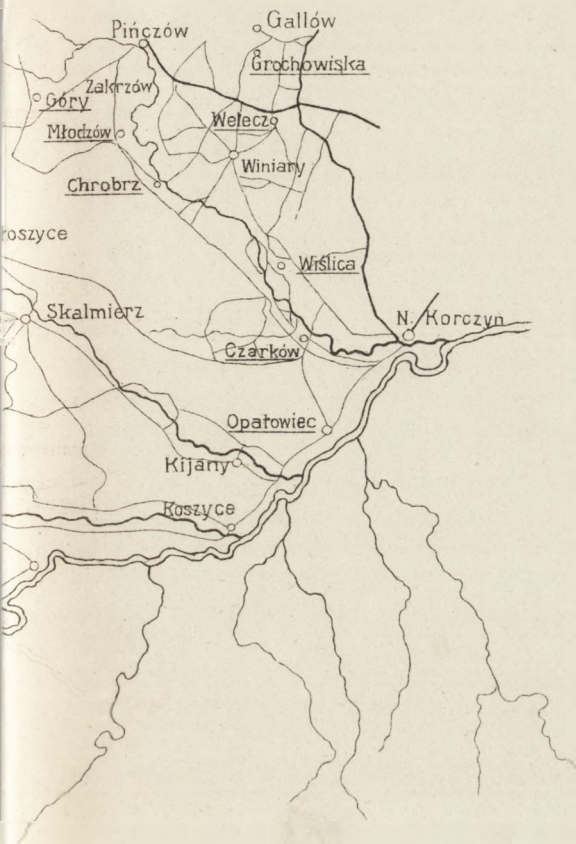
A propos trudów muszę nadmienić, że nikt sobie nie wyobrazi, kto nie doświadczył, jak nuży marsz w kolumnie wojskowej; mimo moralnej, wewnętrznej podniety i wysiłków woli do podtrzymania energii mięskulów, słabsze organizmy poddają się, omdlewają. W regularnem wojsku z takich to osłabłych tworzą się maruderzy; ale w powstaniu naszym maruderów być nie mogło, bo ktoby pozostał za oddziałem, to śmierć pewna go czekała od hyen kozackich, włokących się zawsze z daleka za nami. O tem jednak niebezpieczeństwie

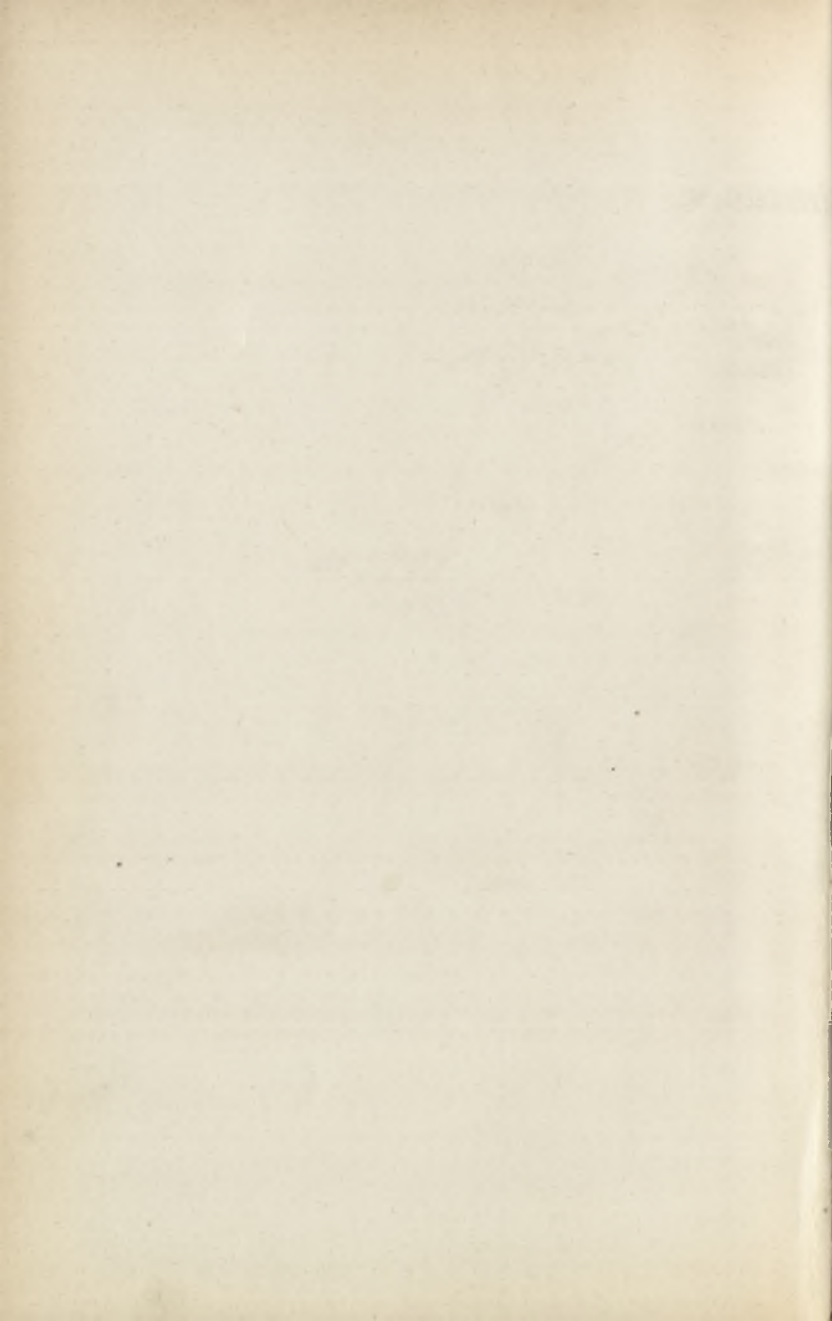


Mapa marszów I



ktatora





nikt nie myślał; jeden był trochę słabszy, drugi silniejszy, ale wszyscy jeszcze szli dzielnie. Ja też nie źle się trzymałem, tylko obuwie moje rozmokło w błocie i powykrecało się na nogach, a brak dobrych butów, to istotna klęska dla piechura.

Tak więc szliśmy dalej na Góry i Kalinę, zbliżając się do szosy wiodącej do Miechowa, a w nocy już weszliśmy do lasu. Między nami rozeszła się wieść, że Langiewicz urządza zasadzkę na kolumnę moskiewską, która konwojuje kasę wojskową z Kielc do Miechowa. Jakoż wkrótce w tym lesie znaleźliśmy się na trakcie bitym i przy karczmie; widocznie nas żuawów przeznaczono na pierwszy wypad, bo kazano zajmować cały budynek. Karczma była dosyć obszerna, więc pomieszciliśmy się, ale było nas wszędzie pełno, w izbach i na strychu. Zalecono jak największą ciszę i światła nie wolno było palić, tylko żyd świecił za szynkwasem łojówkę, jak zwykle. Siedzieliśmy więc na ziemi, lub leżeli cichutko, szeptem tylko rozmawiając, a wyteżając słuch na każdy odgłos z zewnątrz.

Co się z całym oddziałem zrobiło, gdzie był Langiewicz, nic nie wiedzieliśmy; nawet Rochebrune'a nie było widać, bo Ko-

morowski miał w tej karczmie komendę, a nazywała się ona Antolka. Siedzieliśmy więc w tej Antolce w ciągłym pogotowiu do walki i naprężeniu nerwowem całą noc, nie nie jedząc, bo nie było co i nie śpiąc, a siedzieliśmy daremnie, bo oczekiwani nie przybyli.

O świcie nakazano wymarsz. Po zetknięciu się z oddziałem, dowiedzieliśmy się, że moskale obeszlą naszą zasadzkę i pomaszerowali do Miechowa boczną drogą na Giebułtów, gdzie strasznych mordów i okrucieństw się dopuścili we dworze.

W pościgu za nimi i Langiewicz w tę stronę podążył, a my znów w awangardzie. Ponieważ maszerowaliśmy w lesie, a moskale mieli być jeszcze w Giebułtowie, nie zbyt odległej wiosce, więc z obawy zasadzki z ich strony, nieprzewidzianego wypadu z boków, lub jakiegokolwiek alarmu, rozrzucono przy naszej kolumnie linię tyralierów, po obu stronach postępującą, a zastępującą flankierów konnych. Po wyjściu z lasu doszliśmy do Giebułtowa, gdzie już moskali nie zastaliśmy, sprawdzono jednak straszne wieści, znajdując ciała ofiar dziczy moskiewskiej.

Po krótkim odpoczynku w Giebułtowie pomaszerowaliśmy dalej do Książa Małego, ale my żuawi teraz w arier-gardzie, ponieważ z tyłu groziło niebezpieczeństwo napadu moskali.

W Książu dano nam parę godzin wytchnienia i dostatni posiłek. W tym czasie w głównej kwaterze odbył się jakiś sąd wojenny na zdrajców, urlopników z wojska moskiewskiego, którzy mieli naprowadzić moskali do Giebułtowa. Wskutek decyzji dyktatora, nam, pułkowi żuawów, polecono wykonanie wyroku na takim jednym zdrajcy, to jest przy opuszczeniu Książa kazano go powiesić. Dla dopełnienia egzekucyi, około godz. 4 po południu zatrzymaliśmy się za wsią u wejścia do lasu. Jak przyszło do operacyi, odkomenderowani wypraszali się, nie chcieli się jej podjąć; dopiero gdy oznajmiono, aby się zgłosił ktoś na ochotnika, wystąpił kominiarczyk pewien, który wobec nas wszystkich dopełnił wyroku na zdrajcy sprawy ojczystej.

Nie będę opisywał tej sceny przejmującej, zanadto przykre wrażenie ona zrobiła; zabolalo serce, nie z żalu za człowiekiem, ale od samego faktu zdrady ze

strony ludu. Na szczęście podobne fakta zdarzały się tylko bardzo wyjątkowo.

Po tym epizodzie smutnym i bolesnym rozpoczęliśmy dalszy pochód.

Po wyjściu z lasu zaczęła się jakaś droga górzysta, gliniasta, z której nóg wydobyć nie można było; po spędzonej zaś bezsennej nocy i już w tym dniu odbytych marszach, uciążliwy to był nadzwyczaj pochód. To też znużenie i zmęczenie coraz więcej mnie ogarniało, potrzeba snu i spoczynku stawała się coraz gwałtowniejszą, a zwykle podniety do wywołania energii, nie miały już skutku.

Tymczasem i noc zapadła, a my idziemy, idziemy, nie wiedząc nawet, kiedy i gdzie będzie można głowę do spoczynku ułożyć; w szeregach znikła wesołość, przycichły śpiewy i dykteryjki, a maszerowaliśmy w cichości, ledwie powłócząc nogami.

Byłem wówczas tak znużony, taka nieprzeparta potrzeba snu mnie ogarnęła, że spałem, idąc. Nie chciałbym wierzyć, gdyby mi ktoś przedtem opowiadał, że można śpiąc maszerować, doświadczyłem jednak osobiście w czasie owego marszu, że można; od snu wówczas nie mogłem się w za-

den sposób wstrzymać, kolegów tylko prosiłem, aby na mnie uważali.

Muszę tu jeszcze wspomnieć, że wielką przysługę oddał mi jakiś urlopnik z wojska austriackiego, w sąsiedztwie mojem idący. Ten pocziwiec, krępy, silny krakus, gdym się żalił, że od noszenia karabinu oba ramiona już mnie bołą, podratował mnie i ofiarował się nieść wraz ze swoim i mój karabin — i on też głównie uważał na mnie w czasie snu. Wdzięczny byłem i jestem temu towarzyszowi tem bardziej, że przysługa była prawdziwie koleżeńska, zupełnie bezinteresowna. Dodam jeszcze, że i duchem był to tęgi chłopak ten krakus, szedł doskonale w boju, o czem później nadmienię; szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska.

Kiedyśmy zaszli do Zaryszyna, jak długo spałem w marszu — nie wiem; jaki był tam nocleg, nie pamiętam. Zapewne nic ważniejszego się nie wydarzyło, a zmęczenie odebrało mi wszelką świadomość.

Nazajutrz dnia 16 od rana znów pochód; wzmocniłem się wprawdzie spoczynkiem, ale odczuwałem teraz nieznośny ból w nogach, jakie mi sprawiało moje zbakierowane obuwie; mimo to szedłem wytrwale,

a maszerowaliśmy bez przerwy cały dzień prawie.

Tak idąc na Góry i Młodzawy, bez niepokojów ze strony moskali, nad wieczorem przybyliśmy do Chrobrza.

VI.

Marsz żuawów pod Chrobrem.

Chrobrz, starożytna osada jeszcze z czasów Bolesława Chrobrego, położony jest nad Nidą, której okolice słyną z piękności, a gleba urodzajnością w całym Królestwie Kongresowem. W tych stronach uroczych i bogatych znajduje się własność i ordynacya, jeśli się nie mylę, margrabiów Myszkowskich hr. Wielopolskich: klucz pinchowski. Margrabia obrał Chrobrz za swoją siedzibę i centrum tego klucza, a pałac, park i zabudowania dworskie urządził z magnackim istic przepychem i pańską fantazyą.

Prawa strona Nidy, na której właśnie Chrobrz się rozsiadł, jest znacznie wzniesioną nad lustro rzeki, a strome brzegi tejże, szczególnie w kierunku pod wodę, ciągną się na znacznej długości. Lewa strona przedstawia rozległą nizinę, na którą

zjeżdża się w Chrobrzu przez środek osady drogą dobrze prowadzoną i przez most na Nidzie, 20 do 30 metrów długi, jeżeli dobrze pamiętam. Za mostem droga prowadzi do wsi Zagościa i przysiółka Woli Zagojskiej.

Pałac i zabudowania margrabiego znajdują się na początku Chrobrza, w stronie północno-zachodniej, skąd właśnie przybywaliśmy.

W tym to pałacu rozkwaterował się sztab dyktatora i otoczenie; nas żuawów ulokowano w sąsiednich oficynach, w suterrenach, gdzie nam było bardzo dobrze, bo ciepło i sucho.

Rozpatrzywszy się dobrze w zakamarkach suterrenowych, szperacze wynaleźli, że tam były i piwnice, które naturalnie otworzyły się na przyjęcie gości. Wnet się jednak wiadomość o tem odkryciu rozposzechniła i nie dano nam bardzo gospodarować, bo znaczną ilość wina zarekwirovano dla sztabu. Mimo jednak tej spółki, każdy orzeźwił zmęczone ciało i prześpawszy noc na słomie, nazajutrz czuł się pokrzepiony i odświeżony.

Z rana mieliśmy trochę wolnego czasu, więc zdjąłem buty, pierwszy raz od czasu wyjazdu z Krakowa, aby opatrzyć moje

narzędzia do chodu; przekonałem się, że były w oplakanyim stanie. Części twarde wykrzywionego obuwia powpijały się w ciało i rany krwawiące potworzyły się na obu nogach.

Doświadczeni poradzili mi, — a była to bardzo dobra rada i skuteczna — abym nogi wymoczył w spirytusie i zawinął płótnem, lojem wysmarowanem. Tak też zrobiłem, a za moim przykładem kilku jeszcze kolegów.

O spirytus nie było trudno, bo w piwnicy odkryto już beczułkę jakiegoś lepszego alkoholu, więc z łatwością można było sobie i lekarstwo przyrzadzić.

Wspominam o tym szczególe z rozmysłem.

Czytałem wielokrotnie ubolewania z tego powodu, że powstańcy przez zemstę mieli zrujnować siedzibę Wielopolskiego; a jako akt barbarzyństwa przytaczano, że żuawi nawet piwnicę margrabiego wypróżnili.

O zrujnowaniu pałacu i wogóle urzędzeń mieszkalnych i gospodarskich pisze Jeziorański w swoich pamiętnikach, a pisze, że wydano rozkaz szanowania wszystkiego i że żadnej szkody nie było.

Bentkowski w »Notatkach« powtarza to samo, dodając, że w pałacu mogły się zdarzyć indywidualne wybryki wandalizmu, które jednak on, jako szef sztabu, a także i dyktator, ukracali natychmiast.

Ja sam, o tem, co się w pałacu stać mogło, sądu wydać nie mogę, bo tam nie byłem, ale i nie słyszałem od nikogo, aby po wyjściu sztabu ruina pozostała. Zaświadczyć za to mogę, że oficyna z całym swoim urządzeniem, w której myśny kwaterowali, w niczem nie została uszkodzoną.

Co innego z piwnicą, to jest z jej zawartością. Ta została wysuszona — ta posłużyła na pokrzepienie marszami, niewygodami, zimnem zmęczonego organizmu żołnierzy polskich. Przyczem zaznaczam, że żadnych wybryków nie było i nie mogło być, bo wina było bardzo mało w stosunku do ilości żuawów, w połączeniu ze sztabowcami, to jest w stosunku do tych, którym zarzut czynią z powodu wypróżnienia tej piwnicy.

Margrabia Wielopolski majątkowo bardzo lekko przeżył te ciężkie czasy, w których szlachta ówczesna składała majątkina dobrowolne ofiary dla powstania, traciła

je od rabunków moskiewskich i konfiskat. Margrabia, wbrew może swemu życzeniu, ugościł nas tylko, racząc winem swej piwnicy, oraz gotowaną kolacją, śniadaniem i obiadem, jakich od tak dawna nie jedliśmy. Nie wielkie więc były to ofiary, ale dla nas żuawów, były one wówczas bardzo cenne; ja zaś i w tej chwili odnalezienie tej beczulki ze spirytusem uważam za szczęśliwy traf, przez który mogłem tak ważne członki, jak nogi, uczynić przydatnymi do dalszej służby.

A służba ta miała być ciężką.

Około godz. 1 z południa przyjechały, czy przystawiono jakieś dwie panie, które zawiadomiły sztabowców, że moskale już są w pobliżu Chrobrza i idą od strony Miechowa, to jest od tej, skąd myśmy także przyszli. Wiadomość tę natychmiast sprawdzono i zaczęto się przygotowywać do bitwy. Gdy zaś Chrobrz, jako miejscowość, był niedogodny do przyjęcia na pole walki, co twierdzi Bentkowski w swoich »Notatkach«, więc dano rozkaz do wymarszu i przejścia na lewy brzeg Nidy.

Żuawów przeznaczono do arier-gardy i asekuracyi saperów, mających zniszczyć

most po przeprowadzeniu wojska naszego, aby się moskale za nami nie wlekli.

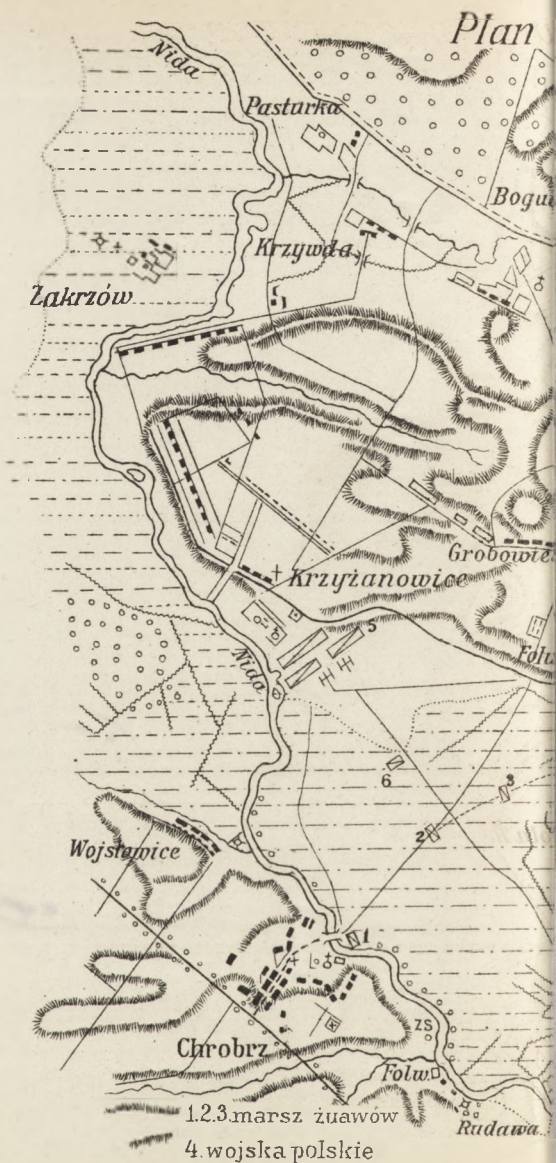
Ponieważ nieprzyjaciel miał być już nie daleko Chrobrza, więc najpierw kazano nam żuawom obsadzić wieś od tej strony, skąd przybywał, celem wstrzymania go, dopóki się cały oddział na lewą stronę rzeki nie przeprawi.

Moskale nie nadeszli i nas ściągnięto ze wsi, a ustawiono przy moście po drugiej stronie Nidy; mogła być godzina 4 po południu. Saperzy wzięli się do roboty, a myśmy stali.

Jeszcze robota nie była skończona, gdy się moskale zaczęli wysuwać, ale z innej strony, nie od Chrobrza.

Teraz dla jasności opisu akcji, która nastąpiła, dodam jeszcze, że nizina lewo-brzeżna, zaznaczona powyżej, przedstawiała się wówczas, jako równe, gładkie pastwisko, rozciągające się na wprost mostu, na szerokość około 3 kilometrów. W tej odległości rozpoczynały się wzgórza 20 do 30 metrów wysokie, porośłe krzakami, które w górę rzeki, to jest w lewo, jeżeli patrzymy z mostu, łagodnym łukiem zbliżają się do Nidy i ograniczają z tej strony owo pastwisko. Trochę na prawo od mostu

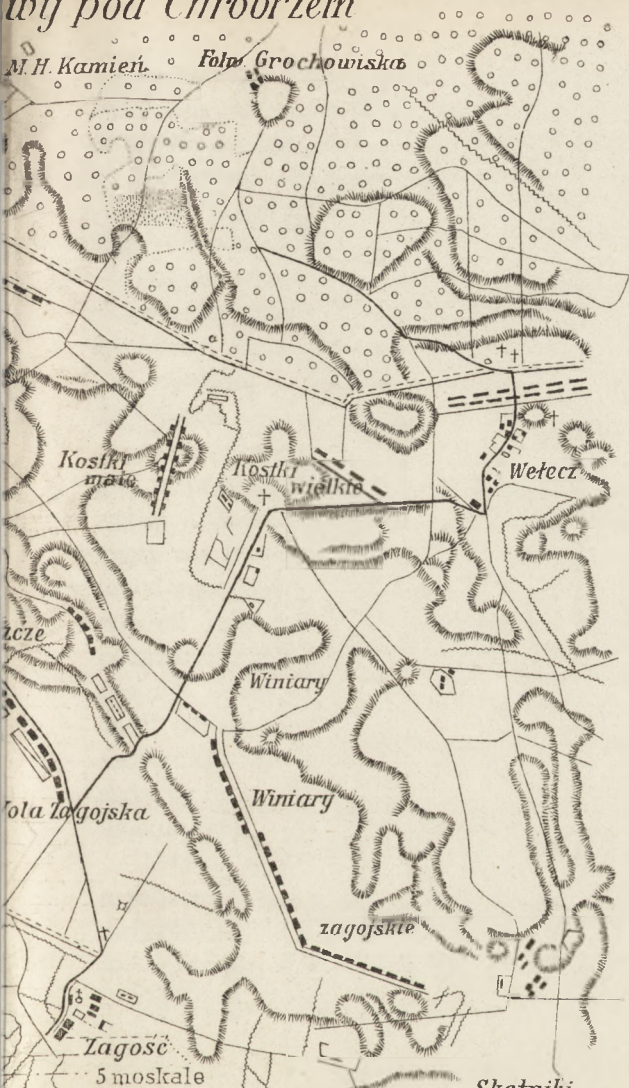




wy pod Chrobrem

M. H. Kamień

Folw. Grochowska



zcze

ola Zagojska

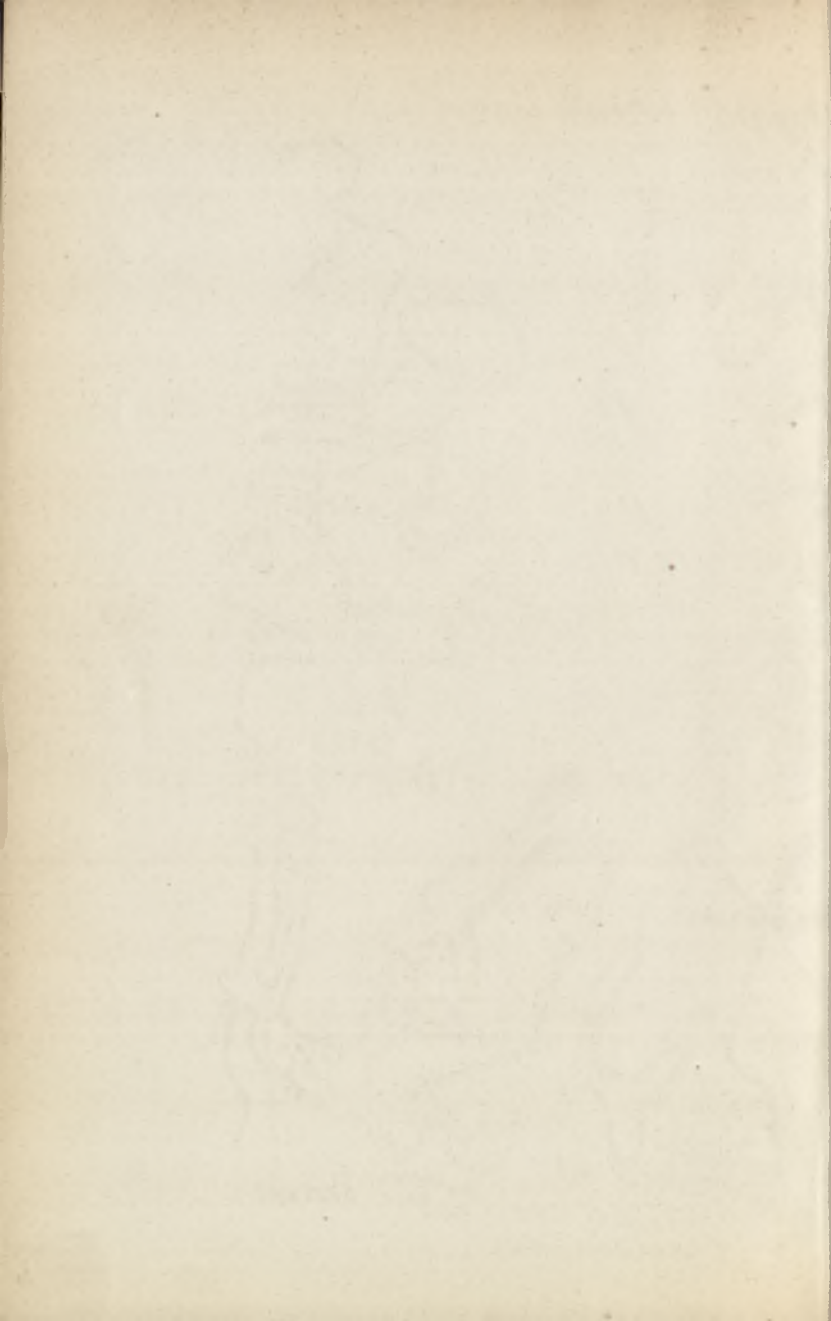
Lagosc

5 moskale

6 szarżujący dragoni mosk.

7 kawaleria polska

Skotniki



Chroberskiego, u stóp wzgórza, bieleją chaty Woli Zagojskiej; Zagość zaś położony jest znacznie na prawo i bliżej Nidy.

Skreślony tu opis topograficzny miejscowości przedstawiam na dołączonym obok szkicu i powracam do naszej akcji.

Stojąc więc w szeregach obok mostu i oczekując ukończenia pracy saperów, widzieliśmy, że całe wojsko nasze przeszło już równinę i znajdowało się obok Woli Zagojskiej pod wzgórzami.

Jeszcze saperzy mieli dosyć do roboty, gdy z przesmyku między opisanymi wzgórzami a Nidą, z lewej strony naszej, zaczęły się wysuwać kolumny moskali. Było to od nas może 2 kilometry, może trochę więcej; położenie więc nasze nie było do pozazdroszczenia, ale kazano stać, stoimy. Stoimy może jeszcze z pół godziny; moskali coraz więcej sypie się na łąkę i już zaczynają się formować do bitwy — więc saperzy nasi, nie dokończywszy rozbierania mostu, resztę podpalili.

Gdy most już się dobrze palił, zakomenderował Rochebrune pochód i poszliśmy najkrótszą drogą, przez szerokość doliny, ku centrum naszego wojska.

Idziemy.

Gdy to się dzieje koło mostu, gdy moskale ustawiali się do bitwy na początku przesmyku i w naszym wojsku wszczął się ruch. U wierzchołka wzgórza ukazują się na horyzoncie strzelcy pojedynczo w pewnej od siebie odległości, a więc tyralierzy, którzy, postępując ku moskalom, zaczęli już strzelaninę. Na dole, zdawało się u podnóża góry, pułki zmieniają swe stanowiska i białe sukmanki kawaleryi widać także w ruchu.

Moskale ze swej strony w szyku bojowym wyciskają się coraz głębiej naprzód, na równinę, tak, że jeszcze trochę, a będą mogli łatwo odciąć nas żuawów, nie dopuścić do połączenia z oddziałem i zniszczyć.

My idziemy ciągle, a idziemy pospiesznym marszem; nie byliśmy jednak w $\frac{1}{3}$ części drogi, gdy widzimy, że kawalerya moskiewska wybiegła przed kolumny piechoty i stanęła — a po chwili, cały pułk, czy ilu ich tam było, leci w największym pędzie wprost ku nam.

Położenie nasze teraz zaczęło być poważne bardzo, serce żywiej bić zaczęło, a ci i owi, co niecierpliwszi, wybiegają ze szeregów i strzelają na moskali. Mimo

to idziemy ciągle naprzód frontem w kolumnach plutonowych i w możliwym porządku. Oficerowie, starszyzna, krzyczą, nawołują, aby nie strzelać, ale bez skutku, bo młody żołnierz nie mógł wyczekać, aż moskale przybliżą się na pewny strzał, nie miał dość zimnej krwi, nie mógł opanować podniecenia.

Tymczasem moskale pędzą galopem, przestrzeń między nimi a nami szalenie się zmniejsza, a położenie nasze staje się coraz groźniejsze. My jednak maszerujemy i trzymamy się dobrze, a nie tracąc z oczu szarżujących i myśląc o starciu w ręcznej walce, przygotowujemy się do zmiany frontu, gdy już będą przed nami.

Już dragonów można rozpoznać, już słyszeć wyraźnie tentent galopu, już za chwilę nas najadą — więc cisza się zrobiła w szeregach, wszyscy spoważnieli; tu i owdzie tylko kończą nabijanie karabinów, poprawiają na sobie ładownice, lub opatrują bagnety, czy dobrze osadzone i ostre.

Wtem widzimy, że nasza kawaleria, pod górą stojąca, rusza z miejsca, wybiega naprzód i pędzi wprost na moskiewską.

I w tejże chwili wszystko stanęło.

Moskale pierwsi osadzili konie, zagrożeni odcięciem od swoich i wzięciem we dwa ognie; potem nasza kawalerya — nie wiem dlaczego, może była za słabą do pojedynku w otwartem polu — a nareszcie i my stanęliśmy bez rozkazu, mimowolnie, pod wpływem odniesionych wrażeń.

Odetchnąwszy cokolwiek ze wzruszenia, jakie ta szarża sprawić musiała w organizmie każdego i zrównawszy szeregi, znów maszerujemy dalej, a byliśmy już prawie w połowie drogi i mogła być godzina około pół do 6-tej.

Zaledwieśmy uszli kilkadziesiąt kroków, widzimy, że między moskalami wszczął się ruch na nowo i zmieniają swoje pozycye. Kawalerya, która szarżowała na nas, cofa się i ustępuje na bok, a inni wysuwają się szybko naprzód i kręcą się na miejscu. Wtem błysk, huk — a po chwili szum gruby, buczenie jakieś w powietrzu nad nami, dały znać, że ustawiali baterye w dogodnej pozycji i walą teraz z armat na nas.

Ha, cóż robić było! oni strzelają, a my idziemy dalej.

Ciekawy to był widok jednak tego naszego żołnierza, nieoswojonego jeszcze z ku-

lami armatniami. Błysk i huk nie robił wrażenia, dopiero słysząc buczenie w powietrzu, ten i ów mimowolnie przysiadł do ziemi. Ile razy moskale strzelili, a warczenie granatu dało się słyszeć, jak na komendę pewna ilość naszych przycupnęła, choć żadna kula nie może być szkodliwą, gdy się ją słyszy, już bowiem przeleciała, sprawiając tylko ruch w powietrzu, głosem się wyrażający.

Moskale haniebnie strzelali; ani jeden granat między nami nie eksplodował. Z początku przenosiły nas pociski i za nami ryły się w ziemię; potem znów przed nami widzieliśmy bałwanienie się gruntu.

Ale można się oswoić ze wszystkim; wkrótce też pewność i swoboda powróciły do szeregów i żartowano, jak na paradzie. Ja wtenczas miałem mocniejsze nerwy i nie robiła na mnie zbyt wielkiego wrażenia ta szarża dragonów, a już żadnego ta strzelanina; z tytułu zaś podoficerskiej rangi starałem się utrzymać porządek w moim półplutonie i dodawać animuszu żołnierzom.

Przypominam sobie, że w tej myśli, wraz z kilkoma kolegami, chciałem, słysząc

szum, zobaczyć kulę, lecącą w powietrzu; daremne jednak były nasze wysiłki.

Tak idąc pod tym ogniem armatnim, zbliżaliśmy się do naszych głównych sił. O zachodzie słońca armaty ucichły, a myśmy już w spokoju dobili do swoich.

Lżej się na sercu zrobiło.

Przyjęto nas okrzykami życzliwości i podziwu za ten marsz, więcej niż godzinę trwający, wobec niebezpieczeństwa śmierci w każdej chwili, rzeczywiście świadczący o duchu męstwa, karności i gotowości do poświęceń młodego żołnierza; — za tę defiladę garstki, wobec potęgi zgromadzonej moskwy, garstki, wytrzymującej z zimną krwią grozę napadu licznej konnicy w czystym polu; — za tę defiladę pod ogniem działowym, którą, nawet najwięcej ostrzelane wojsko, szczycićby się mogło.

Dyktator i naczelnicy pospieszyli uściśnić dłoń Rochebrune'owi. My w szeregach odczuliśmy żywo to podziękowanie naczelnika narodu, a chwila ta wzniosła wraz z szlachetną dumą, zostanie do śmierci w pamięci każdego żuawa.

Gdyśmy trochę wypoczywali, mrok zaczął zapadać. Moskale znikli, straciliśmy

ich z oczu i nasz oddział zaczął się wkrótce ruszać w dalszą drogę.

W tej bitwie, w tej potyczce raczej, jak teraz obrachowałem, według opisów polskich i moskiewskich, wzięło udział moskiewskiego wojska około 1600 piechoty, dwa szwadrony dragonów, 40 kozaków i 4 działa, pod dowództwem pułkownika Czengierego.

Ofiar z naszej strony nie było żadnych, nikt nie był ranny nawet; Rochebrune miał tylko konia zabitego od kuli jakiegoś, zapewne naszego szeregowca, gdy się wyrывano do strzelania na moskiewską kawalerję.

Czy dragoni czego nie oberwali, to trudno było sprawdzić, jak również nie wiem, czy był jaki krwawy rezultat utarczki naszych strzelców na wzgórzu.

Gdy pamięcią sięgnę jeszcze w te czasy i gdy dziś wczytuję się w historję tej kampanii dyktatorskiej, widzę i przekonuję się, jak śliczne to było położenie, ta równina nadnidziańska, do wydania bitwy moskałom i do wygrania.

Dlaczego wówczas Langiewicz nie skorzystał z tak dogodnej pozycyi, jaka była

pod Chrobrzem, z takiej przewagi sił nad nieprzyjacielem i nie zniszczył zupełnie Czengierego?

Dlaczego nie wydarto armat moskałom, dlaczego? dlaczego?!

VII.

Bitwa pod Grochowskimi.

Już noc zapadła, gdyśmy ruszyli z miejsca i idziemy. Z początku nie źle się szło, bo jeszcze świeże wrażenia przebytych zdarzeń panowały wyłącznie w organizmie. Po trochu jednak wrażenia te zacierały się, a nowe występowały: zmęczenie i głód. Po dwóch godzinach marszu już zmęczenie zaczęło ubezwładniać, a głód niemiłosiernie dokuczać, bo od obiadu w Chrobrzu nic jeszcze nie jedliśmy. Na domiar utrapień, po całodzienniej pogodzie, zrywa się szalona burza, ciemnica robi się taka, że sąsiada nie widać, a wiatr ostry świszcz i deszcz tnie po twarzy niemiłosiernie.

W takiej biedzie idziemy jeszcze dosyć długo, gdy w tem krzyczą: stać! Mogła być godzina 10 wieczór. Stanęliśmy więc i stoimy, a będąc w jakiejś wiosce, nasza

kolumna zatrzymała się przypadkiem przed dworkiem, do którego sztab się schronił.

Nigdy nie zapomnę tego niby odpoczynku.

Zimny, marcowy wiatr z deszczem przenikał kości do szpiku, mroził krew nawet tak gorącą, jak nasza. Trzęśliśmy się z zimna, szczekotali zębami, a znużeni całodziennem naprężeniem nerwów, umęczeni marszem, złorzeczyliśmy, przeklinali ten sztab, który przed naszymi oczami w jasno oświeconych pokojach odpoczywał w cieple i zaciszu. Zimno było tak przerażliwe, że, mimo umęczenia, pragnęliśmy ruchu, pragnęliśmy iść dalej.

Wreszcie po godzinie może wyczekiwania na odpoczynek sztabu, ruszamy; nie szliśmy jednak daleko, bo w sąsiedniej wiosce, a może w tej samej nawet, wydano rozkaz, aby przenocować. Nie pamiętam, gdzie i jak się spało; może być, żeśmy spoczęli w Welczu, lub przysiółku, należącym do Welcza. To tylko pamiętam, że nazajutrz rano byliśmy już w jakimś lesie, gdzieśmy się rozłożyli obozem.

Dziękując Bogu, że można było trochę swobodniej odetchnąć, bo i czas się uspokoił

i jakoś pięknie zaczęło się robić na świecie, pozapalaliśmy ogniska.

Tymczasem zajechały furgony z chlebem, solą, wódką, słoniną i wkrótce podjedliśmy dobrze, a przy pełniejszym żołądku zrobiło się także weselej.

Na tych furgonach odkryli znów szperacze kocioł i kaszę, więc się zakręcono, aby gotować ciepłą strawę. Gdy jednak pomiędzy tymi szperaczami byli bardzo zmyślni i zdolni do wszystkiego towarzysze, więc nie tylko miała być kasza ze słoniną, ale i pieczeń, bo już jakąś świnię wynaleźli u gajowego z niedalekiej chaty, którą, ze znajomością sztuki rzeźniczej pozbawiwszy życia, sprawiali i przyrządzali. Kartofle także się piekły.

Nadzieja na kaszę ze słoniną i kawalek mięsa ożywiła wszystkich, a gdy słońce około godz. 10-tej zaczęło jasno przyświecać, było już zupełnie wesoło w obozie.

Grzejąc się i susząc przy ogniskach, omawialiśmy przebyte wypadki i utrapienia; wtenczas to dowiedzieliśmy się dopiero, że po ruszeniu oddziału z pod Woli Zagajskiej, kozacy dopadli naszych wozów i zabrali część furgonów.

Mój tornister przepadł. A propos torni-

stra, opowiadałem kolegom, że jeżeli jakiś gramotny kozuś zdobył go, to miał pociechę, bo było tam wprawdzie mało rzeczy wartościowych i bielizny — ale za to mnóstwo wierszy i poezyi pamiątkowych, wygranych kiedyś w zielone. Zaczęli się z tego śmiać i żartować.

Wtem rozległ się krzyk: moskale!

W obozie naszym zrobił się ruch, jak w ulu, gdy się raptem pszczoły poruszy. Każdy, kto się trochę przygotowywał do odpoczynku i częściowo rozebrał do suszenia rzeczy, teraz w pośpiechu naciąga ubranie, chwyta karabin, opatruje ładunki i staje do szeregu.

Nim zacznę opowiadać dalszy ciąg wypadków, opiszę krótko miejscowość, w której bitwa się odbyła. Naturalnie opis ten zastosuję tylko do tego terenu i tej okolicy, gdzie my żuawi byliśmy czynni.

Przedewszystkiem więc zaznaczam, że cała bitwa odbyła się w lesie, w którym znajdowaliśmy się, a w którym także znajdował się gdzieś folwark, czy przysiółek: Grochowska.

Od nazwy tego folwarku wywodzi się nazwa pamiętnego zwycięstwa naszego nad moskalami w owym dniu: 18 marca 1863 r.

Obozowisko nasze, gdzieśmy ognie palili, założone było na równinie o jakie 60 metrów od wzgórza, w równej prawie linii w kierunku południowo-wschodnim się rozciągającego. Wzgórze to, wysokie jak dobra grobla, było dosyć spadziste ku nam; po wyjściu jednak na szczyt widziało się drugostronny stok, bardzo łagodnie nachylający się ku zachodowi.

Prawie prostopadle do owej grobli, więc mniej więcej w kierunku południowo-zachodnim, obok naszego obozowiska, był wyręb wśród lasu, na którym z tej strony szczytu wzgórza stały jeszcze sągi, a z drugiej strony już były zabrane. Ten czysty zręb na którym nie było już sągów, dochodził aż do pól ornych i otwierał widok na prześliczny krajobraz nadnidziańskiej równiny, z bielejącymi w dali wioskami.

Patrząc z miejsca, gdzieśmy ogniska palili wprost na wzgórze, po lewej stronie na znacznej długości rozciągał się gruby las po obu stokach tegoż; po prawej stronie, po obu stokach, był zręb, o którym mówiłem, a za zrębem, przed szczytem wzgórza gruby las, zaś na drugim stoku zagajnik, to jest krzaki dosyć gęste, ze trzy metry wysokie.

Szkic tych szczegółów, obok załączony, wrysowany z pamięci w mapę miejscowości, jaśniej położenie przedstawi.

Otóż po alarmie, zaczęliśmy się formować w plutony i kompanie i biegiem wydostawaliśmy się na grzbiet wzgórza, na czysty zrąb. Zrąb ów w tem miejscu był szeroki na jakie 150 metrów, dalej zaś ku dołowi rozszerzał się nieznacznie może do 180 i tam — jednak przed lasem jeszcze — od nas na kilkaset metrów, stali moskale.

Jak tylko plutony nasze zdążyły wydostać się na szczyt wzgórza, rozsypywały się w tyraliery na komendę Rochebrune'a. Linia tyralierów naszych zajęła całą szerokość zrębu, część lasu w lewo i zagajnika w prawo, a była dosyć gęsto obsadzona, bo zaledwie parę kroków szedł żołnierz od żołnierza.

Na szczycie wzgórza, w środku zrębu, pozostała nasza chorągiew rozwiniętą w pełnej paradzie z pół-plutonem rezerwy dla jej obrony — błogosławiąc krzyżem białym własnej drużynie — rażąc z wysoka swymi grobowymi kolorami moskali i wzniecając między nimi postrach śmierci.

Cała ta akcja, którą opisałem, odbyła się w jak najszybszem tempie, tak, że

gdysiny już byli w tyralierach i widzieliśmy dobrze moskiewskie szeregi, odezwały się ich salwy rotowego ognia: jedna, druga, trzecia itd. bez ustanku, a wśród tych salw od czasu do czasu huczały działa, ziejące kartaczami.

Z naszej strony rozpoczynał się ogień natychmiast po zajęciu stanowiska w linii tyralierów; a strzelaliśmy tak prędko, jak który zdążył nabić broń. Dodam tu jeszcze, że mieliśmy, zdaje mi się, po 40 ładunków, a że ówczesne karabiny, tak nasze jak i moskiewskie, nabijały się z wielką stratą czasu przy pomocy stempla, więc i tych 40 ładunków na długo wystarczały żołnierzowi w czasie bitwy.

Rotowy ogień moskiewski w ten sposób wówczas praktykowano, że wojsko stało w zwartych szeregach rotami, tj. kompaniami i szeregi te na komendę razem strzelały. Im więcej było rot, tem gęstsze były salwy i naraz setki kul wyrzucano na przeciwników.

Dziwne to jest wrażenie takiej salwy. Wśród dymu nie widzi się strzelających, rozróżnia się tylko błysk, słyszy huk i w tej-że chwili świst koło siebie — a świst ten różnej siły i barwy głosu: to cieńszy, to

grubszy. Jak kula bardzo blisko koło uszów
świśnie, człowiek mimowoli odchyła głowę,
choć ona już dawno przeleciała; po kilku
jednak salwach oswajają się nerwy z tą
muzyką i nie robi ona już większego wra-
żenia.

Piekielny ogień wówczas moskale na
nas wyrzucali: co chwila salwy karabi-
nowe, co parę minut grzmot dział, a kule
po kilka jednocześnie świstały to koło gło-
wy, to niżej — bo i to można rozróżnić —
to z prawej strony, to z lewej.

Myśmy ciągle szli naprzód, a straszny
to był pochód wśród tego ogłuszającego
huku, świstu, wśród tego wycia gradu kul,
wśród tej atmosfery dymem i zapachem
prochu nasyconej, słysząc krzyk i jęk pa-
dających w sąsiedztwie kolegów! Myśmy
szli, nie zwracając na nic uwagi, nabijając
broń i strzelając tam, skąd błysk się po-
kazywał. Ja idąc prawie w środku czystego
zrębu, krzychałem: »karabiny równo od
ziemi«, bo to zasada na blizki dystans, aby
strzały były celne; inni krzyczeli »hurra«,
inni znów zachęcali ze swej strony do mar-
szu na moskali. Był to, jednym słowem,
straszny pochód, pelen brawury i lekce-
ważenia życia, wśród tak ciężkich warun-

ków dla młodego i nieostrzelanego żołnierza. Ale entuzjazm, idea, ożywiająca nasze szeregi, przeświadczenie o zwycięstwie, pchały naprzód każdego. Szliśmy więc i strzelali, szliśmy i krzyczeli, szliśmy ciągle naprzód na moskali!

Gdy już się zdawało, że jesteśmy u końca zrębu i powinniśmy być nie daleko moskiewskich szeregów, gdy już przygotowywaliśmy się w myśli do ręcznej walki na bagnety — raptem kanonada ustała. I myśmy stanęli, nie wiedząc, co się dzieje; stanęliśmy, oczekując dalszej akcji ze strony wrogów, lub rozkazu naszych dowódców. Tymczasem nic nie widać, rozkazów nie słyszać, a dym gęsty głębiąc się nisko na zrębie między dwoma lasami, zasłaniał zupełnie widok przed nami; byliśmy pełni zdziwienia, niepewności i oczekiwania, co dalej się stanie.

Jak się powietrze oczyściło, zobaczyliśmy moskali — już daleko, jak na gwałt uciekali.

Na ten widok odetchnęło się swobodnie.

— Uciekają, uciekają!

Sprawdziły się sny, ziściły marzenia — nadzieje nasze zmieniły się w rzeczywistość! Była to błoga chwila.

Krzyczeliśmy: uciekają, uciekają!

Opisać wrażeń, jakie wywołuje widok uciekających moskali, nie jestem w stanie. Niech serce polskie czytelników ten brak uzupełni.

Nasyciwszy się tym widokiem, my, cośmy byli na zrębie i mogli najlepiej śledzić każdy ruch moskali na naszej pięknej nadnidziańskiej dolinie, z uczuciem radości w duszy wracaliśmy pod dowództwem podporucznika Postolskiego do naszej chorągwi — a było nas ze 20 tylko.

Gdyśmy przybyli na szczyt wzgórza, nie było już tam nikogo. Co się ze wszystkimi stało, gdzie się oni podzieli, nikt z nas nie wiedział. Podporucznik Postolski powiada: »Stójcie tu, ja pójdę zobaczyć, gdzie się nasi gromadzą i przyjdę po was«. I poszedł w zagajnik; może była wtenczas godz. 1 z południa.

Stoimy więc i czekamy, rozmawiając o szczegółach bitwy, o zabitych, o rannych. Ilu naszych padło w tym pochodzie, trudno było teraz wiedzieć, bośmy szli na przód z uwagą ciągle skupioną na moskali, a nie mogąc nawet objąć okiem linii bojowej, trudno też było mieć wyobrażenie o całości przebiegu bitwy. Z naszego plu-

tonu na zrębie dosyć padło, a każdy z nas, stojących teraz na szczycie pagórka, dziękował Bogu, że jeszcze żył. Mnie Matka Boska strzegła i cudem prawdziwym wyszedłem z tego strasznego ognia bez szwanku, nawet niedraśnięty — tylko w dole guńka była podziurawiona.

Pominać teraz nie mogę wspomnienia o tym krakusie, który mnie podratował w dźwiganiu karabina pod Zaryszynem. Otóż i teraz szedł on obok mnie; poły swego austriackiego płaszcza podwinął z przodu pod pasek, aby mu nie przeszkadzały — fez na tył głowy odrzucił i szedł z nosem zadartym do góry, szedł pochylony ciałem, czekając na błysk ognia moskiewskiego, aby tam kulę swoją posłać.

Wtem zaklął.

— Co ci się stało? — pytam.

— Aby ich... — i zaczął sypać pięknym doborem przekleństw pod adresem moskali, pokazując mi strzaskane łoże swego karabina.

— Co ja teraz pocznę, panie sierżancie?

— Masz szczęście — mówię — kolba wyratowała cię od pigułki moskiewskiej — i chciałem dodać, aby się wrócił po kara-

bin którego z poległych; wzrok jednak mój już rozumiał, gdym się obejrzał, stosując mimowoli ruch głowy do myśli i pobiegł po karabin jednego z tych, którzy już unieść broni w stygnących dłoniach nie byli w stanie. Wracając, uśmiechnął się do mnie i szliśmy dalej i strzelali!

Po tym epizodzie, przystępuję do opowieści dalszej historyi tego pamiętnego dnia.

Staliśmy więc tam, gdzie nas podporucznik Postolski porzucił więcej niż godzinę, a gdy nie wracał komendę ja objąłem.

— Niema co czekać dłużej — powiadam do żołnierzy — chodźmy wszyscy szukać naszych, bo nas zostawia i odejda.

I poszliśmy śladem oficera w zagajnik. W tych krzakach spotykamy jeszcze kilku żuawów, którzy, z grubego lasu idąc, widzieli kierunek, w którym wszyscy dążyli, a obrawszy krótszą drogę, zabłądzili. Szło więc teraz o to, abyśmy się wszyscy mogli z tego labiryntu wydobyć, bez straty czasu na próżne chody w nieznanych krzakach.

Gdy się tak biedzimy, wtem daje się słyszeć głos trąbki moskiewskiej, gdzieś nie daleko. To nas przeraziło. A więc moskale

znów są, tylko inni, bo trąbkę słyszymy mniej więcej z tego miejsca, gdzieśmy rano ogniska palili. Nikt nie znalazł sygnałów moskiewskich, więc nie wiedzieliśmy, na co oni trąbią.

Teraz była nowa troska, jak się wydobyc z tych krzaków, żeby nie wpaść na moskali, którzyby taką garstkę wystrzelali i wylapali. Idąc więc już po cichu i rozmawiając szeptem tylko, dochodzimy wreszcie do miejsca, gdzie się krzaki kończą i prześwieca jakaś łączka. Wychylamy głowy ostrożnie na tę łączkę i w głębi spostrzegamy... naszą chorągiew i żuawów w szeregach obok zebranych.

Przyjemnie się zrobiło; fantazya powróciła i z wesołą miną, podniesioną głową, żwawo teraz zdążamy do swoich.

Przyszedłszy na miejsce, a mogła być godzina 4, zastaliśmy tam już pana podporucznika Postolskiego, do którego mam żal i dziś jeszcze, że nas zostawił, chociaż może i on długo błędził, zanim odszukał chorągiew.

Rochebrune'a nie było; poszedł on do sztabu dowiedzieć się, jakie są dalsze dyspozycje — a jak się dziś doczytuje w »Notatkach« Bentkowskiego i w »Pamiętni-

kach« Jeziorańskiego, aby się tam dobrze wyklócić za to, że nam żadnej pomocy nie dali do zupełnego zniszczenia moskali.

W oczekiwaniu na pułkownika, omawialiśmy znów wypadki dnia, ciągle zajęci naszym zwycięstwem.

Gdy teraz każdy powiedział, co wiedział, doszliśmy do przekonania, że jednym z warunków powodzenia, były dalekonośne karabiny belgijskie, w które byliśmy uzbrojeni; drugim celne nasze strzały, trzecim naturalnie nieustraszoność pochodu. Te trzy warunki złożyły się na to, żeśmy wybili moskałom mnóstwo ludzi w szeregach, a także konie przy armatach.

Wobec strat poniesionych, biorąc pod uwagę i czynniki duchowej natury, ucieczka moskali była logiczną i nieodzowną.

Obraz i wynik bitwy teraz tak sobie można przedstawić:

Śmiałem następowaniem dyabłów w czerwonych czapkach, niedbających o życie, wrzeszczących «hurra na moskali», zastraszony a bijący się bez moralnej podniety żołnierz moskiewski, stracił zapewne od początku fantazyę. Następnie celnymi strzałami naszymi — ubytkiem znacznym ludzi w szeregach i utratą koni przy działach,

musiał być zupełnie zdemoralizowany. Czeniery, bo on tam dowodził, nie czekał już ręcznego starcia, ale w obawie o utratę baterii, w jak największym pośpiechu wprowadził swoje armaty.

Szkoda, boby stracili te armaty, a tak pozostała tylko sława, że 8 rot, to jest 1600 moskali z 4-ma armatami, uciekło przed garstką żuawów, do 400-tu dochodzącą.

Gdyśmy przyszli do chorągwi, obok naszych szeregów zastaliśmy kilku strzelców ciekawych, którzy przyszli dowiedzieć się o przebiegu bitwy (między nimi i Brzeskiego). Od nich znów mieliśmy wiadomość, że trąbka, którą słyszeliśmy po południu, oznaczała odwrót moskali, przybyłych za nami od Welcza i atakujących obóz Langiewicza z innej strony; ci również zostali pobici przez strzelców i kosynierów.

Gdy tak rozmawiamy, a przytem rozglądamy się, czy kogo z bliższych przyjaciół nie brakuje, powrócił Rochebrune — mogła być godzina 5.

Wtem dają znać, że moskale znów są — a przychodzą teraz z innej jeszcze strony.

Tak, jak staliśmy frontem do łączki, a tyłem do lasu, robimy »na lewo w tył zwrot« i z dyrekcyą w lewo maszerujemy naprzód w las. Idąc kilkadziesiąt kroków, dochodzimy do jakiejś drożyny i zwracamy na nią na komendę »w lewo zwrot«; a więc mamy iść dwójkami. Do mojej dwójki należał Zwierkowski teraz, który zapewne niedosłyszawszy komendy, nie zwrócił się na drożynę i chciał dalej iść prosto; chwytam go więc za ramię, za lewą rękę, bo szedł przedemną i powiadam: zawracaj!

Ledwie puścił go, a moskale dali salwę rotowego ognia.

Zwierkowski krzyknął.

— Co ci jest?

— Dostałem postrzał w rękę.

— Mocny?

— Nie wiem, ale boli i nie mogę ruszyć.

— Zostań — powiadam.

A on do mnie:

— A ty idź!

Zatrzymany trochę tym wypadkiem i tą rozmową, wsunąłem się do szeregu, bo już czoło naszej kolumny zaczęło się w tyralierkę rozsypywać. Wszyscy zaczęliśmy teraz biedz, aby jaknajprędzej linię frontu przed moskalami rozwinąć.

W czasie tego biegu rotowy ogień nie ustaje, kule świszcza; słyszę też od czasu do czasu jakiś raptowny krzyk — jęk — widzę, jak ten, co przedemną biegł, złapał się nagle za brzuch i nosem o ziemię uderzył; przeskoczyłem biedaka i biegnę dalej do linii tyralierów.

Cała akcja, którą opisałem, nie trwała 20 minut. Myśmy nie strzelali, nie widzieli nawet jeszcze moskali, bo to było w lesie, a oni, stojąc jak myśliwi, doskonale nas widzieli i tym razem dobrze celowali.

Nareszcie już są, już i my ich widzimy, już strzelamy, a podnieceni gorącą akcją, nieustając w biegu, bez względu na ich strzały, z okrzykiem »hurra na moskali«, lecimy wprost na nich...

Nie doczekali nas!

Zaczęli uciekać w nieładzie, a my za nimi w pogoń.

Zaczęła się teraz gonitwa po lesie. Moskale pozbijali się w kupki i my także i rozpoczęła się zacięta walka na bagnety w różnych miejscach.

Ja, widząc przed sobą Rochebrune'a, przyłączyłem się do tej grupki, która była obok niego i zdążaliśmy właśnie do jakiegoś oddziału kilkunastu moskali, któryśmy

w odległości jakich 100 metrów spostrzegli, gdy oto z krzaków, nie dalej jak 20 kroków odemnie, padł strzał niespodzianie. Nikt nie był trafiony. Pobiegłem, jako najbliższy, w tę stronę i zobaczyłem moskala, który na początku zarośli czeka na mnie z bagnetem.

Jednym skokiem byłem obok niego; jednym uderzeniem karabina podbiłem mu bagnet w górę i znaną wówczas tylko francuskim żuawom sztuką, uderzyłem go kolbą w piersi. Padł. Wtem koledzy nadbiegli, a mój moskał dźwignął się na kolana i zaczął krzyczeć:

— Pomilujcie gaspada!

Jeszcze nikt nie miał czasu zdecydować, co z nim zrobić, gdy drugi z krzaków się odzywa:

— Jej Bohu, ja nie strelał!

Co z nimi teraz począć? Puścić? — źle; zatrzymać? — niema jak. Kłopot. Rochebrune rozstrzygnął: kazał od nich odebrać karabiny, a im iść przy nas, aby byli ciągle na oku. Teraz przeszukaliśmy jeszcze krzaki, ale nie było już w nich więcej nikogo.

W czasie tej akcyi część naszych pobiegła naprzód do owej grupki moskali,

którąśmy widzieli, a dopadłszy ich, wszczęli zajadły bój. Już kilku moskali trupem padło, ale w końcu zostali nasi przez liczniejszych otoczeni i skłuci na śmierć. W tej to potyczce, zdaje mi się, Gieżyńskiego, syna emigranta, urodzonego we Francyi, kluli moskale, dopóki się tylko ruszał; 17 pchnięć mu zadali. My, zajęci w krzakach, nie mogliśmy widzieć tej bitwy i podążyć kolegom na pomoc; gdyśmy zaś, wyszedłszy do grubego lasu, zwrócili się w tamtą stronę, już moskale pomordowali naszych, a widząc się teraz słabszymi, zaczęli uciekać i rozbiegli się na wszystkie strony. Widząc ich uciekających, można było do nich teraz strzelać, jak do wilków, ale karabiny mieliśmy wystrzelane (tak jak i oni), bo w gorącej akcji nie było czasu do nabijania, więc i strzelanie nikomu na myśl nie przychodziło; rozdzieliliśmy się tylko jeszcze na mniejsze grupki dla pogoni, aby pomścić naszych towarzyszków.

Kilku więc z nas pobiegło teraz za dwoma moskalami, najbliżej będącymi, a jednego z nich dopadł niejaki S... ze szkoły w Cuneo i zwarli się. Żuaw był silniejszy, zręczniejszy, wpakował moskalowi bagnet w piersi. Moskal padł, ale zrywa się jeszcze,

a wtem żuaw już rozwścieczony wpakował mu drugi raz bagniet między żebra z taką siłą i zajadłością, że nogę musiał o niego oprzeć, aby żelazo wyciągnąć. Całe to śmiertelne starcie minuty nie trwało, a gdyśmy nadbiegli na pomoc koledze, już moskał krew wyrzucał pełnemi ustami.

Tymczasem, my w biegu, zapatrzawszy się na opisaną tylko co walkę i zatrzymawszy się chwilkę przy naszym towarzyszu, straciliśmy z oczu tego drugiego moskala — i jużśmy go więcej nie widzieli; gdzieś przywarował tak, że go znaleźć nie można było.

Poszliśmy teraz dalej, moskali jednak jużśmy więcej nie spotkali, tylko nasi szwędali się tu i owdzie, poszukując ciągle wrogów.

Nie będę opisywał zasłyszanych szczegółów walk moich kolegów; raz dlatego, że piszę tylko wspomnienia osobiste, a powtórę dlatego, że szczegóły te już mi wywietrzały z pamięci, lub pomieszały się z czytаныmi gdzieś, kiedyś, epizodami podobnych spotkań. Nadmienię jeszcze ogólnie to, co widziałem, że wszyscy żuawi, tak, jak w czasie strzelaniny, z pogardą życia szli na moskali, gdy kule, jak rozzłoszczony rój os,

oblatywały, brzęczały i świstały około każdego, tak teraz z niesłychaną odwagą i brawurą rzucali się na moskali i w ręcznem starciu cudów waleczności dowodzili, z bohaterstwem ginąc, lub zwyciężając.

W czasie tej bitwy zaczęło się robić ciemno i noc zapadła — i wszystko ucichło!

Myśmy się dosyć daleko w kilku zapędzili, więc trzeba było wracać — ale gdzie i którądy, nikt nie wiedział. Wracamy więc mniej więcej w tym kierunku, skądśmy przyszli.

Nim opiszę teraz ten powrót do obozu, przedstawię czytelnikowi ogólny rys wieczornej bitwy i wyświecę zachowanie się moskali wobec nas — moskali, których także za nikczemne wojsko uważać nie można.

Następnie w kilku słowach przedstawię przebieg całej bitwy pod Grochowskami.

Ranne tego dnia zwycięstwo nad Czen-gierym, jasne w swoim przebiegu, było wyłączną zasługą żuawów; wieczorem mieliśmy pomoc i to bardzo doniosłą. Tej pomocy wprawdzie nie widziałem, ale zaraz

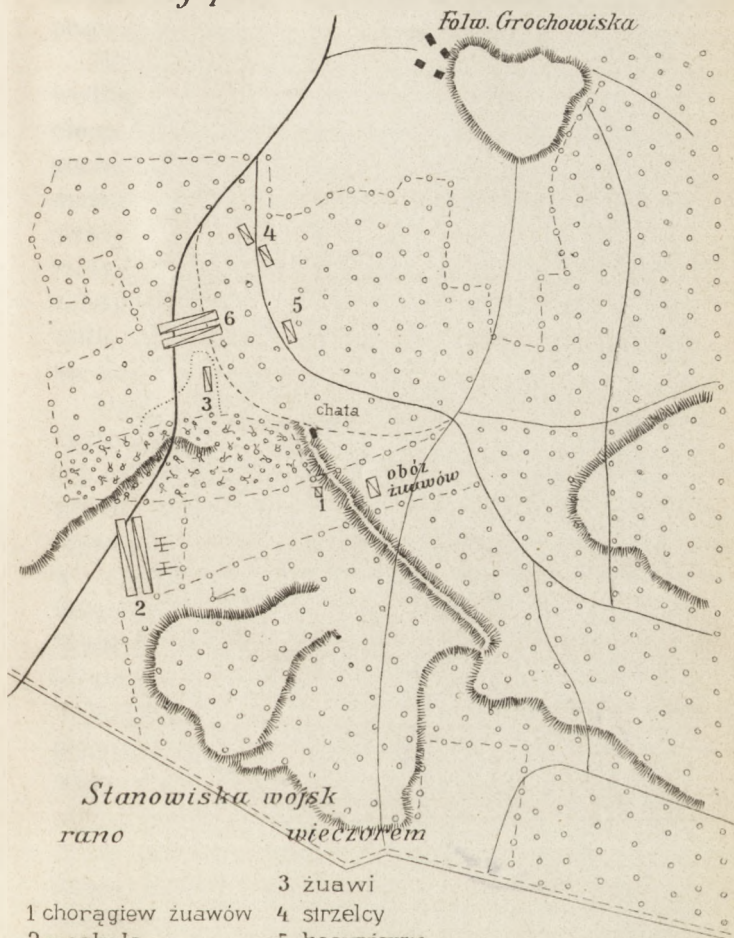
schodząc z pola bitwy o niej się dowiedziałem i o niej przekonałem; tę doniosłą pomoc stanowili strzelcy nasi i kosynierzy.

Po rozpoczęciu bitwy przez żuawów, co wyraźnie zaznaczam, bo pierwsze strzały moskali w tym wieczornym ataku były skierowane do nas żuawów, pojawili się strzelcy z boku, prawie na tyłach nieprzyjaciół i połączone te akcye, to jest nasz napad z frontu, a strzelców od tyłu, rozbiły moskali — których było 6 rot, to jest 1200 ludzi. Po rozbiciu zaczęli moskale uciekać i rozbiegli się mniejszymi lub większymi oddziałami po lesie. Myśmy ich gonili, oni zaś w tej ucieczce, zdążając głównie w przestwór między nami i strzelcami, wpadali na ustawionych tamże kosynierów.

Kosynierzy w zwartych szeregach sprawiali im formalną rzeź i wielkie mnóstwo nabili, mimo rozpaczliwej obrony; ale przeciw kosie nie bardzo się może piechur z karabinem bronić, bo kosa to straszna broń, jeżeli jest sposobność jej użycia. Kosa jest dłuższa, niż karabin, a jak tnie, to głowa na pół się rozleci, albo ramię odpada. Tak było pod Grochowskimi; szczęście, że

Szkic

bitwy pod Grochowskimi



- | | |
|--------------------|--------------|
| 1 chorągiew żuawów | 3 żuawi |
| 2 moskale | 4 strzelcy |
| | 5 kosynierzy |
| | 6 moskale |



słońce zaszło, a ciemność zalegając las, przerwała te okropne sceny.

Straty obustronne w całodziennej bitwie, według świadectwa proboszcza z sąsiedniego Buska, wynosiły 570 poległych¹⁾, pochowanych we wspólnym dole; rannych można liczyć dwa razy tyle, wogóle więc straty wynosić mogły przeszło 1700 ludzi w tym jednym dniu. Jest to zatem jedna z najkrwawszych bitew w powstaniu 1863 roku, a nawet i w ogólności ze względu na ilość walczących.

Opis walk dyktatora z moskalami, który czytelnikowi powyżej w formie jednostronnej osobistych tylko wspomnień przedstawiłem, mógłby jednak być wmieszczony najzupełniej w ogólny zarys tychże, podany w »Zapiskach« Mikołaja Wasyliewicza Berga ze źródeł wojskowych moskiewskich. Według opisu Berga, moskale, śledząc dyktatora, gromadzili siły, aby go zgnieść i zniszczyć. Pod Chrobrzem było tylko przypadkowe spotkanie z Czengierym, który tejże nocy porozumiał się z sąsiadami

¹⁾ »Notatki osobiste« Władysława Bentkowskiego, str. 95, a także obliczenie St. Wierzbickiego w »Wyprawach wojennych«.

swoimi, aby nazajutrz jednocześnie z czterech stron uderzyć na obóz Langiewicza. Atoli (nie bardzo jednocześnie) »ze stratami« zostały przez Polaków odparte.

Według »Zapisków« miało być pod Grochowiskami około 2.000 piechoty rosyjskiej, 7 dział, kilka szwadronów jazdy i parę sotni kozaków; według zaś źródeł polskich miało być 6 do 8 tysięcy moskali. Przyjąć można na pewno połowę, to jest 4.000 prócz armat i kawaleryi.

Wracam teraz do dalszego opisu zejścia mego z pola walki.

Drogą, którą szliśmy z pola walki, ciągnęli jeszcze tu i owdzie żołnierze nasi tak samo, jak my, późno z pola bitwy schodzący.

Tą drogą właśnie, po rozbiciu, musieli moskale najwięcej uciekać, bo wiodła przez liczne pobojowiska. Pierwsze, przez które przechodziliśmy, było zapewne jednym z tych, na którym znaczniejszy jakiś oddział moskali walczył w spotkaniu z kosynierami. Trupów tu było tak gęsto, że iść było trudno i co chwila trzeba było wymijać leżące na drodze ciała, lub je przestępować. Jeszcze do dziś dnia odczu-

wam przykre wrażenie na wspomnienie tego marszu.

O dalszych mniejszych pobojuwiskach nie wspominam, ale zauważyłem, że wszędzie między poległymi, było trochę naszych, a najwięcej moskali.

Do grozy tego pochodu wśród trupów przyczyniały się jeszcze jęki rannych, jakie tu i owdzie się odzywały.

Pamiętna to dla mnie noc!

Tak idąc, słyszę z boku znajomy głos:

— Bracia, koledzy, ratujcie! Moskale mnie dobiją, nie porzucajcie mnie, nie zostawiajcie!

A był to głos tak wzruszający, tak proszący, że jakoś tknięty litością zbliżam się do jęczącego i poznaję Zlasnowskiego, żuawa z naszej kompanii.

— Co ci jest? — pytam.

— Jestem ranny, dostałem postrzał w samo jabłko kolanowe, nie mogę iść; poprowadź mnie bracie do obozu, będę ci całe życie wdzięczny. Moskale, jak mnie tu znajdują, będą się pastwili nademną, dobijają — na miłość boską prowadź, będę szedł na jednej nodze.

Cóż było robić? nie byłem w stanie odmówić; biorę go więc pod ramię i idziemy.

Tymczasem zupełna noc się zrobiła; ostatni schodzący z pola bitwy już coraz rzadziej nas mijają. Wreszcie już nie nie słyszeć — cisza wokoło — tylko nas dwóch wlecze się po drodze.

Ciężka to była podróż. Mój ranny, opierając się z lewej strony na mnie, a z prawej podtrzymując karabinem, skakał tylko na jednej nodze i co chwila stawał ze zmęczenia, więc drogi mało ubywało i późna się godzina zrobiła.

Gdy już tak parę godzin się posuwamy żółwim krokiem, nie widząc nikogo, zaczynamy być w strachu, czy nie bładzimy, czy zamiast zejść do obozu, nie trafimy na moskali. O, to była bardzo przykra myśl, a której jednak nie można się było pozbyć, bo nie znając okolicy i w nocy, łatwo na mylną drogę mogliśmy się skierować.

Tą myślą przejęci i już z obawą idąc — może była godzina 2-ga w nocy — spostrzegam, że się coś w dali rusza; powiadam więc do Zlasnowskiego:

— Czekał tu, ja pójde zobaczyć, co tam jest.

Nie puścił. Idziemy więc oba razem i widzimy dwóch konnych. Ale teraz py-

tanie, czy to nasi, czy kozacy? Podchodzimy z największą ostrożnością bliżej i wkrótce przekonywamy się, że to nasi, że to nasza konna wedeta.

Chwała Bogu!

Ułani powiadomili nas, że oddział cały nocuje w Welczu, to jest w tej wiosce, gdzieśmy byli poprzedniej nocy i wskazali dalszą, nie mylną drogę.

Idziemy więc teraz, choć powoli, ale z pewną swobodą umysłu i nad ranem, około godziny 4-tej, dociągnęliśmy do Welcza. We wsi zaprowadziłem mego towarzysza, który już nie mógł iść dalej, do pierwszej chaty, gdzie kwaterowali nasi żołnierze i tam go zostawiłem, a sam odszukałem swoją kompanię.

Tak, jak po długiej niebytności, z przyjemnością przybywa się do domu, tak ja z przyjemnością znalazłem się między swoimi w jakiejś stodole. Odszukałem też sobie zaraz chleb i wódkę, bo już 18 godzin nic w ustach nie miałem, a podjadłszy, rozepchałem tych, co już spali i rzuciłem się na słomę.

Spałem do 9-tej rano i byłbym spał dłużej, gdyby mnie nie zbudzili; znów trzeba było się przygotowywać do dalszego pochodu.

Po śniadaniu około 10-tej stanęliśmy w szeregi do marszu gotowi.

Smutnie teraz wyglądał nasz pulk, tych dzielnych i wesołych żuawów z przed bitwy; — połowa nas zaledwie stanęła do szeregów, a przy obrachunku nie można było doliczyć 200-tu. Brakowało 180 ciu kilku — dali oni bohatersko życie za ojczyznę, lub spłacili kalectwem dług miłości ku niej.

Cześć im!

VIII.

Ostatnie dni żuawów.

Szliśmy długo w szeregach, oczekując na rozkaz wymarszu. Tymczasem z rozkazem tym zwlekano, a natomiast przynoszono nam wieści, że Langiewicz o świcie z eskortą kilkudziesięciu konnych porzucił nas i z obozu odjechał. Mówiono, że wraz z Langiewiczem odjechali: Jeziorański, Waligórski i inni więcej cenieni dowódcy i że nawet Rochebrune nas porzucił.

Nikt nie chciał wierzyć tym wieściom, nie chciał wierzyć w ucieczkę dowódców, w jej możliwość; — ale, niestety, sama nieobecność Rochebrune'a i opowiadane szczegóły odjazdu Langiewicza przekonywały o smutnej prawdzie. To też oburzenie i narzekanie było bezmierne i powszechne.

Jakto? — więc po tak świetnem zwycięstwie, gdy teraz właśnie była pora do

ścigania pobitych moskali, gdy wojsko nabrało zaufania we własne siły i gotowe było do największych ofar, aby zniszczyć okoliczne załogi moskiewskie i oczyścić przynajmniej jedną część kraju od najazdu — w takiej właśnie chwili opuszczają nas dowódcy? — teraz właśnie mamy się wyrzec owoców zwycięstwa? — co więcej, teraz mamy drżeć o byt oddziału i uczuwać niepewność dalszych losów naszych? O! to bolesny zawód, to srogi cios!

Langiewicz napisał podobno odezwę do wojska, z powodu swego wyjazdu, motywując go potrzebą ukazania się dyktatora w innej stronie kraju — lecz tej odezwy nikt nam nie odczytał i nikt z nas o niej nie wiedział; nie byłaby się ona wreszcie przyczyniła do uspokojenia umysłów, bo rozgoryczenie było zanadto wielkie.

Gdyby choć Rochebrune albo Jeziorański pozostał, duch w wojsku pozostałby jeszcze dobry, ale na nieszczęście i ci nas opuścili, a Langiewicz zdał dowództwo na Śmiechowskiego, nieznanego prawie nikomu. Wyjazd Langiewicza i nominacja Śmiechowskiego były ciosem śmiertelnym dla oddziału.

Smiechowski może miał najlepsze chęci, ale był stary, nie miał dość energii, nie miał entuzjazmu młodzieńczego, a jako były oficer z wojska regularnego z 1830 r., nie miał zaufania do żołnierzy partyzantów, aby rozpocząć bój zaczepny — nie miał odwagi, aby wprowadzić nas w sam rój moskiewski i wykorzystać zwycięstwo. Nie przypisując mu złej woli, sądzę, że miał zamiar ustąpić z nami w spokojniejszą okolicę Goszczy, aby tam zreformować się i wzmocnić; w tej to chęci zapewne poprowadził nas na południe ku Wiśle. Był to fatalny pomysł.

Z Welcza więc pomaszerowaliśmy do Wiślicy, a stamtąd na noc do sąsiedniej wioski.

Nazajutrz rano 20-go marca około 10-tej przybyliśmy do Opatowca, małej miejsciny nad Wisłą, na wzór galicyjskich, gdzie mieliśmy postój i gdzie można było sobie coś kupić do jedzenia w sklepikach żydowskich.

W czasie tego odpoczynku dowiedzieliśmy się, że Langiewicz z Pustowojtówną i generałami dzień przedtem stamtąd właśnie przeprawili się przez Wisłę do Galicyi; że za Langiewiczem podążyło mnóstwo

naszych oficerów — zdaje mi się nawet, że mówiono już o złapaniu i aresztowaniu dyktatora przez austryaków.

Wiadomości te i bliskość granicy były zabójcze dla oddziału. Znaczna ilość żołnierzy naszych słabszej inteligencji poszła w ślady dowódców i w tym Opatowcu nie-szczęśliwym wprost z szeregów udawała się na promy i przewoziła do Galicji. Zaznaczam wszakże na świadectwo prawdziwości, że żuawów bardzo niewiele odstąpiło od swej chorągwi i prawie wszyscy wytrwaliśmy do końca.

W czasie tego niby odpoczynku w Opatowcu, gdy między sobą roztrząsamy, komentujemy wypadki poprzedniego dnia i patrzymy, co się wokoło nas dzieje, zajęte były na rynek fury z rannymi. Wtem z jednego wozu ktoś mnie woła. Ucieszyłem się, bo był to Zwierkowski; leżał biedak na słomie bardzo osłabiony z powodu upływu krwi. Uścisnęliśmy się. W rozmowie przy tej sposobności dał mi kilka poleceń do rodziców swoich, gdyby umarł, lub gdyby go moskale dobili. Ja, oprócz słów pociechy, dałem mu, co mogłem — dałem mu kilka żydowskich cukierków

z Opatowca, aby mu osłodzić rozpaczliwe jego położenie.

Gdyśmy na tym rynku stali w szere-
gach, nikt nie zwracał uwagi na czterech
moskali, którzy wzięci do niewoli pod Gro-
chowiskami, wlekli się jeszcze za nami.

Gdy z południa nakazano dalszy po-
chód, zbliża się jeden do nas i pyta:

— A czto budiet z nami?

Odpowiedź była kłopotliwa, bo gdy nie
było już rygoru wojskowego, więc nie mo-
żna ich było odesłać do głównej komendy.
W najbliższem otoczeniu zdecydowaliśmy,
aby pozostali w Opatowcu, a po naszym
wymarszu, aby sobie poszli do swoich.
Zapewne tak zrobili. Ja od siebie dałem
każdemu z nich po pół rubla — ostatnie
moje pieniądze — aby pamiętali, jak Polacy
obchodzą się z jeńcami.

Wreszcie, już może było i południe, wy-
ruszamy — a było nas jeszcze z 800, tak
sądzę; mimo wszystko, jeszcze ładny od-
dział.

Zaznaczam przy tej sposobności, że
Czachowski, dzielny partyzant, widząc nie-
dołęstwo naczelnej komendy pod Grocho-
wiskami, już stamtąd ze swoją drużyną
w liczbie kilkuset (około 500) pomaszero-

wał w góry Ś-to Krzyskie i tam długo bil jeszcze moskali.

W ostatniej chwili wyruszenia naszej kolumny jeszcze pobiegłem uścisnąć dłoń Zwierkowskiego i pomaszerowaliśmy.

Gdzie i którędyśmy szli, nie pamiętam; przypominam sobie jednak, że szliśmy w górę i wzdłuż Wisły; że za Opatowcem już się kozacy zaczęli pokazywać, ciągle nas odtąd z daleka szpiegując i śledząc.

Pod noc przyszlismy do jakiejś wioski, gdzieśmy odpoczęli i podjedli. Stamtąd wyruszyliśmy wkrótce w dalszą drogę wozami, które — zapewne przed naszym przybyciem — przygotował kwatermistrz, aby prędzej... doprawdy do dziś dnia nie wiem, w jakim celu. Wyjechaliśmy więc już w nocy naładowani ciasno po sześciu i więcej na jednym wozie, a zmęczeni marszem i zgryzotami, prędko pozasypialismy.

Raptem budzę się i czuję, że wóz zanadto się coś przechyla, że zsuwam się na bok, że wypadłem i w tejże chwili słyszę, jakiś szum nad głową. To wóz się wywrócił i wypadliśmy wszyscy. Przekleństw i narzekania było co niemiara, choć nikomu nic się nie stało; ale nim się wszyscy popodnosili, nim się wszystko pozbie-

rało, nim się znalazła broń, nim się wyciągnęło wóz na drogę, sporo upłynęło czasu.

Przyczyna wypadku była taka, że furman usnął prawdopodobnie tak dobrze, jak i my, a konie zbliżyły się zanadto do krawędzi grobli, po której właśnie jechaliśmy i wóz pokoziołkował po szkarpie aż na dół.

Wkrótce dopędziliśmy swoich i rano już było, gdyśmy dojechali znów do jakiejś wioski, skąd, porzuciwszy podwody, szliśmy dalej piechotą pośpiesznie, jakby w ucieczce po klęsce. Gdzie? — nikt dotąd nie wiedział.

My żuawi szliśmy w ariergardzie; szliśmy smutni, jakby opuszczeni, bez jakiegokolwiek rygoru — prawie w nieporządku, bo Śmiechowski ani razu się nie pokazał, aby swoją obecnością, jakimś zachęającym słowem, dodać animuszu, podnieść przygnębionego ducha żołnierzy.

Nie odczuwając pieczy dowódcy, nie mogąc mieć i nie nabrawszy do niego zaufania, tym dotkliwiej odczuwaliśmy niepewność naszego położenia — jakiś lęk o bezpieczeństwo całego oddziału i własne. Ostatnią naszą nadzieją była myśl, że przeciw Śmiechowski poprowadzi nas w jakies

bezpieczne miejsce, gdziebyśmy mogli odpocząć, gdziebyśmy mogli przyjść do siebie, po tylu bolesnych i mozolnych przejściach w ciągu ostatnich 48 godzin.

Szliśmy, ciągle prawie milcząc.

Tymczasem moskale postępowali natrętnie za nami, śledząc przez patrole kozackie każdy nasz krok. Gdyby dowódca, który prowadził ten oddział trakerów był trochę lepszym psychologiem, jednym śmiałem natarciem choćby najslabszej swojej kolumny, spowodowałby natychmiastową naszą rozsypkę jeszcze w granicach Królestwa i wystrzelałby wszystkich, lub żywcem pochwytał. Ale moskale z daleka nas tylko śledzili, a bali się atakować, tak byli jeszcze pod wpływem klęski, jaką zadaliśmy im pod Grochowskimi — tak byliśmy im jeszcze groźni.

Okolo 10-tej zrana, a było to dnia 21 marca, spostrzegłem na drodze słupy czarno-żółte...

Więc to był cel naszego marszu, o Boże! tu nas doprowadzono?...

Nie było jednak czasu snuć domysły, zastanawiać się, co dalej nastąpi, bo kozacy nacierali już teraz bardzo blisko, a oddział nasz bez dowódcy, aby stawić czoło nie-

przyjacielowi, nie był w stanie wytrzymać natarcia. Wszczęła się panika — zaczęli wszyscy uciekać bezładnie na terytoryum austriackie.

Biegłem i ja, aby się nie dać zamordować bezcelowo, biegłem, jeden z ostatnich ze łzami w oczach. Nie zmyślam; płakałem z bólu, z żalu, ze wstydu. Boże, jaka to przykra chwila być zmuszonym do sromotnej ucieczki, rozumieć, że wystawienie się na pewną, bezpożyteczną śmierć jest absurdem i że tylko w ucieczce jest ocalenie.

Już mi tchu brakło, już kilku kozaków dopędzało mnie, już nie mogąc więcej biegnąć, byłem zdecydowany drogo oddać moje życie, gdy... z przeciwnej strony zjawili się austriacy. Ukazanie się piechoty austriackiej powstrzymało w zapędach kozaków, dosyć daleko na terytoryum galicyjskiem doganiających ostatnie resztki naszego oddziału. Kozacy, na widok austriaków, powoli, jakby z żalem, zaczęli przystawać i zawracać konie.

Tak się skończył byt oddziału Langiewicza — taki był ostatni dzień istnienia dzielnego pułku polskich żuawów.

Czytelniku łaskawy! Jeżeli choć iskierkę masz w sercu dumy narodowej, jeżeli choć trochę powziąłeś sympatyj dla dzielnej drużyny, tak szczerzej i chętniej do oddania życia za zwycięstwo nad wrogami, smutek ci pewnie kamieniem zaciężył na piersiach z żalu za tym pięknym oddziałem, za tym pięknym zawiązkiem armii polskiej, zmar-nowanym tak haniebnie.

Gdyby Langiewicz lub ktokolwiek z jego otoczenia, obdarzony był wyższym talentem — byłby cudów dokazał z takimi żołnierzami, z jakich się składał nasz oddział. W tym pierwszym okresie powstania, w okresie zapału ogólnego, w okresie pierwszych zwycięstw, w okresie wiary w powodzenie walki orężnej — trzeba było człowieka z geniuszem, a przynajmniej ludzi utalentowanych, którzyby zrozumieli ducha, ożywającego naród, ducha, ożywającego żołnierzy, którzyby potrafili podnieść nastrój tego ducha, zawładnąć nim i pokierować.

Niestety! Nie było człowieka z geniuszem, nie było ludzi z talentem w sztabie Langiewicza. Byli tam zapewne ludzie najlepszych chęci, ale niedorośli do kierownictwa w tak krytycznej chwili — ale mierzota i niedołęstwo cechowały ich umysły,

a wyrosłe ambicje i wzajemne antagonizmy ścmiły nawet zdrowy rozsądek.

Gdybyśmy mieli wówczas choć jednego, dzielnego człowieka na czele, bylibyśmy pokonali wrogów, a przynajmniej bylibyśmy inaczej postavili w Europie kwestję polską i inne uzyskali wyniki bohaterskich wysiłków.

Fatum jakieś, kara Boża, ciągle jeszcze ciąży nad nami.

IX.

W Krakowie — w Tarnowie.

Austriacy szli przeciwko nam rozsypani w tyralierkę, zatrzymać więc mogli i zatrzymali każdego, kto się w ten łańcuch dostał. Ponieważ my, Polacy, nie prowadziliśmy wojny z Austrią, więc będąc na terytoryum tego państwa, bezspornie, na proste wezwanie żołnierza: »proszę za mną«, byliśmy posłuszni.

Wkrótce pojedyncze grupki zostały odprowadzone na posterunek, gdzie nam kazano broń i amunicję złożyć i ustawiono w szeregi. Gdy już było dosyć w kolumnie i mieliśmy odmaszerować do Krakowa, zaczął pan führer ostateczne obliczenie transportu, przyczem dosyć niegrzecznie pięścią rychtował szeregi.

Zwróciłem uwagę tego pana, że można grzeczniej słowami tę czynność załatwić.

Na to pan führer :

— Ty psia.... buntowniku i tu się buntujesz, ja cię zaraz nauczę posłuchu!

I uderzył mnie kolbą w piersi.

Na taki argument nie byłem przygotowany, to też nic nie odpowiedziałem, a dalszej nauki nie trzeba było, bo tak ja, jak i wszyscy odrazu zrozumieliśmy nasze położenie.

W tem zajściu nie tyle mnie obeszły ordynarne słowa i zachowanie się tego führera, nie tyle zabolął szturchaniec w piersi, ile zabolало serce, że po polsku do mnie mówił, że był Polakiem tak mało uświadomionym jeszcze w poczuciu narodowym.

Taki brak poczucia łączności narodowej w jednostce z ludu zranił wówczas moje uczucia patryotyczne. Dziś, gdy znam ten lud, widzę, ile to pracy, ile czasu jeszcze potrzeba, aby wyrobić w nim poczucie przynależności narodowej, aby w nim ożywić ducha narodowego! Na szczęście pracę tę objęły dzisiaj swoim programem wszystkie stronnictwa w Polsce, a w jej wynikach leży przyszłość nasza.

Na komendę wyruszyliśmy w drogę i pod wieczór doszliśmy do Krakowa, głodni, zbiedzeni, zmęczeni. Dochodząc do

Krakowa, nie weszliśmy do miasta, lecz poprowadzono nas do fortu i umieszczono w kazamatach. W tych kazamatach zastałem już dosyć powstańców, a co parę godzin przybywał jeszcze nowy transport z innych posterunków austriackich, tak, że do rana cały fort zapelniliśmy. Nie pamiętam, czy dano nam co jeść tego wieczora, za to pamiętam, że spaliśmy dobrze, choć na gołej ziemi.

Nazajutrz powoływano każdego do kancelaryi do zapisu nazwiska i stanu. Ja dałem się wpisać pod przybranem nazwiskiem Stanisławskiego, a paszportu mego nie pokazywałem, co mi później na dobre wyszło.

Krakowiacy wcześniej, bo zapewne w tym samym dniu dowiedzieli się o naszej klęsce i sprowadzeniu do fortów, wyjednali więc sobie pozwolenie na dostarczenie nam żywności.

Zaraz z rana zjawił się między nami jakiś jegomość w polskim stroju, a z nim wyrostek, niosący wielki kosz z bułkami. Gdy wkrótce kosz był już na wypróżnieniu i trzeba było iść po nowy ładunek, odzywa się ten jegomość po cichu w dru-

giej izbie, bo w pierwszej przy drzwiach wchodowych stali żołnierze.

— Który chce uciekać?

— Ja chcę — pierwszy bez namysłu się odezwałem.

— Dobrze; niech się pan trochę inaczej ogarnie.

Wieńc wyrostkowi owemu zabrałem czapkę, a fez schowałem do kieszeni, odznaki podoficerskie z rękawów poodpruwałem, zapiałem pas pod guńką po mundurze, guńkę i buty oczyściłem z błota i pozapi nawszy się porządnie, straciłem trochę wygląd obozowy.

— Bierz pan koszyk z bułkami — mówi do mnie ten jegomość — i chodźmy, a ty chłopcze leż gdzie w kącie i śpij.

Wziąłem ja koszyk i idziemy do pierwszej izby, aby tam wobec żołnierzy rozdać jeszcze resztę bułek. Gdy już kosz był wypróżniony, wychodzimy niby po nowy zapas — ten jegomość naprzód, ja za nim; serce mi biło. Nie zatrzymali, nie poznali żołnierze zmiany służącego i wypuścili nas obu z kazamat na dziedziniec fortu. Teraz jeszcze jedna przeprawa w bramie wchodowej, ale już łatwiejsza, szczęśliwie nam także poszła. Udała się ucieczka.

Za murami odetchnęliśmy swobodnie, ja i mój zacny oswobodziciel i podążyliśmy do doróżki zdala stojącej, a którą on już umyślnie przygotował w celu uprowadzenia któregoś z aresztowanych.

Tym zacnym obywatelem, który i więcej żołnierzy polskich wybawił od Ołomuńca czy Iglawy, był pan Wiatrowicz, zegarmistrz krakowski. Byłem mu zawsze serdecznie wdzięczny za oddaną mi przysługę i dziś, choć on już dawno nie żyje, posyłam mu jeszcze do grobu wyraz mej wdzięcznej pamięci.

Po przyjeździe do miasta, udałem się naturalnie na moją dawną kwaterę, do Brzeskich.

Odczuwając już swobodę u moich przyjaciół, teraz dopiero zaczęła ze mnie wszelka bieda i nędza występować na zewnątrz i zaczęła być dokuczliwą. Byłem chory, osłabiony, a rany na nogach miałem takie, że dziwiłem się sam i dziwili inni, jak mogłem chodzić w takim stanie. Gdyby nie opatrunek w Chrobrzu, nie wiem, coby się ze mną stało; byłbym niezdolny do przebycia tylu następnych trudów. Prócz tych ran na nogach, całe prawe ramię było sine, prawie czarne od noszenia karabina

i teraz dopiero zaczęło szalenie boleć i dokuczać.

W takim oplakanyim stanie zdrowia musiałem się naturalnie radzić lekarza, który stosowną dyetę, dosyć wreszcie przyjemną i smarowidła przepisał.

W dodatku do wszystkiego złego, nie miałem bielizny, nie miałem żadnego ubrania — nie miałem grosza pieniędzy. Stan więc mój był bardzo, bardzo smutny.

Pierwszą moją czynnością po przybyciu do Brzeskich było wysłanie depeszy do matki: »jestem w Krakowie, zdrów, proszę o przysłanie pieniędzy«. I pocziwe matczyśko znów 100 rubli telegraficznie przez bankiera przysłała. Czując grosz w kieszeni, lżej mi się zaraz zrobiło; oporządziłem się i mogłem w spokoju goić rany, co, mówiąc w nawiasie, ze 3 tygodnie trwało.

Prawie równocześnie ze mną, choć trochę wcześniej, powrócili do Krakowa Mieczysław Brzeski i Wierzbicki i znów mieszkaliśmy razem, z dodatkiem dwóch nowych, trochę mało znanych kolegów obozowych, którzy, nie wiem jakim sposobem, między nas się wkręcili.



Mieszkanie nasze było dosyć ożywione teraz. Schodzili się do nas towarzysze broni, żuawi i inni, na papierosy i gawędę, którzy tak, jak my, uwolnili się w jakiś sposób od internowania w jednej z czeskich fortec austriackich, a których w Krakowie było teraz mnóstwo. Między innymi odwiedzał nas także chorąży Cywiński, a ocaliwszy siebie, ocalił także naszą chorągiew i przywiózł ją na piersiach do Krakowa. Dzięki temu dzielnemu żuawowi nie dostała się ona moskalom, nie zabrali jej także austriacy.

Gdzie się nasza chorągiew obecnie znajduje, nie wiem. Zapewne jest gdzieś w prywatnem przechowaniu, ale byłoby bardzo pożądanem, aby teraźniejszy jej posiadacz przesłał ją, jako pamiątkową relikwię do muzeum narodowego w Rapperswylu, by tam, a potem kiedyś w Warszawie, świadczyła o stanie pułku, nad którym powiewała.

W czasie tego powtórnego pobytu u Brzeskich ciekawy zdarzył nam się wypadek.

Jeden z naszych mniej znanych towarzyszków kwatery wyniósł się gdzieindziej po kilkodniowym pobycie, ale drugi pozostał jeszcze. Otóż po tygodniu zaczęliśmy

spozstrzegać brak rozmaitych drobiazgów; Wierzbickiemu przepadł rewolwer, Brzeskiemu jakaś wartościowa cygarniczka i wiele innych bagateli — mnie zaś przepadł gdzieś zegarek pamiątkowy po ojcu. Ojciec mój, żołnierz także z powstania w r. 1831, był ranny pod Wolą przy wzięciu Warszawy i wzięty jeńcem na cmentarzu. Takich jeńców moskale obdzierali ze wszystkiego, co miało jakąś wartość; ojcu też zabrali pieniądze i jakieś kosztowności, ale zegarek potrafił ukryć przed ich grabieżnością. Zegarek więc ten w roku 1863 już przestarzały, był niewielkiej wartości, dla mnie jednak był cenną pamiątką i ta właśnie pamiątka mi znikła.

Zaczęliśmy już wyraźniej mówić między sobą o naszych stratach, podejrzewając o te sprawy owego towarzysza, ale wobec niego nikt nie miał odwagi tych podejrzeń wypowiedzieć. Wkrótce wyniósł się i on od nas, a po jego wyprowadzeniu się już nam nic nie przepadało.

Jużeśmy przestali mówić o naszych stratach i zapomnieli o nich, nie mając już więcej powodów do żalów, gdy w sobotę przed samą Wielkanocą, która w tym roku przypadała w początkach kwietnia, po-

wróciwszy z obiadu do mieszkania, spostrze-
gliśmy przybitą na murze przy drzwiach
wchodowych taką kartkę:

»Ja, niżej podpisany, skradłem zegarek,
który sprzedalem żydowi za 5 fl.; skradłem
rewolwer, który sprzedalem za 3 fl.; skra-
dłem cygarniczkę, spodnie etc. Ponieważ
wczoraj byłem u spowiedzi, a dziś przy-
stępuję do komunii św., przeto proszę łaska-
wych panów o przebaczenie«.

Złodziej.

Tak pobożny i pelen pokory pan, nie
podpisał się swoim nazwiskiem, ale za to
jasno określił profesję — a na »zadosyć
uczynienie za grzechy« pozostawił nam
bezwartościowy dokument w owej kartce.
Niech mu Bóg przebaczy wyrządzoną mi
przykrość, tak jak ja mu przebaczyłem.

W tym czasie około Wielkiejnocy, przy-
szło któremuś z kolegów na myśl, abyśmy
my żuawi, dali się fotografować w grupie.
Tak się też stało. Walery Rzewuski, ów-
czesny krakowski fotograf, artysta i zacny
patryota, przyjął myśl przychylnie i odfo-
tografował nas, zdaje mi się, cztery razy

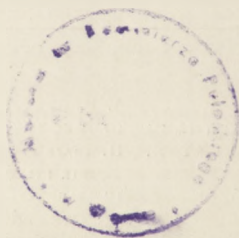
GRUPA ŻUAWÓW

15. 14. 13. 12 11. 10. 9. 8. 7.



1. 2. 3. 4. 5. 6.

- | | |
|-------------------------|-------------------------|
| 1. DR. KUTEK | 7. RASZEWSKI |
| 2. CZADERSKI FERDYNAND | 10. SZCZEPANOWSKI STAN. |
| 3. GRZEGORZEWSKI STAN. | 11. ZDAJE SIĘ KS. SZULC |
| 4. CYBULSKI | NIE BYŁ W ŻUAWACH |
| 5. WIERZBICKI JÓZEF | 12. POSTOLSKI |
| 6. CYWIŃSKI | 13. GIEŻYŃSKI |
| 7. LISTOPAD | 14. PIEKSZEWICZ |
| 8. ŁASIEWICKI STANISŁAW | 15. BORGIA (WŁOCH) |



na swoim podwórzu, ustawionych w grupach, niby po obozowemu.

Na pamiątkę otrzymał każdy po jednym egzemplarzu każdej grupy, a reprodukcję jednej z dwóch, które jeszcze posiadam, pomieszczam w tej książeczce.

Święta przepędziłem w Krakowie, bez znajomości jednak domów rodzinnych dosyć nudno. Czas wogóle spędzało się teraz na czytaniu gazet i komentowaniu wypadków, świeżo zaszłych w Królestwie. Dzienniki, a szczególnie *Czas*, pomimo upadku dyktatury, parły ciągle do dalszego prowadzenia wojny i donosiły o pobiciu moskali na różnych punktach terenu walki. Donosiły o tworzeniu się i występowaniu coraz nowych oddziałów wojsk powstańczych, o zainteresowaniu się dyplomacyi europejskiej, a szczególnie Napoleona III, sprawą Polski — podtrzymując ciągle w ten sposób zapal wojenny młodzieży i patryotyczny nastrój całego narodu. Zgodnie z nadziejami mężów, politykę narodową wówczas prowadzących, przekonany o potrzebie dalszej walki z Moskwą, podniecany wewnętrznymi pobudkami, myślał każdy z nas o tem, aby jak najprędzej dostać się znów do obozu, dostać znów karabin

do ręki — ale żaden nie wiedział jak i które.

Niewiadomość ta tem się tłumaczy, że Brzeski już nie należał więcej, czy też nie chciał należeć do nowej organizacyi wojennej, jaka się wytworzyła w Krakowie po upadku Langiewicza i wskutek tego nie mieliśmy żadnej styczności z tą organizacją.

Wogóle zarząd wojenny powstańczy wówczas w Krakowie nie dawał żadnego znaku życia, nie troszczył się o rozbitków z oddziału dyktatora i nie przedsiębrał nic, aby ich ująć w jakiś związek i rygor wojskowy, choćby w najsłabszej formie. Był to wielki błąd, żołnierz bowiem raz zapisany w szeregi wojska, powinien być utrzymywany w ciągłej zależności od komendy i wyruszać w pole na rozkaz.

Tymczasem w powstaniu, poza obozem, żadnego rygoru nie było; nikt się też z werbunkiem do oddziału, w owe czasy w Galicyi praktykowanym, ani do mnie, ani do moich kolegów nie zgłaszał, więc w niepewności będąc, co dalej ze sobą począć, umyśliłem wyjechać do Tarnowa, aby odwiedzić Zwierkowskiego, który, jak się dowiedziałem, tam został przewieziony i leczył się.

FILIP KAHANE





Przybywszy do Tarnowa, zastałem mego kolegę już bez ręki — odjęto mu ją całą, wyjmując strzaskaną kość ze stawu w ramieniu. Zmizerniał biedak bardzo wskutek tej ciężkiej operacyi, leczyl się zaś prywatnie w domu pod opieką matki i siostry, bo Zwierkowscy byli majętni.

Dla mniej zamożnych, dla takich, którzy nie mogli mieć opieki rodziny, urządzony był szpital w Tarnowie, gdzie znaczna część rannych z pod Grochowsk przywiezioną została i tam się leczyła.

W tym szpitalu zastałem Filipa Kahanego, któremu odjęto rękę w jabłku ramieniowem, ale prawą — i Zlasnowskiego, kwękającego jeszcze bardzo na postrzał w kolano. Poczciwy ten druh z całem sercem i wdzięcznością uścisnął moją rękę, a ja również z przyjemnością i pociechą wewnętrzną zobaczyłem towarzysza owego nocnego marszu z pod Grochowsk do Welcza.

Wszyscy ci trzej ciężko ranni mieli się względnie dobrze i była nadzieja utrzymania ich przy życiu. Rzeczywiście też zostali z czasem wyleczeni i przyszli do zdrowia, chociaż Zwierkowski bez lewej,

Kahane bez prawej ręki, a Zlasnowski kulawy.

Innych rannych w szpitalu tarnowskim nie pamiętam.

Będąc już dwa tygodnie w Tarnowie, spotkałem się z kapitanem naszym Komorowskim, który już był prawie wyleczony od postrzału we wskazujący palec u prawej ręki, a który przyjechał, tak jak ja, odwiedzić Zwierkowskiego. Odwiedziny te jednak, zdaje mi się, były tylko pretekstem, a głównym celem przybycia kapitana był werbunek żołnierzy pod swoją komendę.

Gdyśmy wyszli od Zwierkowskiego, zaczął mi opowiadać Komorowski, że rząd narodowy powierzył mu dowództwo oddziału, że chce wkroczyć do Królestwa z okolic Krakowa, że w ciągu trzech tygodni oddział jego będzie gotowy do wymarszu, że ma liczyć 800 ludzi, zaopatrzony będzie w broń doborową i wiele innych w tym względzie szczegółów. Wszystko to mi pięknie wypowiedziawszy i wyjaśniwszy, wkońcu zaproponował, abym się zapisał pod jego komendę.

— Przyjechałeś bić moskali — mówił — ofiaruję ci sposobność i stopień podporucznika w wojsku.

WŁADYSŁAW ZWIERKOWSKI



Kochanemu Stanisławie
w Brzozowie
prawdziwym moim
przyjacielem -
Władysław Zwierkowski

tam było. Wogóle teraz w Krakowie bardzo mi dobrze było, bo miałem wiele pieniędzy. Matka jeszcze do Tarnowa przysłała mi nowe sto rubli, więc jeszcze miałem pieniądze, żołdu miałem guldena dziennie, a oprócz tego wikt i stancję darmo z panem Syrewiczem, dyrektorem dzieci u państwa Starowiejskich. Bardzo mi więc dobrze było.

Tego żołdu nie chciałem przyjąć, ale ostatecznie musiałem, bo mi wytłomaczono, że moja bezinteresowność nie byłaby na miejscu. Kwota, jaką asygnowano z kasy na cały hurt powstańców, zapisanych do oddziału, musi być wydana, a sam ten rachunek utrzymuje w ewidencji liczbę żołnierzy, biorących udział w tej wyprawie.

Okolo 15-go maja miał oddział Komorowskiego wyruszyć w Krakowskie; żyliśmy więc tą nadzieją, a tymczasem wiodło się żywot próżniaczy, czytając gazety, zbijając bruki i męcząc bilardy po kawiarniach. Pieniądzy nie było za wiele, wreszcie nigdy ich w życiu za wiele nie miałem.

Przybycie na planty krakowskie jednego ze Sokalskich, zdaje mi się, naj-

WOJCIECH KOMOROWSKI



Wzrost prawdziwego szlachetnika
- przysięga doświadczenia i poświęcenia
Kubiecia Stanisława Grzegorzewskiego
Wojciech: Komorowski



młodszeo, ożywiło nasze pogadanki o przebytych trudach i bojach.

Biedak przybył o kulach z jedną nogą, bo drugą odjęto mu, wskutek otrzymanego wysoko postrzału, w stawie biodrowym. Serce bolało, patrząc na tego chłopca, który tyle wycierpiał, a którego ojciec i brat polegli pod Grochowskimi. Ciężko Bóg dotknął tę rodzinę.

Pobył mój w Krakowie i kolegów, zapisanych do oddziału Komorowskiego, przedłużał się w beczynności nadmiernie i zaczął niecierpliwić, bo termin wyruszenia w pole już dawno minął. Nareszcie około 10 czerwca otrzymałem list ze Lwowa, w którym Komorowski mi pisze, że już w Krakowskie nie wyjdzie z oddziałem, lecz w Lubelskie i wzywa mnie, abym przybył zaraz do Lwowa. Znów więc do matki idzie telegram o pieniądze i w kilka dni, około 15 go czerwca, byłem we Lwowie.

X.

We Lwowie, w austriackim areszcie i po miejskich kwaterach.

We Lwowie, wprost z dworca kolejowego, udałem się do mego pułkownika, który miał swoją kancelaryę w mieszkaniu hr. Mierowej, w Romaszkana kamienicy.

Komorowski ucieszył się, że przyjechał, zapewnił mnie, że już wkrótce ekwipowanie będzie gotowe, że ludzi już ma i niedługo wyruszymy. Wypytawszy się następnie o osobiste moje sprawy i dowiedziawszy się, że pierwszy raz jestem we Lwowie, polecił jednemu z organizatorów, który był właśnie w kancelaryi, aby mi wynalazł kwaterę. Pan ten przygotowany już był widocznie na podobne żądanie, bo zaprowadził mnie zaraz do państwa Bojarskich na ulicę Garncarską, zacnych starszaków, gdzie zamieszkałem. Sam pan Bojarski był rządcą w pałacu hr. Potockiego.

We Lwowie zastałem już Czaderskiego który ciężko chory leczył się na kwaterze u państwa Młockich, gdzie go odwiedzałem. Z innymi kolegami dawniejszymi, których tu było dosyć i z nowymi, których poznałem, spotykałem się w kawiarni Józia na placu Halickim, lub w ogrodzie Jeznickim, zwykłych podówczas miejscach schadzki powstańców.

W czasie tego pobytu we Lwowie, znów tak jak w Krakowie, czytało się gazety, przeżuwało się minione wypadki i snuło plany na przyszłość — a dzień mijał za dniem, tydzień za tygodniem na przygotowaniach do wyprawy. Komorowskiemu zawsze brakowało to tego, to owego — ale teraz sam się przekonałem, bywając często w kancelaryi, że komisarze cywilnej organizacyi zwlekają z dostarczaniem broni, co opóźniło całą akcyę.

Żołd we Lwowie również wypłacano. Dla biedniejszych był on niezbędnym, bo przybysze do obcego miasta musieli mieć jakiś grosz przy duszy, tych zaś, którzy na zabicie nudów mieli własne fundusze, tym żołdem utrzymywano w ciągłej ewidencji i zależności.

W początkach lipca, idąc raz na Walach Hetmańskich, zatrzymany zostałem przez jakiegoś jegomościa, który mnie zapytał:

— A ma pan paszport?

— A panu co do tego? — odpowiadam.

— Bo widzę, że pan nie musi mieć paszportu.

— Czy mam, czy nie mam, to moja rzecz; nie mam zaś obowiązku spowiadać się przed nikim. Żegnam pana.

— Za pozwoleniem — powiada do mnie ten jegomość — proszę czytać — i sięgając do kieszeni, wyciąga kartę legitymacyjną agenta policyjnego.

— Jeżeli tak, to co innego, proszę pana — i sięgając również do kieszeni, wyciągam i pokazuję mu mój paszport.

— Bardzo to ładnie — powiada pan agent — ale pan pójdzie ze mną na policję.

— Przepraszam pana, ja nie widzę potrzeby iść z panem na policję, bo właśnie mam zupełnie inną czynność na myśli. Żegnam pana.

Ale ten grzeczny pan zatrzymuje mnie wytwornym ruchem za surdut i tak mówi:

— Niech pan nie robi skandalu, proszę popatrzeć na lewo.

Popatrzyłem i widzę dwóch policyantów w mundurach z bronią, którzy, stojąc na ulicy Hetmańskiej, mieli oczy zwrócone na swego komendanta.

— Jeżeli pan nie pójdzie dobrowolnie, w tej chwili tych dwóch pana poprowadzi.

Wskutek tak logicznej a grzecznej uwagi, nie mogłem odmówić życzeniu pana agenta i poszliśmy.

W policyi przedewszystkiem zabrano mi paszport i odbyto rewizyę ścisłą około mej osoby — nawet w butach, poczem wydano rozkaz odstawienia mnie do aresztu, nie wiele zwracając uwagi na moje protesty.

W czasie tej podróży przymusowej — a odwożono mnie dorożką — doznawałem bardzo przykrego uczucia; nie wiedziałem, za co byłem aresztowany, pod jakim zarzutem zostawałem i co dalej ze mną zrobią.

Zawieźli mnie, zdaje mi się, na ulicę Batorego, do jakiegoś domu, zapewne filii głównego urzędu policyjnego, gdzie po zapisaniu, wprowadzony zostałem na pierwsze

piętro, do mieszkania o trzech pokojach z oknami zakratowanemi.

Jak już drzwi zamknięto za mną, otoczony zostałem przez kilkunastu towarzyszków, którzy chórem dopytywać się zaczęli, kto jestem, skąd, gdzie i jak złapany zostałem i o co mnie posądzają. Odbywwszy mniej więcej rzetelną spowiedź, nawzajem dowiedziałem się, że wszyscy, których tam zastałem, należą do tej samej kategorii, co ja, że są posądzeni o udział w powstaniu lub organizacyi, w różny sposób zostali przytrzymani i są teraz w śledztwie policyjnym, po którego przeprowadzeniu nastąpi dalsza decyzja o losie każdego.

Obrzydliwe były to areszta, gdzieśmy byli zamknięci. Brudne, odrapane, pełne robactwa — a co gorsza, rano każdego dnia stłaczano nas do dwóch pokoików, a w trzecim wchodowym od schodów odbywano oględziny policyjno-lekarskie wszystkich indywiduów obojej płci, przyłapanych po ulicach na nocnej włóczędze. Szczęście, że ich jeszcze między nas nie pakowano.

Nieczne i niespokojne było to przymusowe mieszkanie. Na usprawiedliwienie rządu austriackiego chyba służyć może ten

tylko argument, że wszystkie ówczesne areszta były przepelnione i trudno było o przyzwoitszą lokacyę dla gości takich, jak my, podejrzanych dopiero o polityczne przestępstwa.

Pocziwy pan Bojarski, jak tylko nie powróciłem na noc, domyślił się zaraz, że zostałem aresztowany i zgłosił się na policyę, aby mnie uwolnić; reklamacya jednak pozostała bez skutku; w czasie zaś mego aresztu oboje państwo Bojarscy troszczyli się o moje wygody, przysyłali mi cały wikt i różne przysmaki — nawet pościel od nich miałem.

Zaznaczam tu, że prawie wszyscy moi towarzysze mieli podobne wygody, bo patriotyczni lwowianie myśleli o wszystkim dla wszystkich i opiekowali się nami serdecznie.

Niektórzy z moich towarzyszków odbierali także korespondencye, które pisane na cienkim papierze, umieszczano w piórku, a to piórko tak było wciśnięte w bułkę lub pomarańczę, że na zewnątrz nie można było widzieć, że ta bułka lub pomarańcza zawiera cały list i wskazówki do zeznawania w śledztwie.

Po kilkunastu dniach mego uwięzienia,

jak już, zdaje się, zebrano wszystkie o mnie dane, zawołano mnie do kancelaryi. Przypominam teraz, jak się to szczęśliwie stało a przypadkowo, że w forcie krakowskim zapisany zostałem pod przybranem nazwiskiem, nie wiedzieli bowiem austriacy, że już byłem w wojsku powstańczem.

Indagacyę policyjną w kancelaryi prowadził ze mną pan komisarz Bleim, mały człowieczek w ciemnych okularach, który wypytywał mnie o przeszłość, o cel przybycia do Lwowa, a wkońcu zapytał, jakim sposobem dostałem się do Galicyi, skoro w Boguminie nie zostałem wpuszczony w granice monarchii.

Na te wszystkie pytania już byłem przygotowany, bośmy sprawę już poprzednio z kolegami omówili. Więc powiedziałem mu prawdę o moim pobycie w Belgii, zacząłem kłamać, że pan Bojarski jest moim krewnym, że miałem z nim ważną sprawę familijną do załatwienia, a gdy mnie nie wpuszczono przez Bogumin, zwróciłem się na południe i przejechałem przez granicę włoską, gdzie rygor paszportowy nie był jeszcze wprowadzony. Uszło. Komisarz Bleim był poczciwym człowiekiem, pełnił swoje obowiązki, ale bez szykan.

Po kilku dniach zawołano mnie ponownie do kancelaryi i odczytano wyrok, wydalaający mnie z granic państwa austriackiego. Podpisać też musiałem rewers, że w ciągu trzech dni wyjadę, a po drodze będę się meldował w policyi w Krakowie i na granicy. Po załatwieniu tych formalności zwrócono mi paszport i wypuszczono na wolność, po trzech tygodniach prawie aresztu.

Jak tylko znalazłem się na ulicach Lwowa, ucieszony z tak szczęśliwego zakończenia tej przykrej sprawy, pobiegłem do domu, aby serdecznie podziękować państwu Bojarskim za opiekę i przeprosić za wszystkie kłopoty, które im sprawilem.

Następnie poszedłem do Komorowskiego i opowiedziałem mu o mojem aresztowaniu — o którym już wiedział — i uwiadomiłem go również o rewersie, który podpisałem. Uznając niemożliwość mego dalszego pobytu we Lwowie, Komorowski pomyślał chwilę i powiedział:

— Jedź do mego brata do Korczmina pod Uhnówem, tam bezpiecznie przeczekaś aż do uformowania się oddziału, co już wkrótce nastąpi.

— Naturalnie z chęcią pojedę — odpo-

wiedziałem i następnego dnia wyjechałem do Korczmina, zamiast do Krakowa.

Wobec teraz zanadto fałszywego stanowiska, jakie względem rządu austriackiego zająć byłem zmuszony, nie mogłem już ani podróżować otwarcie, ani też narażać się na zetknięcie z władzami, bo teraz już pewnie wydanoby mnie moskałom. To też Komorowski opatrzył mnie w szczególną legitymację na pocztę obywatelską i dał list do brata. Podróż odbyłem według wskazanej mi marszruty bez wypadku, a odsyłany od dworu do dworu, jadąc, już nie pamiętam przez jakie stacje, około 20 lipca przybyłem do Korczmina.

Brat mego pułkownika, hr. Karol Komorowski, nazywany Karlosem w poufałem gronie, oficer od ułanów, który kwitował, jak mówią, z charakterem, ożeniony był z hrabianką Poletylło. Oboje byli młodzi, przystojni i mili — a prowadzili dwór z wielką wystawą, niewidzianą już dzisiaj nawet w magnackich domach. Podówczas bawiły przy nich panna Poletylło i panna Komorowska, siostry pana i pani domu. Na kwaterze zaś, zastałem kilku Francuzów, którzy przybyli do naszego powsta-

nia i tak, jak ja, oczekiwali na wyruszenie do Królestwa z oddziałem.

Prócz nas, stałych, że tak powiem, gości w Korczminie, codziennie przyjeżdżali tam oficerowie od huzarów, w Uhnowie stacyonowani. Naturalnie oficerowie, między którymi bywał major Grünne, późniejszy adjutant cesarza, wiedzieli o charakterze, w jakim my młodzi ludzie przebywaliśmy w Korczminie, ale w stosunkach towarzyskich uważali nas za gości państwa Komorowskich. Nam zaś te stosunki przyjazne z huzarami nadawały otuchę bezpieczeństwa, a szczególnie mnie, w tak wyjątkowych warunkach tam się znajdującemu.

W Korczminie tak był przyjemny pobyt w tem gronie doborowego, milego, wesołego towarzystwa, że doprawdy zapominało się o tem, że wkrótce trzeba będzie zamienić ten raj na trudy obozowe — zapominało się o charakterze, w jakim tam przebywaliśmy — zapominało się nawet, że się jest w Polsce, bo tak w salonach, jak i na naszej kwaterze, tylko po francusku rozmowy się toczyły.

Uprzejmość i gościnność gospodarstwa, miły i łatwy sposób rozmowy pięknych

kobiet, wytworność przymiotów towarzyskich huzarów, najprzyjemniejsze wspomnienia mi pozostawiły z tego pobytu w Korczminie.

Ale wszystko ma swój koniec. *Les beaux jours d'Aranjuez ont passés.*

Robota około organizacyi oddziału musiała już znacznie postąpić, bo wszystkich powstańców więcej na wschód zaczęto kierować. I ja też dostałem rozkaz, abym się zgłosił do pana Wiśniewskiego w Krystynopolu, jako do komisarza organizacyjnego w tych stronach, który mi wskaże dalsze moje przeznaczenie.

Pożegnawszy i żegnany serdecznie przez gościnnych gospodarzy, wyjechałem pocztą obywatelską do Krystynopola.

U państwa Wiśniewskich zabawiłem tylko parę dni, bo pan komisarz zapowiedział mi, że jestem przeznaczony na instruktora wojskowego w okolicy Parchacza, gdzie będzie też moja kwatera.

Dwór w Krystynopolu, a mówię tu nie o budynku starodawnego pałacu, był bardzo po wielkopańsku urządzony i prowadzony. Oboje państwo Wiśniewscy bardzo mili i piękni, w rozkwicie wieku ludzie, przyjmowali mnie z całą elegancją i uprzej-

mością, zwykłą wreszcie u prawdziwie dystygowanych osób. Raziło mnie tam tylko to, że samą panią tytułowano hrabiną, bo Stadionówna z domu — jego zaś tylko »jasnym panem«, jako wówczas jeszcze tylko szlachcica polskiego — i że oboje na to pozwalali.

W parę lat potem dowiedziałem się, że i pan Wiśniewski postarał się o tytuł hrabiego, odczuwając zapewne najmocniej ten dyssonans.

Przenocowawszy dwie noce w Krystynopolu, około 10-go sierpnia wyjechałem do sąsiedniej wioski, do Parchacza, na moją nową kwaterę i do nowych obowiązków.

Właścicielką Parchacza była pani Kłodzińska, wdowa, starsza już kobieta, bogata, nadzwyczaj zacna matrona, wzorowa gospodyni tak w kobiecem jak i w męskim gospodarstwie, które sama prowadziła. Na kwaterę z chęcią mnie przyjęła; a było nas tam tylko dwóch: ja i mój kolega z Warszawy Wedeman, którego już zastałem.

W ciągu pobytu mego w Parchaczu, poznałem tam pana Marcelego Madejskiego, znanego adwokata lwowskiego, ożenionego

z siostrzenicą pani Kłodzińskiej. W tym czasie wakacyjnym przebywał on często w Parchaczu i muzykowaliśmy zawzięcie, a choć już nie żyje zacny mecenas, miło mi wspomnieć te chwile, w których z wyrozumiałością i dobrocią chciał być towarzyszem młodzieniaszka.

Cały mój miesięczny prawie pobyt w Parchaczu pozostawił mi najlepsze wspomnienia. Pani Kłodzińska nie wiele sobie robiła z takich, jak ja i mój kolega, kawalerów, a rozumna, surowa w przestrzeganiu form towarzyskich, dodatnio umiała wpływać i wpływała na umysł i zachowanie się młodzieży, w owych czasach prawie stale u niej przebywającej. Wdzięczny jej jestem do dziś dnia za prawdziwie macierzyńską dla mnie dobroć.

W kilka dni po przybyciu do Parchacza rozpocząłem moją czynność instruktora. Do sąsiednich wiosek, gdzie przebywali powstańcy, wyjeżdżałem prawie co dnia, naturalnie kołmi pani Kłodzińskiej i tam uczyłem ich mustry plutonowej i obchodzenia się z bronią. Nauka odbywała się zwykle w odludnych miejscach, w parku lub w lesie — a jeżeli warunki miejscowe nie pozwalały w dzień, to i w nocy, gdy

było jasno. Byłem więc w Wolicy, w Pe-
klińcu, w Derewni, w Bojańcu nawet, zdaje
mi się i w innych miejscowościach, których
już nie pamiętam, a we wszystkich mnó-
stwo było powstańców; stąd zajęcia i pracy
nad nimi miałem dosyć.

Tu zauważyć muszą, że powstańcy in-
teligentniejsi i lepszego towarzystwa, mie-
ścili się po dworach, przyjęci będąc do
rodzinnego grona właścicieli. Rzemieślnicy,
parobcy i inni tego pokroju, umieszczani
bywali u drobnych oficjalistów po folwar-
kach i leśniczówkach, a wszyscy przyj-
mowani byli z tradycyjną, polską gościn-
nością.

Zwiedzając różne dwory w tych służ-
bowych moich podróżach, nigdzie nie zna-
lażłem niechęci do utrzymywania powstań-
ców, chyba wybryki ich samych powodo-
wały niezadowolenie i skargi. Zaznaczam
przytem, że po wiejskich kwaterach żołdu
nie wypłacano.

W tych warunkach przebywając w Par-
chaczu, oczekiwałem, a właściwie oczeki-
waliśmy wszyscy niecierpliwie, aby jak
najprędzej powołano nas na plac boju.
Dopiero jednak z początkiem września
otrzymałem rozkaz przeniesienia się jeszcze

więcej na wschód, do Romanówki nad Styrem za Szczurowicami, gdyż oddział Komorowskiego miał wyjść teraz już stanowczo na Wołyń.

Ucieszyłem się, odebrawszy ten rozkaz, i pomyślałem: no, przecie skończy się to wyczekiwanie, które zaczęło mi ciężać, zwłaszcza, że z gazet wiedziałem, że tu i owdzie wychodziły inne oddziały do Królestwa. Ja, ciągle związany umową z Komorowskim, a jeszcze więcej potrzebą ukrywania się przed władzami austriackimi, nie mogłem kroku zrobić, aby się dowiedzieć, co się w świecie powstańczym dzieje poza moim oddziałem i może inaczej sobą pokierować. Rozkaz więc wyjazdu nad samą granicę rosyjską był mi bardzo pożądanym i miły.

Dziękując za łaskawe przyjęcie i względy, ucałowałem ręce z wdzięcznością zacnej mojej gospodyni i podążyłem znów pocztą obywatelską do Romanówki.

XI.

W Romanówce. — Wyjazd do oddziału.

Właścicielem Romanówki był pan Nawratil, staruszek już, najpocześniejszy człowiek i wraz z żoną swoją, również w podeszłym wieku, popierał, ile mógł, nasze narodowe usiłowania.

Dwór państwa Nawratilów nie był urządzony na magnacką stopę, jak w Korczminie i Krystynopolu — nawet nie na pańską, jak w Parchaczu — ale był to dwór średnio zamożnego szlachcica, bez falangi służby, bez wielkiej ceremonii, ale szczery i serdeczny. To też przybywszy tam, przyjęty byłem jak dawno znany, dobry przyjaciel domu — i sam też po kilku dniach uczułem, że do rodziny prawie przyjechałem.

Dzieci państwo Nawratilowie nie mieli, ale mieli przy sobie dwie wychowanki, zdaje się siostrzenice jakiegoś pana czy pani,

już nie pamiętam; były to bardzo młode i ładne dziewczęta. Podówczas bawiła tam także ciotka rodzona tych panien, także panna, tylko już trochę przekwitła i państwo Adamowie Bienkowscy, jacyś krewni gospodarstwa.

Dwór mieszkalny był nie wielki, staroświecki; ale były i oficyny i w tych dwóch budynkach gospodarstwo i ich liczne otoczenie znajdowali pomieszczenie. Dla gości w głównym dworze na pięterku był duży pokój, gdzie też zostałem zakwaterowany.

W pokoju tym zastałem już dwóch lokatorów. Byli to dwaj emigranci z r. 1831, więc już starsi ludzie z przebytą pięćdziesiątką, ale jeszcze dosyć żwawi i silni. Jeden, Bolewski Ksawery, niski, średniej tuszy, silnie zbudowany mężczyzna z czupryną siwą, nisko strzyżoną i dziwnie łagodnym wyrazem twarzy; drugi, Rozwadowski, szczupły, dosyć wysoki, z ciemnym jeszcze włosem. Obydwaj byli urzędnikami w Credit Foncier w Paryżu i przybyli do powstania, wywołanego przez młodszą generację, aby jeszcze raz nieść życie w ofierze dla oswobodzenia ojczyzny.

Moi nowi towarzysze, zapisani również do oddziału Komorowskiego, przyjęli mnie

z serdecznem ciepłem i aż do opuszczenia gościnnego dworu w najlepszej zostawaliśmy przyjaźni. Rozmawiając na różne tematy, zgadzaliśmy się zawsze w poglądach — tylko nie zgadzaliśmy się w pojęciach o świecie nadprzyrodzonym, obadwaj ci panowie bowiem byli towiańczykami.

Wszyscy trzej teraz byliśmy przeznaczeni na instruktorów okolicznej rzeszy powstańczej, ale niestety nie mogliśmy już naszych funkcyj spełniać. Rząd austriacki, widząc, że powstanie upada, pod naciskiem wyższej polityki, zaczął teraz srodze prześladować uczestników i organizację wojska powstańczego w Galicyi. Tak jak w początkach roku, patrzono trochę przez palce na zabiegi Polaków, tak teraz zarządzono wszystko, co możebne, do zgniecenia naszych usiłowań dalszej walki z Moskwą.

Teraz już nie można było jeździć swobodnie od wsi do wsi, jak do niedawna, bo wszędzie w osadach były posterunki wojska, żandarmeryi i warty chłopskie do wyłapywania powstańców i aresztowania wszelkich rekwizytów i transportów, mających związek z organizacją powstania. W tym celu liczne patrole uwijały się po drogach;

w tym celu odbywano też częste rewizye po dworach i dworkach; — jednym słowem, prześladowano teraz ruch polski.

Ciężkie to były dla nas czasy!

Wkrótce doniesiono panu Nawratilowi, bo wszędzie byli patryoci, którzy znów starali się udaremnić tę akcyę rządu austriackiego — że u niego w Romanówce odbędzie się rewizya przez posterunek z sąsiedniego miasteczka Szezurowic.

Wiadomość ta przeraziła wszystkich; a najwięcej szło wszystkim o moją osobę, obawiano się bowiem, aby mnie austriacy nie wydali moskalom w razie przychwycenia.

Wszyscy byli bezradni, a ja prawie w rozpacz; — ale potrzeba jest matką wynalazków. Postanowiłem więc przeszu-kać cały dom, aby wynaleźć taką kryjówkę, w którejby szpicle — tak brzydkiem mianem przezywani byli wówczas w Galicyi wylapywacze powstańców — nie mogli mnie dostrzedz.

I znalazłem.

Dwór państwa Nawratilów, był to stary budynek, kryty dachem gontowym, ze staroświecką facyatką, okienkiem dachowem, podobnem do tego, jakie dziś jeszcze widzieć

można na szopach do wciągania siana. Facyatka ta, to okienko, było przykryte daszkiem, a pod daszkiem była przestrzeń trójkątna zamknięta — mały stryszek, ale tak mały, że zaledwie człowieka leżącego mógł pomieścić. Otóż ten stryszek na facyatce obrałem sobie na kryjówkę. Chcąc wejść do tego schowku, wsuwałem się w otwór, jak rak, po przystawieniu stołów, aby mieć głowę zwróconą na główny strych, następnie zaś zakrywałem właz z wewnątrz od siebie starymi gontami, aby zatrzeć jeszcze ślad istnienia tego stryszku. Taką więc kryjówkę wynalazłszy, byłem już bezpieczny.

Moi towarzysze, byli w lepszym położeniu, bo mieli karty legitymacyjne, własne czy nie własne, już nie wiem, a oprócz tego sam ich wiek usuwał podejrzenie o należenie do powstańców i jakieś bezpieczeństwo zapewniał.

W parę dni po otrzymaniu wiadomości o mającej się odbyć rewizyi, przybiega pokojówka przestraszona z wiadomością, że żołnierze już otoczyli ogród i zbliżają się do dworu — był to początek akcji. System rewizyjny był w ten sposób unormowany, że niespodzianie, w dzień czy

w nocy, otaczano z daleka cały dwór i po woli ścieśniając koło, zbliżano się do budynku, niby siatkę ściągano, aby ryby gromadziły się w jednej przestrzeni, nie mogąc umknąć w żadnym kierunku.

Wobec wiadomości, jaką przyniosła służąca, a było to rano, nie miałem czasu do stracenia; uciekłem na strych, wsunąłem się do dziury i zasłoniłem otwór, pozostawiając szparkę do patrzenia; rusztowanie prędko też odstawiono. Długo leżałem, jak w trumnie, oczekując w niepewności dalszych wypadków — a tak ciasno było, żem się ruszyć nie mógł i krokiewki gniotły mnie na wszystkie strony. Po dwóch godzinach może przykrego oczekiwania słyszę po schodach kroki — więc idą. Za chwilę wchodzi jakiś jegomość po cywilnemu ubrany, za nim kilku żołnierzy i ze strony gospodarstwa ciotka z miną strwożoną, przestraszoną. Ow pan przepatrzył szczegółowo cały strych, wszystkie kąty, wszystkie paki i paczki, jakie tam były, obejrzał się jeszcze raz wokoło - i wyszedł, a za nim wszyscy.

Ja przez cały czas tego szukania pary nie puściłem z ust, anim drgnął, aby się nie zdradzić, a było to straszne udrę-

czenie moralne i fizyczne. Gdy już było po rewizyi, która szczęśliwie dla nas wypadła, bo nie wzięto nikogo i gdy wojsko odeszło, uwolnili mnie z tej trumny zmęczonego i zbiedzonego bardzo. Z czasem oswoiłem się z moją kryjówką, tak, jak i wszyscy domowi, bo rewizye odbywały się niekiedy po dwa razy na tydzień. Szpicle byli w rozpaczy, wiadano bowiem w okolicy i oni zatem wiedzieli, że są powstańcy u państwa Nawratilów, a wyłapać ich nie mogli. Na starszych moich towarzyszyków nie zwracano już uwagi, oni byli już bezpieczni, niby legalnie bawili u krewnych na wsi w gościnie.

Częste jednak męki, jakich doznawałem na moim stryszkach w czasie rewizyi, zaczęły mi dokuczać, więc szukałem i znalazłem sobie inny schowek. Między podłogą strychową a sufitem dolnego mieszkania była próżnia, ale taka, że tam człowiek mógł się zmieścić i rozciągnąć wygodniej, niż w tej trumnie na facyatce. Podnosząc deskę w podłodze strychowej można tam było wsunąć się i leżeć niewidziany. Nie była to także wygodna kryjówka, mimo, że ją służba dworska oczyściła trochę, bo kurz, zaducha, brak powietrza, utrudniały

oddychanie, a nadto i przedewszystkiem bardzo nieprzyjemnego wrażenia doznawałem, gdy chodzono po strychu, a deski prawie pleców dotykały.

Wspomniawszy o służbie, tak mi życzliwej, w Romanówce, zaznaczyć muszę, że wogóle cała służba po dworach: lokaje, furmani, parobcy, dziewczki i cała ludność wiosek tych okolic, w których przebywałem, przychylnie usposobioną była dla powstańców.

Wszyscy byli nam życzliwi, a już zdrady w czasie rewizyi żadnej nigdzie nie było, przynajmniej ja nie słyszałem nawet o jakimś pojedynczym wypadku. Bez złych zamiarów mogli byli ci ludzie przypadkowo wygadać się — dać poznać po sobie, że coś jest w domu, czego władze poszukują, ale i to się nie stało.

W Romanówce na przykład, ile to ludzi wiedziało o miejscu, w którem się ukrywałem, a mnie nawet na myśl nie przyszło troszczyć się o to, że mogę być zdradzonym. Kilkanaście rewizyi przetrwałem, a za każdym razem po odejściu wojska służba z oficyn dowiadywała się, czy mnie nie odkryto. Tak było w Romanówce i tak było wszędzie. Takie to były czasy!

Mile i serdeczne wspomnienie wyniosłem z mego pobytu u państwa Nawratilów, a bawiłem tam ze 6 tygodni. Już też oswoiliśmy się z czekaniem na wymarsz oddziału Komorowskiego, o postępie zaś przygotowań mieliśmy wiadomość przez p. Jana Nahornego, który, będąc w organizacyi, sam zajmował się transportem broni i innych rekwizytów, a bywał często w Romanówce.

Czas spływał nam na czytaniu książek i przyjemnej pogadance w tym zacnym domu i w tak miłym towarzystwie. Kobiety, szczególnie panny, poczuwały się do obowiązku bawienia gości, a przejęte bohaterstwem naszego poświęcenia się dla ojczyzny, uprzyjemniały nam chwile, jak mogły i jak umiały najlepiej. Starsi moi koledzy z wdzięcznością odczuwali tak naturalną uprzejmość niewieścią, — na mnie znów inny wpływ ona wywierała.

Jedna z pańien, najmłodsza, panna Józefa, wiedząc, że lubię muzykę, grywała na fortepianie i śpiewała czasem, a ja, zasłuchany, marzyłem, przeniesiony w sfery młodzieńczych zachwytów. I w tej chwili nawet, gdy przenoszę się myślą w owe czasy, płynie mi do uszu, jakby ostatnie odbicie echa, słyszana przed blisko 40 laty,

jakaś wdzięczna melodia, a za nią mimowoli szepczę słowa :

Ach, jak mi tęskno, smutno i nudno,
Na polu deszcz i mgła.
Kochać nie można, zapomnieć trudno,
O, ciężka dola ma.

I patrzę w niebo: ni gwiazd, ni słońca,
Ni w oku mojem łzy!
A wszędzie tuman i mgła bez końca
I mgła, gdzie ja i ty!

Miałem wówczas 22-gi rok, wrażliwy umysł i serce, nic więc dziwnego, żem sercem całem słuchał tych melodyj, żem odczuł urok młodziutkiego, skromnego, łagodnego, polskiego dziewczęcia i poddawał mu się z przyjemnością.

Po powstaniu, losy popędziły mnie w szeroki świat, na długie lata w obce społeczeństwo i... nie widziałem więcej panny Józefy. Przepiękna ta sielanka w Romanówce nigdy się nie zatarła w mojej pamięci, a obraz jej u schyłku życia, gdy to piszę, zaświecił mi jeszcze ze mgieł wspomnień niezwykle uroczym blaskiem młodzieńczego idealizmu.

A teraz z tej wycieczki w krainę poezji, zmuszony spełnić swoje zadanie, powracam do opisu wypadków realnych.

Pewnego poranku, już w październiku, zjawilo się we dworze dwóch powstańców z Wołynia, którzy świeżo przebyli sąsiednią Romanówce granicę Galicyi. Jeden z nich, pan Ch....., młodzieniec dwudziestokilkoletni, rosły, przystojny brunet, noszący się elegancko, w czamarce; drugi, pan Bro....., trochę starszy, średniego wzrostu, przysadkowaty. Zaledwie się trochę rozgadali, wbiega służąca z wiadomością, że dom otoczony i będzie rewizya. Ja wprost zdążam pod podłogę na strychu i zapraszam z sobą moich nowych kolegów, bo nie mieli paszportów, ani żadnej legitymacyi. Nie było innej rady, musieli przyjąć zaprosiny i za moim przykładem i przewodem wpelzają obadwaj do kryjówki, gdzie leżymy dosyć cicho, może z półtorej godziny. Narreszcie zjawili się spodziewani goście strychowi i chodzą po nas. Wtem jeden z moich towarzyszków zaczyna się ruszać, poprawiać w położeniu; no, myślę sobie, jak ten zacznie jeszcze kaszlać i kichać, już będzie po mnie. Nie mogąc inaczej upomnieć do spokoju nowicyusza, dałem mu porządnego

szturchańca, który na tyle był skutecznym, że rewizya i tym razem szczęśliwie się dla mnie skończyła, choć byłem w nielada już strachu.

Jak wyleźli ci panicze z pod podłogi, nie można się było wstrzymać od śmiechu: w zniszczonem ubraniu, spoceni, zamorusani, z wyrazem nieszczęśliwych, malującym się w całej ich postaci — nadzwyczaj komiczne wywoływali wrażenie. Obaj zaraz zarzekli się, że drugi raz pod podłogę nie wleżą, choćby ich mieli austriacy aresztować; to też, nie chcąc narażać elegantów na ciągłe przykrości w tak niebezpiecznej miejscowości, nie zatrzymywaliśmy ich dłużej w Romanówce i tego samego dnia jeszcze, wyprawiliśmy ich na inną kwaterę.

Panicze ci, nie byli jeszcze w wojsku powstańczem, po ich więc wyjeździe, zastanawialiśmy się, co ich skłonić mogło do tak późnej decyzji wstąpienia w szeregi walczących i przyszlismy do wniosku, że to sprawa kobiet.

Bismark powiedział, że Polki podtrzymują najwięcej ducha narodowego i że z niemi najtrudniejsza jest walka. I prawdę powiedział.

W r. 1863 każdy młody człowiek, który mógł i powinien walczyć za ojczyznę, a tchórz go obleciał, albo też za mało miał wewnętrznego poczucia patryotyzmu, nie mógł się spokojnie pokazać w żadnem towarzystwie; kobiety ścięły go języczkami i zadawały, gorsze niż kule moskiewskie, rany. Opowiadał mi Zieliński Aleksander, sztabs-kapitan leib-gwardyi dragonów, stacyonowany w czasie wybuchu powstania z pułkiem w Warszawie, że kobiety w zapalczywości swojej patryotycznej, bez względu na skutki, chcąc dać wyraz nienawiści swojej do munduru moskiewskiego, na ulicach pluły w twarz oficerom, a szczególnie, gdy wiedziały, że Polak. Ten Zieliński, ojciec mojej wychowanki, uciekł z wojska jeszcze w marcu i przybył do Krakowa, gdzie go w tym czasie poznałem; nie potrzebował on jednak żadnej drastycznej podniety do porzucenia munduru moskiewskiego, pochodził bowiem z rodziny, która w r. 1863 wiele ciężkich ofiar na ołtarzu ojczyzny złożyła. Brata jego, także oficera, rozstrzelali moskale w Kijowie jeszcze przed wybuchem powstania; rodzicom skonfiskowali majątek w mińskiej gubernii i wysłali na osiedlenie do gubernii

saratowskiej — mógł więc z całą swobodą opowiadać o usposobieniu kobiet warszawskich dla munduru, który nosił, oczekując do zrzucenia go tylko sposobności stosownej, z wewnętrznych, osobistych pobudek.

Wogóle Polki w r. 1863 odznaczały się nadzwyczajnym patryotyzmem i entuzjazmem dla powstania. One, co gorętsze i więcej zapalone, załatwiały najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze sprawy; woziły depesze naszego Rządu Narodowego, przewoziły broń i amunicję, narażając swoje życie, znosząc cierpliwie wszelkie trudy, znosząc, co gorsza, w razie wyłapania, szyderstwa i grubiaństwa moskiewskie. One też przygotowywały ubrania, bieliznę, robiły ładunki, a w każdym domu prawie skubały szarpie i robiły bandaże dla rannych.

Poświęcenie się kobiet polskich w tej walce z Moskwą było wielkie, bezgraniczne, to też najwyższa cześć im się zawsze od nas należy.

Za pobytu mego w Romanówce, mieliśmy, my oficerowie, jako władza, jedną skargę na powstańców do załatwienia.

W niedalekiej wiosce był oficyalista prywatny, czy mniejszy właściciel gruntu,

który utrzymywał u siebie na kwaterze powstańców. Ow pan, liczący wówczas lat 106, niedawno się ożenił ze swoją gospodynią, więcej niż o połowę lat od niego młodszą, a która miała 18-letnią córkę. Otóż zgłosił się on do nas osobiście i prosił, abyśmy mu dali innych żołnierzy na kwaterę, bo z tymi, których ma, wytrzymać nie może: balamucą mu pasierbicę, a on na to obojętnem okiem patrzeć nie może. Naturalnie odjechał zadowolony z naszych oświadczeń, że jego życzeniu stanie się zadość; było to jednak tylko dyplomatyczne załatwienie sprawy, której rzeczowo nie można było rozwiązać, z powodu stanu obleżenia i trudności translokacyi.

Po jego odejździe dowiedzieliśmy się, że to zazdrość uczyniła ojczyma tak tkliwym na spokój serca pasierbicy, chciał się bowiem sam z nią żenić; księża jednak ślubu dać nie chcieli, z powodu zbyt wielkiej różnicy wieku. Wypadek ten może służyć za dowód stałości i energii męskich afektów, nawet w najpóźniejszym wieku, a jako niezwykły, zapamiętałem go i notuję dzisiaj z pewną przyjemnością.

Tak to więc upływał mi czas w Romanówce na oczekiwaniu powołania do

szeregów. Nareszcie nadszedł i tu kres wszystkiemu.

Około 20-go października przywiózł nam pan Nahorny rozkaz, aby do trzech dni przybyć na punkt zborny w lasach pod Sokalem, gdzie oddział miał się formować. Trzeba więc było myśleć teraz o ekwipowaniu się obozowem pod zimę, a ja oprócz zuawskiego stroju, guńki i nowych butów, nie miałem cieplejszego ubrania, nie mogąc się na wsi o futerko jakie postarać. Pocziwa pani Bieńkowska, dziś Popławska, w części zaradziła temu niedostatkowi i obdarzyła mnie ciepłą bielizną swego męża. Byłem więc gotowy.

Teraz wyłoniła się nowa trudność: w jaki sposób przebyć bezpiecznie kilkanaście mil z Romanówki za Sokal, aby po drodze nie wpaść w ręce austryaków. Moi towarzysze byli ciągle w lepszym położeniu, niż ja; ich wiek, poważny wygląd, karty legitymacyjne — zapewniały im bezpieczeństwo. Ze mną była trudniejsza sprawa; wobec posterunków wojskowych, wart wiejskich i uwijających się wszędzie żandarmów, nie można było żadnego planu ułożyć, zapewniającego pomyślną podróż. Szczęście

jednak miałem w mojej wojaczce, bo i teraz przypadek wybawił mnie z kłopotu.

Rząd austriacki musiał równocześnie z nami być powiadomionym o mobilizacji naszego korpusu, bo zaraz nazajutrz doniesiono panu Nawratilowi, że kaprał załogi Szczurowickiej chce iść do powstania i prosi usilnie o ułatwienie mu zamiaru. Drażliwa to była sprawa, bo przypuszczaliśmy, że to podstęp, aby nas tym pewniej wyłapał. Długo więc, bo dwa dni, trwały umowy przez powstańców między dworem i kapralem, nim nabraliśmy wiary w jego dobre chęci i nim nastąpiła decyzja, aby sam do nas przyszedł, celem osobistego porozumienia się.

Wieczorem drugiego dnia zjawia się więc kaprał, po wojskowemu ubrany, jakiś rodowity wiedeńczyk i oświadcza, że oburzony niesprawiedliwością przełożonych względem siebie — tak zwaną po galicyjsku »sekaturą« — połamał swój karabin, że nie chce służyć w wojsku austriackiem, że chce iść z Polakami bić moskali i że do swego pułkownika już o tem napisał. Wobec tego nie można go było opuścić i trzeba było dopomódz jego dobrym chęciom, a plan dalszego postępowania na po-

czekaniu przez starszych pomyślany i uložony został.

Plan ten był taki, abyśmy obydwaj razem, to jest ja i on, nazajutrz rano wyjechali chłopską furą, a pan kaprał będzie mnie, jako powstańca, niby ciupasem odwoził do Sokala. W ten sposób ja mogę być bezpieczny, bo jadę z kapralem austriackim i on będzie bezpieczny, bo niby odwozi powstańca. Papierów urzędowych wprowadzie na taką podróż nie było, ale przypuszczaliśmy, że rodowity wiedeńczyk swoim dyalektem wzbudzi ufność u posterunków i zastąpi papiery.

Nadeszła przykra chwila rozstania się z rodziną, tak dla mnie życzliwą i przyjacielską. Nie będę jej opisywał — nadmienię tylko, że od panny Józefy dostałem bukiet kwiatów i jakąś złotą sztukę, z której kazałem potem zrobić szpilkę do krawatki, do dziś dnia mi służącą.

Ranitko 23-go października wyjechaliśmy.

Na tę podróż z panem kapralem ubrałem się odpowiednio; nałożyłem na głowę jakąś konfederatkę, nie dokończyłem stroju około szyi, aby więcej zaniedbanie wyglądać, a przyodziawszy moją guńkę i wzuw-

szy wysokie buty, stałem się typowym powstańczym włóczęgą.

Włóścianin, który nas wioził, był to zaufany człowiek, znający dobrze okolice, mijał więc wioski, o ile to było możebne, po drogach zaś spotykani żandarmi o nie się nas nie pytali, widząc austriackiego kaprała na wozie. Nie można było jednak mijać wszystkich wiosek; w pierwszej więc, przez którą musieliśmy przejeżdżać, zaraz na początku osady, zatrzymał nas patrol wojskowy i zaprowadził z furą przed chałupę, gdzie był oficer. Ten wyszedł i zaczęło się szwargotanie z moim kapralem — po chwili zaś kiwnął oficer ręką i pojechaliśmy dalej.

Udało się i tak było kilka razy; a ja za każdym razem przy tem szwargotaniu tortur moralnych doświadczałem za siebie i za mego towarzysza. On pewnie drżał o siebie najwięcej, bo wiedział dokładnie, co go czeka, w razie nie udania się tej sztuki, a jak dziś widzę, była to bardzo śmiała i ryzykowna sztuka, którą tylko junactwo nasze mogło szczęśliwie wykonać.

Po każdym takim przebyciu posterunku, nie mieliśmy nawet pociechy, aby się wygadać, bo mój kaprał nie umiał po polsku,

a ja po niemiecku; uczucie więc zadowolenia na migi mogliśmy sobie tylko wyrażać — i jakoś rozumieliśmy się.

W ten to sposób na wieczór dojechaliśmy do wskazanej leśniczówki, gdzie już zastałem dosyć powstańców i Nahornego z wozami i bronią. Jak się nas więcej zebrało, poprowadził nas leśniczy do obozu, który gdzieś głębiej, w lasach Żdżarskich się zakładał.

XII.

Formowanie oddziału.

Nareszcie dnia 25-go października rano przybyłem do obozu i uściśnałem serdecznie dłoń Komorowskiemu, którego już zastałem. Niemym a wymownym wzajemnym uściskiem dziękował mi pułkownik za dotrzymanie danego mu słowa.

Teraz odetchnąłem pełną piersią, czując się jakoś swobodny. Weszło też witałem znajomych, których było dosyć, bo wielu z dawnych żuawów zapisanych było do oddziału Komorowskiego; witałem się serdecznie z Czaderskim, którego już zastałem — jednym słowem, czułem się zadowolony, dobrze usposobiony, orzeźwiony tem powietrzem polskiego obozu.

Co chwila teraz przybywały nowe partye ochotników, a w nich dawni znajomi; gwarno więc robiło się w obozie, bo wszyscy

mieli co opowiadać o przebytych trudach i niepokojach kwaterowych.

Wtem patrzę, przyjeżdża furą Zwierkowski, a za nim wkrótce Kahane; z rozczuleniem ścisnąłem obydwóch. Początkowo sądziłem, że oni przyjechali popatrzeć się na nasz obóz, zobaczyć się z kolegami, zachęcać do wytrwałości, ale dowiedziawszy się, że mają zamiar brać udział w wyprawie, wykrzyknąłem zdziwiony:

— A to po co? daliście już dosyć dowodów swej ofiarności.

— Będziemy bić jeszcze moskali.

— Ale to złudzenie z waszej strony; z wyczerpanym organizmem, nie zniesiecie trudów obozowych, z jedną ręką nie obroni się nawet żaden z was od moskala.

— Mamy jeszcze dosyć sił.

Naturalnie moje uwagi, jakich pewnie nasłuchali się dosyć od wszystkich, nie zachwiały ich postanowieniem.

Obydwaj ci bohaterscy młodzieńcy stracili, jak opisałem, po jednej ręce pod Grochowiskami; teraz kalecy spieszą drugi raz w szeregi narodowe, aby, nie już ramieniem, którego nie mieli, ale piersiami walczyć z wrogiem — wskazywać, jak się poświęca całego siebie dla ojczyzny.

Boże miłosierny! Czyż takie dowody bezgranicznych poświęceń dla uczucia, które sam zaszczyliłeś w serca nasze, nie są jeszcze wystarczające? Czyż zawsze ciężyć będzie na nas gniew Twój i kłątwa? Boże, Boże! myśmy tyle ofiar dali.

Myśmy tyle krwi przelali,
Że już zmyte ojców grzechy!

W historii świata niema podobnych przykładów miłości ojczyzny i tylko w dziejach Polski porozbiorowej widzieć można żołnierzy na szczudłach i bez rąk walczących za wolność swego kraju.

Władysław hr. Tarnowski, żołnierz z mojej kompanii, pod wpływem uczuć, jakie widok w obozie tych dwóch potężnych duchem kalek wzniecać musiał, napisał wiersz, który tu przytaczam:

Do

Władysława Zwierkowskiego
i Filipa Kahanego.

O wy! o jednym ramieniu,
Straciwszy drugie wśród boju,
Nie pozostali w spokoju,
Lecz, jak orlemu plemieniu
Przystало — z jedną w bój ręką
Idący! Pleśń wam śle,

Jak pożegnalną łzę!...
Jakkolwiek cichą, maleńką,
Lecz, kiedyś, kiedyś, może i ona,
Jak ziarno wichrem poroznoszona,
Ujrzy w ojczyźnie weselszy czas;
Niechaj jej wtedy przypomni was,
Coście szli z jedną ręką na bój!
Wołając: Boże patrz! carze stój!...
Gdy druga ręka z ziemi sterczała
I »patrz« o piorun do Boga wołała.

Przytoczony wiersz, znajduje się w zbior-
ku »Krople czary«, wydanym w Dreźnie ¹⁾.

Dnia 26-go października, nazajutrz po
mojem przybyciu, już wszyscy prawie na-
leżący do oddziału Komorowskiego, zgro-
madzili się w obozie. Kapitanom, dowód-
com kompanii, utrzymującym w ewidencji
swoich ludzi, polecono teraz ustawienie ich
w szeregi. Kompanii było cztery po 100
ludzi, a więc oddział liczył 400 żołnierzy,
prócz kawaleryi, której miało być 60 koni.
Po ustawieniu wszystkich, pocznaczał Ko-
morowski każdą kompanię numerem, a na-
stępnie przed frontem każdej mianował
oficerów w imieniu Rządu Narodowego.

¹⁾ Władysław hr. Tarnowski z Wróblowic,
poeta, estetyk i muzyk, wydawał poezye swoje
pod pseudonimem Ernesta Buławy.

Gdy stanął przed trzecią kompanią, ogłosił: Kapitanem kompanii mianowany Emil Ferdynand Czaderski; porucznikiem Stanisław Grzegorzewski; podporucznikami: Władysław Zwierkowski i Rudnicki (imienia nie pamiętam). Mianował potem wachmistrza, sierżantów i kaprali, których nazwisk nie pamiętam.

Dowódcą kawaleryi — rotmistrzem był, zdaje mi się, Obertyński; podporucznikiem był mój towarzysz z Romanówki, Ksawery Bolewski. Adjutantem Komorowskiego był Izydor Dzieduszycki — a później także, jako drugi, wspomniany wyżej Aleksander Zieliński.

Byłem uszczęśliwiony moim awansem, mając przyrzeczony tylko stopień podporucznika. Po odbytej ceremonii nominacyj, podszedłem do Komorowskiego i mówię:

— Dziękuję ci pułkowniku za awans; nie wiem tylko, czy będę w stanie odpowiedzieć zadaniu.

— Już ja wiem, co robię — odrzekł i uściskał mnie serdecznie.

— Odpowiedzialność na tobie, pułkowniku; ja, z mej strony, będę ciągle myślał o tem, aby być godnym tego zaszczytu.

Czaderski był również zadowolony tak

z mojej nominacyi na porucznika, która, zdaniem jego, słuszenie mi się należała, jako podoficerowi żuawów, jako też i z przydzielenia nas obu do jednej kompanii; to też bez skrupułów zaraz tak się do mnie zwrócił:

— Zajmij się wszystkim, bo wiesz, że m chory.

I rzeczywiście biedak nie był jeszcze wyleczony i był tak słaby, że więcej leżał, niż chodził — w marszu zaś jechał konno.

Miałem też zaraz na wstępie wielkie zadanie do spełnienia, to jest umundurowanie i uzbrojenie całej kompanii; energicznie jednak tę czynność prowadząc — bo z żołnierzami, którym to i owo było ciągle niewygodnem, nie można było inaczej — przed wieczorem jeszcze wszystkich ubrałem.

Nadmieniam przytem, że w ciągu nocy po rozdaniu kożuchów i butów, znikło kilka dziesiątków ochotników z całego obozu. Na to nie było rady.

Mundurów właściwie nie było. Żołnierze otrzymywali bieliznę, spodnie, buty i kożuchy, bo to szło pod zimę. Te kożuszki jednakowego kroju i koloru i kapelusze pilśniowy, takiego kształtu, jak druciarze no-

szą, tylko z prostemi kresami, stanowiły rodzaj mundurów. Z tych kapeluszy ogromnie wszyscy byli niezadowoleni, bo wyglądało się w nich potwornie; ale tak dzwaczył zawsze na punkcie ubrania Komorowski.

Ja sam, nie chcąc nosić tego kapelusza, zawsze dbały o swoją powierzchowność, wziąłem sobie czapkę barankową jakiegoś kolegi, który musiał w szeregu kapelusz nałożyć. W zamian za guńkę wziąłem sobie także kożuszek, bo zdawało mi się, że w nim będzie cieplej — a kapitalne głupstwo zrobiłem.

Odznaki oficerskie i wogóle starszyzny stanowiły paski z czerwonego sukna na obu ramionach, tak, jak u moskali, na których przyszywano austriackie gwiazdki oficerskie lub kaprałskie. Jedną z tych palek, które wówczas nosilem, do dziś dnia posiadam i chowam na pamiątkę; drugą ktoś łaskawie mi zabrał, zapewne także na pamiątkę — ale bez mej wiadomości.

Broń była dobrą, karabiny nowe, lepsze niż z początku powstania. Ładownica, noszona na przodzie, zawieszona była na pasie, który służył jednocześnie do ściskania kożuszka. Uzbrojenie oficera stanowił tylko

pałasz i to jakiś stary, austriacki, kawaleryjski pałasz; rewolwerów nie dawano, ale każdy mógł mieć własny i tak po największej części było. Ja, oprócz pałasza, zamiast rewolweru, którego nie miałem, nosiłem piękny sztuciec, prezent od Wład. Tarnowskiego; sztuciec ten z bardzo górno-lotną dedykacją był mi ofiarowany i był mi w całej wyprawie bardzo miły, bo lekki i nadzwyczaj zręczny.

Gdy już wszyscy byli ubrani i uzbrojeni, zacząłem uczyć mustry swoją kompanię, bo trzeba było choć trochę oswoić ludzi z bronią, szczególnie tych, co nigdy nie mieli karabina w ręku. Trzeba było uczyć ich trochę ruchów, aby można było wojska tego użyć; nie wiele jednak można było zrobić w ciągu czterech dni, które trwała nauka.

W obozie Żdżarskim biedy nie było; wprawdzie z przysmaków dworskich zeszliśmy na wikt obozowy, ale jedzenie mieliśmy dobre, ciepłe — była wódka, nawet tytoń rozdawano. Ochota też była dobra, a duch żołnierzy najlepszy — tylko tego humoru, jakim w Goszczy wszyscy byli ożywieni, już nie było. Do poważniejszego nastroju przyczyniał się w znacznej części

jesienny kapuśniaczek, który zaczął padać z samego początku gromadzenia się naszego i dokuczał bardzo. W dzień było jeszcze jako tako, ale w nocy deszczyk ten zatrzymywał się na chruście, z którego porobiliśmy sobie szałas, a z chrustu grubemi kroplami spadał na nas śpiących. Przy ogniskach nie było także tego animuszu, ani tak ożywionego gwaru, jak w Goszczy — w Goszczy, gdzie jasne słońce wiosny i nadziei przyświecało; teraz kapuśniaczek jesienny zakwaszał najwesołszych, urodzonym nawet śpiewakom zamykał usta.

Jeszcze we Lwowie wiedziałem, że równocześnie z oddziałem Komorowskiego, formuje się i drugi oddział pod dowództwem Rochebrune'a, lecz o związku między nimi nie wiedziałem. Dopiero w obozie Żdżarskim dowiedziałem się, że postanowionem było przez sfery wojskowe, aby 8 oddziałów wkroczyło równocześnie na Wołyń, że obecnie jednak zgromadziły się w tym celu tylko 3 oddziały, pod dowództwem Rochebrune'a, Komorowskiego i Sienkiewicza, nad którymi objął naczelnictwo generał Kruk (Heidenreich).

Podobno do tej liczby miał jeszcze należeć czwarty oddział pod dowództwem Aladara, jakiegoś Węgra, ale o nim w obozie naszym nic nie słyszałem. Nasz oddział w tym organizmie liczbą 7 był oznaczony.

Wymienione trzy oddziały miały się formować, każdy na wyznaczonem dla siebie miejscu i zgromadzić się potem na jednym punkcie zbornym w lesie Żdżarskim na północ Sokala i Skomoroch. My z naszym obozem byliśmy najbliżej tego ostatecznego punktu zboru, dlatego, aż do czasu wymarszu za granicę, pozostaliśmy na miejscu.

W czasie zbierania się innych oddziałów zaszły wielkie zmiany w naczelnem dowództwie. Głuche wieści chodziły o nieporozumieniu dowódców, które, niestety, były prawdziwe. Mówiono, że Sienkiewicz zgubił w marszu na punkt zborny część swego oddziału, że wskutek tego Kruk zrobił mu wymówkę, a Gerlicz, adjutant Sienkiewicza, chciał z rewolweru zastrzelić zasłużonego generała; powiadano dalej, że Kruk, zrażony taką niesubordynacją, porzucił naczelne dowództwo wyprawy i odjechał do Lwowa. Wiadomości te były bardzo przykre i przygnębiające dla nas, bo

generał Kruk wzbudzał wielkie zaufanie w żołnierzach i mieliśmy to przekonanie, że pod jego dowództwem moskale znów dostaną tak dobrego łupnia, jak pod Żyżymem. Nadzieje tak świetnego powodzenia znacznie się teraz zmniejszyły.

Wskutek tych wypadków naczelne dowództwo nad połączonymi 3-ma oddziałami objął teraz najstarszy rangą generał Rochebrune.

Dnia 29 czy 30 października przybył na lustrację naszego oddziału wódz naczelny. Nie był to już ten sam Rochebrune z pod Grochowsk — zupełnie teraz inaczej wyglądał; zamiast munduru żuawskiego nosił surdut jakiś tabaczkowy à la Napoleon, kepi i lakierowane buty.

Generał nie kazał występować oddziałowi w całym rynsztunku, tylko spacerował między żołnierzami po obozowisku. Tu i owdzie poznawał dawnych podkomendnych i witał się uprzejmie ze znajomymi. Lustracja odbyła się rano; zaraz też po odjeździe Rochebrune'a zostałem odkomenderowany, jako oficer ordynansowy naszego oddziału do głównej kwatery. Wybór na mnie padł zapewne dlatego, że wyróżnił mnie generał dosyć życzliwie, a najwięcej

zapewne dlatego, że mógł do mnie po francusku swoje uwagi czy rozkazy wypowiedzieć. Po otrzymaniu instrukcyi służbowej udałem się natychmiast na moje nowe stanowisko przy Rochebrune'ie, którego obóz niedaleko od naszego był założony także w lasach Żdżarskich.

Za mojej przy nim bytności byłem świadkiem niemiłego a poważnego w skutkach zajścia — wydarzył się wypadek, który wpłynął na losy całej naszej wyprawy.

Siedząc obok szalasu naczelnego wodza u ogniska i słuchając projektów o wyprawie, spostrzegłem naraz, że zbliża się jakaś grupa wojskowych, żywo rozmawiających, klóących się ze sobą. Sprawa wytoczyła się przed Rochebrune'a, z której się okazało, że jacyś oficerowie wydobywali samowolnie tytoń z furgonów dla swoich żołnierzy.

Była to niesubordynacya rażąca i godna skarcenia, ale nie było to znów takie przekroczenie, aby miało spowodować poważne skutki dla oddziału. Polak dowódca na takie przekroczenie byłby może więcej wyrozumiały, ale Francuz nie mógł — a prawdopodobnie nie chciał zrozumieć, że

w wojsku powstańczem nie można od razu wprowadzać dyscypliny regularnej armii; wpadł więc w gniew, unosił się, krzyczał, groził sądem wojennym i kazał aresztować winnych. Ci podrażnieni krzykiem i gorączką Francuza zaczęli hardo odpowiadać, podnieśli także głos i oświadczyli, że aresztować się nie dadzą.

To jedno jasno pojąwszy, nie rozumiejąc wiele po polsku i zgorszony takim brakiem karności, a podniecony już generał, powiedział w końcu, zwracając się do nas wszystkich:

— Kiedy wy nie umiecie słuchać i szanować waszych dowódców, to bądźcie zdrowi — *à dieu*.

Kazał osiodłać konia i porzucił obóz.

Rochebrune'owi musiała dawno już światać w głowie myśl porzucenia obozu, zaraz zapewne po awanturze z generałem Krukiem, gdy z powodu starszeństwa rangi musiał objąć naczelną komendę nad wyprawą. Teraz skorzystał tylko ze sposobności, aby uciec.

Według mego zdania, głównym powodem odjazdu Rochebrune'a była ambicja, ten tak potężny motor czynów ludzi na wybitniejszym stanowisku. Jako teraz wódz

naczelnny, oceniając z tej wysokości niepewne widoki powodzenia wyprawy, nie chciał na szwank narażać zdobytej już sławy i udał zagniewanego srodze, aby się wycofać i ochronić imię swoje i osobę od związku z przewidywaną klęską.

Przy tej sposobności wspomnieć muszę, że nadzwyczaj przykre na mnie wrażenie zrobił odjazd, wraz z Rochebrune'em, jego dwóch adjutantów, Polaków. Panowie ci, widocznie, przybyli po to tylko do obozu, aby adjutantować generałowi i błyszczeć lakierowanymi butami, a nie po to, aby bić się z moskalami za ojczyznę, jak to powinno było być ich najpierwszym obowiązkiem.

Niechby tam Francuz sobie jechał, ale sam; mniemam nawet, że bez towarzystwa i jakby aprobaty swojego postępu — żołnierz i to tęgi żołnierz, jakim był bezsprzecznie Rochebrune, powróciłby do żołnierzy i wyprawa wołyńska wcale inny obrót byłaby wzięła.

Ale stało się.

Natychmiast zdałem raport Komorowskiemu o tem, co zaszło; był zmartwiony i tem więcej to odczuł, że teraz, gdy nie stało Kruka i Rochebrune'a, musiał na

siebie przyjąć naczelne dowództwo wyprawy i odpowiedzialność za jej powodzenie.

W obozie, wiadomość o nowych swarach przykre sprawiła wrażenie; wysunięcie się jednak Komorowskiego na naczelnego wodza przychylnie zostało przyjętem, bo był ogólnie lubianym; jako zaś były kapitan żuawów, budził nadzieję, że potrafi nas poprowadzić do zwycięstwa.

Teraz podam małą sylwetkę nowego naczelnego wodza wyprawy na Poryck.

Wojciech hr. Komorowski, podporucznik wojsk austriackich, odbył kampanię włoską w r. 1859, potem jako kapitan w żuawach odbył kampanię pod Langiewiczem i był ranny pod Grochowskimi.

Był to człowiek lat najwyżej 30-tu, średniego wzrostu, przystojny blondyn o wydatnych rysach, bardzo pocziwych oczach i zuchowatej powierzchowności. Dodawszy do tego charakter zacny, szlachetny a słaby i niezdecydowany, otrzymamy typ bardzo często wśród nas Polaków widziany i prawie zawsze nieszczęśliwy w życiu.

Jako podkomendny oficer był i byłby zawsze doskonałym — bo odważny, inteligentny i posłuszny, mógł oddać znako-

mite usługi. Jako wódz naczelny był do niczego; nie umiał być stanowczym, nie umiał rozkazywać, nie umiał się decydować w jednej chwili, a młody, nie miał doświadczenia, by mu podszeptało, co w danych okolicznościach uczynić powinien.

W tej wyprawie wołyńskiej, wszyscy bliżsi znajomi kręcili się około jego osoby, a on nikomu nie powiedział: »idź, pełnij swoje obowiązki«, ale przeciwnie, słuchał każdego i rozmawiał uprzejmie, choć może w duchu był zły i myślał: »po co on się tu kręci«.

Dodam jeszcze, że był bardzo religijny i skłonny do mistycyzmu, nawet ślady mistrza Towiańskiego spostrzegłem w listach jego, już po powstaniu pisanych do mnie z Bordeaux do Gandawy. Szczegół ten przytaczam dlatego, że ta religijność i przejęcie się ważnością postanowienia o wydać się mającej bitwie, o życiu i śmierci tylu osób, nie licowały ze stanowiskiem naczelnego wodza i ostatecznie zdecydowały o rozproszeniu się oddziału i nie udaniu się wyprawy wołyńskiej, jak to opowiem w następnym rozdziale.

W ogólnem zestawieniu wyprawa na Poryck składała się z oddziału Komorowskiego, liczącego około 300 piechoty i kilkadziesiąt koni; z dawnego oddziału Rocheburne'a, teraz pod dowództwem Zapłowicza, także w tej samej mniej więcej sile i z oddziału Sienkiewicza, może trochę mniejszego. Razem trzy te oddziały mogły liczyć około 900 ludzi.

Tak więc przy końcu października wszystko było już gotowe do wymarszu i do walki z wrogiem — i można było, nie przewidując naturalnie dalszych smutnych wypadków, zapomnieć o świeżo minionych, rozpogodzić czoło i jaśniej patrzeć na świat, gdyby nie ten kapuśniaczek, który przez cały czas obozowania naszego w lesie Żdżarskim nie ustawał, gdyby nie ta szarota na świecie, gdyby nie te pożółkłe liście, spadające z drzew, do niedawna tak zielonych, które ponuro usposabiały i jakieś przygnębiające wrażenie sprawiały. Do takiego niemiłego stanu duszy łączyły się jeszcze dolegliwości fizycznej natury. Skóra na moim kożuszku, nie pokryta suknem, zaczęła namakać, już nawet przemokła na ramionach, a rękawy tak zgrubiały, że wyglądały, jakby spuchnięte.

Gdybym się był guńki mojej nie pozbywał, byłbym we własnych moich oczach daleko mądrzejszy; nie mogłem już jednak do niej wrócić, opinii o sobie poprawić, a przedewszystkiem ochronić ciała od wilgoci, którą do dziś dnia w kościach czuję.

Nareszcie nadeszła długo oczekiwana chwila.

XIII.

Wyprawa na Poryck.

Pierwszego listopada około południa dano rozkaz do wymarszu, oddział więc uformował się w kolumnę, w której nasza kompania zajęła jakieś środkowe miejsce i ruszyliśmy ku granicy Wołynia.

W dniu tym kapuśniaczek ustał, słońce zaczęło się pokazywać i rzucało jaśniejsze promienie na stroskaną przyrodę, rzucało jaśniejsze promienie otuchy w serca naszych żołnierzy, a pod wpływem tych promieni wystąpił długo tłumiony humor u dowcipnisiów, których w kompanii było nie mało. Szliśmy więc teraz z całą swobodą, z całą świeżością sił duchowych i fizycznych, a co chwila słyszeć było można wybuchy śmiechu i wesołości.

Wspomnienie też tego marszu byłoby mi bardzo miłe, bo lubilem, aby w kompanii było wesoło, gdyby nie ów kozuch

namokły, który ociężał i tak się wydłużył że z kubraka przemienił się w kapotę po kolana; wyglądałem, jak sflążony szewc, zdążający na jarmark, nie jak oficer, chcący imponować dziarskością swojej postawy.

W czasie tego marszu spotkalśmy patrol austriacki, który z bronią do nogi przypatrywał się w milczeniu na przeciągający nasz oddział; prawdopodobnie oficer dowodzący uznał jakiekolwiek odezwanie się swoje lub akcyę za bezcelowe, wobec siły, w jakiej maszerowaliśmy.

Idąc dalej bez przygody i wypadków, doszliśmy już wieczorem nad granicę, gdzieś wśród lasu przenocowali, a zrana udaliśmy się w dalszy pochód. Po półgodzinnym marszu dostaliśmy się na drogę graniczną, wśród lasów w tem miejscu położoną, z której zbaczając, wkroczyliśmy teraz na terytoryum zaboru rosyjskiego.

Na granicy nie było już żadnego moskala; zdaje się, że musieli mieć wiadomość o naszym zbliżaniu się i w czas uciekli; szliśmy więc dalej nieniepokojeni, a gdy las się już kończył, dano nam znów spoczynek i posiłek, choć to było jeszcze przed południem. Po tym odpoczynku mieliśmy

maszerować wprost na Poryck i zająć to najbliższe granicy austriackiej miasteczko na Wołyniu.

Rozdzielił więc pułkownik wojsko nasze na 3 kolumny, aby z trzech stron uderzyć na wrogów, a gdyśmy wkrótce wyszli z lasu, to jest gdy nasza kolumna wyrzyla się z lasu, ukazała się nam otwarta równina, na której w dali widzieć można było jakąś wielką osadę, domostwa, wieże kościoła i cerkwi, jednym słowem miasteczko — Poryck.

Coraz bliżej podchodząc, widzieliśmy, jak kozacy na wszystkie strony pojedynczo się z miasteczka rozlatywali — a byli to już tylko maruderzy, bo załoga moskiewska wcześniej wyniosła się, jak się o tem wkrótce przekonaliśmy.

Około godziny 2-giej po południu dnia 2-go listopada, w dzień zaduszny, weszliśmy do Porycka, drogą od zachodu, między dwoma cmentarzami wiodącą i zatrzymaliśmy się na rynku.

Poryck nad Styrem, siedziba Czackich i miejsce urodzenia Tadeusza Czackiego, założyciela liceum Krzemienieckiego, nie odznacza się niczem szczególnem: rynek i domki lepiące wokół — parę uliczek

z rynku się poczynających, ot i całe miasteczko.

Podobno pałac i park mają być piękne, ale tych nie miałem czasu iść sposobności oglądać.

Nie dokładnie jednak zapisałem wyżej, że Poryck nie odznacza się niczem szczególnem; owszem była jedna właściwość, która żywo przypomina się mej pamięci: było tam błoto nigdzie indziej nie widziane, szczególnego gatunku, jakieś rzadkie, płynne a tak głębokie, że cholewy od butów trzeba było dobrze podciągać, aby się do środka nie nałalo. Tu też z mego kożuszka, z mojej kapoty, już dobrze wysłużonej, zrobił się chałat żydowski, który kazałem żołnierzowi uciąć spodem z pół łokcia, bo ruszać się nie byłem w stanie.

O, szkaradne było to błoto! — od przekleństw nie można się było wstrzymać.

W tem usposobieniu i w tych warunkach staliśmy więc na rynku czas jakiś, oczekując na dalsze rozkazy i patrząc na ciekawe głowy pejsate, które z drzwi i okien bojaźliwie się wysuwały. Musieliśmy jednak cierpliwie czekać na te rozkazy, bo zależne one były od wiadomości, jakie przyniosą rekonesanse kawaleryi, wysłane na

wszystkie strony dla zbadania siły i zamiarów moskali. Już też wtenczas dowiedzieliśmy się, że jeden z tych rekonesansów, z siedmiu ludzi złożony, pod dowództwem Boleskiego, został zaskoczony przez kozaków i że 5 z nich zasiekano; dwóch tylko ocalało, którzy właśnie tę wiadomość przynieśli.

Okolo godziny 3 otrzymała nasza kompania rozkaz udania się na skraj miasteczka, aby tam zająć obronne stanowisko. Prawdopodobnie więc moskale, przyszedłszy do siebie po pierwotnym strachu, a może wzmocnieni posiłkami sąsiednich załóg, zamysłali nas atakować i odebrać Poryck.

Wróciliśmy więc na tę samą drogę, którąśmy przyszli, bo z tej strony nadchodził nieprzyjaciół i obsadziliśmy cmentarze, wyżej wzmiankowane. Jeden z tych cmentarzy był porządnie utrzymany i otoczony parkanem, drugi już dawny, zaniechany, otoczony rowem i małym wałem ziemnym. Z połową kompanii i podporucznikiem Zwierkowskim zająłem ten drugi cmentarz, podczas gdy druga połowa pod Czaderskim obsadziła pierwszy.

Cmentarz *mój* był bezdrzewny, z zapadłemi, niewielkimi mogiłami, porośniętymi

murawą; mierzyć mógł około 50 kroków w kwadrat, a otoczony wałem i rowem,, nadawał się doskonale na szaniec woj-skowy do obrony.

Zaraz u wstępu na ten cmentarz zwrócił naszą uwagę widok leżących kilku martwych ciał ludzkich, zupełnie nagich;; podszedłszy bliżej, poznałem między niemi mego tak dobrego towarzysza z Romanówki. Leżał on wśród swoich żołnierzy,, którzy razem z nim na rekonesans zostali wysłani i przez kozaków w okrutny sposób pomordowani.

Nie jestem w stanie opisać grozy widoku ciał tych bohaterów; wzdryga się całe jestestwo ludzkie na myśl, jakiej strasznej śmierci ulegli; jak strasznie pastwiono się nad nimi, z jaką zaciekłością znęcali się nawet, gdy już nie żyli. Bolewski, oprócz dziur w piersiach od kul broni palnej, cięty był tak silnie przez środek brzucha, że szabla aż na kości pacierzowej się oparła — był prawie na pół przecięty. Prócz tego miał rany długie od pałasza na całym ciele: na piersiach, rękach i nogach; a rany te czyste, bez krwi, ukazywały ciało — raczej mięso porozcinane, co dowodzi, że rąbano już nieboszczyka z zaja-

dłością iście zwierzęcą. Towarzysze Bolewskiego byli również obdarci do naga i pokaleczeni w ten sam sposób, ale on sam najwięcej; musiał się biedak bronić najdzielniej, czem wzbudził przeciwko sobie taką zaciekłość dziczy.

Niech ich Bóg przyjmie do swojej chwały, a my zapiszmy wdzięczną w sercach pamięć dla naszych męczenników.

Nie było jednak czasu wtedy na rozpamiętywanie i żale, bo moskale, rozsypani w tyralierkę, zaczęli podchodzić i strzelać, mnóstwo zaś stert zbożowych, ułożonych po polach, zakrywało ich i ułatwiało pochód.

W tych warunkach kazałem żołnierzom wleźć do rowu i schować się, bo kule nieprzyjacielskie już dobrze świstały. Gdy żołnierze już byli w rowie, kazałem odpowiadać na strzały i dobrze mierzyć do każdego moskala, aby daremnie nabojów nie tracić, sam zaś, czuwając nad przebiegiem bitwy, jako komendant placówki, nie mogłem i nie chciałem się chować do rowu — musiałem jednak ciągle być w ruchu, aby się nie dać wziąć na cel.

Wraz ze mną uwijali się i utrzymywali prawidłowy porządek między żołnierzami

w przebiegu tej utarczki: wachmistrz i jeszcze któryś z podoficerów, ale nazwisk ich nie pamiętam.

Kule znów oblatywały mnie; nie wiele jednak robiłem sobie z tych rzadkich szmerów, świstów, jakie od czasu do czasu słyszałem, oswojony już dobrze z inną zupełnie muzyką pod Grochowskimi. Była też teraz sposobność użycia mego sztućca, więc niekiedy strzeliłem i ja do moskala, gdy mi się który dobrze wystawił, czy ze skutkiem, nie mogłem jednak zdać sobie sprawy.

Ta strzelanina dosyć długo trwała — gdy zaś moskale przyszli przed nas na jakie 350—400 kroków, już się więcej nie posuwali, tylko tak z daleka pukali. Nikt z naszych nie był zabity, nawet nie był ranny; czy zaś który moskal nie został na placu — nie wiem.

Cała ta bitwa, raczej utarczka, ustala i ustać musiała ze zmierzchem, który zapadał; moskale znikli w pomroce wieczornej, nie odważywszy się atakować nas na pozycjach obronnych.

W rezultacie więc pozostaliśmy panami na placu boju.

Wkrótce nasze miejsce na cmentarzu zajęła zwykła straż obozowa z innego oddziału, a nam kazano iść do miasteczka na spoczynek.

Gdyśmy przyszli na rynek, już wszystkie zajazdy były zajęte przez wojska, które opuściły linię bojową, my ostatni przyszliśmy szukać kwatery. Czaderski znów zdał wszystko na mnie, a sam w towarzystwie Zwierkowskiego i Tarnowskiego poszedł do pałacu, gdzie była główna kwatera.

Stojąc więc teraz już po raz drugi na tym miłym rynku, wysłałem wachmistrza i furiera na poszukiwanie jakiegoś pomieszczenia, zalecając im pośpiech, bośmy byli bardzo zbiedzeni i głodni i żądni spoczynku. Długo czekaliśmy wśród nocy, nim nadeszli z wiadomością, że jest jeszcze karczma jakaś wolna, w której można się z kompanią pomieścić; więc też wkrótce znaleźliśmy się pod dachem, od 8-miu dni nie widzianym.

W karczmie tej, od bramy wjazdnej po prawej stronie, było wejście do szynkowni, zaś na prost przez podwórze szło się do stajen; oba więc te budynki zajęło wojsko, ale dla nas, dla oficerów, to jest dla mnie

i dla Rudnickiego, nie było miejsca, nie mieliśmy nawet gdzie usiąść. Tymczasem wachmistrz, tęgi człowiek, szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska, chcąc i dla nas coś wynaleźć, zawołał karczmarza i kazał otworzyć, założone gratami, do jakiejś komory drzwi, znajdujące się po lewej stronie bramy, naprzeciw szynkowni.

Wzbraniał się trochę karczmarz, ale naciśnięty, otworzył. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy, wszedłszy tam, znaleźliśmy się w przyzwoicie urządzonym pokoju, kwaterze jakiegoś oficera moskiewskiego.

Nie mogło nam się lepiej trafić. Jak się wieść o tem rozniosła, kłopot był z żołnierzami, którzy teraz tłumnie zaczęli się schodzić oglądać tę kwaterę i naturalnie chcieli spustoszyć wszystko, na wzór moskali, którzy zawsze ruinę po sobie w naszych dworach zostawiali.

Dyscyplina w naszym wojsku była słaba, więc z wielką biedą ochroniliśmy od zniszczenia całe to pomieszkание, złożone z 2 czy 3 pokoi. Garderobę oficer jednak stracił, bo już tego nie mogłem zabronić, aby mu suchych spodni i kubraków nie zabrano; garderoba jego stała się

istotną zdobyczą wojenną, służąc do podtrzymania zdrowia żołnierzy i możliwości odbywania dalszej kampanii. Mnie także przyniesiono suchy szynel i czapkę, które, dziś się przyznam, z wielką wewnętrzną uciechą przyjąłem i zaraz wdziałem, zostawiając jednak wzamian swój chałat przemokły i czapkę. Była jeszcze jakaś broń, ale ta z natury swojej podpadała już konfiskacie; nie pamiętam, co tam było i co inni zabrali, pamiętam tyle, że mnie się dostał kindżał czerkieski i ładownica. Prócz więc przedmiotów niezbędnych do prowadzenia dalszej wojaczki, całe urządzenie tego mieszkania zostawiliśmy w porządku, tylko jeszcze kazaliśmy sobie zrobić herbaty z tamtejszych przyborów, nie wyrządziliśmy z tego powodu żadnej szkody w naczyniu.

Podjadłszy dobrze i ogrzawszy się, położyliśmy się późno na spoczynek, bośmy długo czuwać musieli, to jest ja, Rudnicki i wachmistrz, aby chronić tę kwaterę od doszczętnego zniszczenia przez takich mędrków, którzy koniecznie chcieli odplacić moskalowi pięknem za nadobne. Nie długi jednak był nasz spoczynek, bo już około

godziny 2 w nocy przybył Czaderski ze Zwierkowskim z wiadomością, że natychmiast opuszczamy Poryck — więc też zaraz pobudziwszy żołnierzy, w pół godziny byliśmy na rynku gotowi do wymarszu.

Na komendę wyruszyliśmy w zwykłym porządku i wkrótce przekonaliśmy się, że wychodzimy z miasta tą samą drogą między owymi dwoma cmentarzami, którą przybyliśmy. Widocznem więc było, że wracamy ku granicy austriackiej, a między żołnierzami rozeszła się wieść, że mamy wkroczyć w lubelskie. Przyjemnie teraz było maszerować, bo się wyjaśniło na niebie i pocieplało na ziemi; to też szliśmy dosyć swobodnie, z daleka widząc na znacznej przestrzeni tu i owdzie rozłożone ognie biwaków moskiewskich — moskale bowiem już sprowadzili większe siły i otoczyli Poryck ze wszystkich stron. Idąc dalej, zbliżaliśmy się do tych ogni, które były przed nami, a gdy, porzuciwszy drogę główną, weszliśmy na jakąś boczną drożynę, kierunek naszego marszu był wytknięty między dwa ogniska, dwa obozy moskiewskie. Wszyscy spoważnieli. Idąc w tym kierunku, musieliśmy przesunąć się środkiem między owymi dwoma, nie bardzo

odległymi od siebie, obozami moskiewskimi, a w tych warunkach, lada przyczyna mogła obudzić czujność wrogów i spowodować atak ich na nas z dwóch stron przeciwnych.

W całej kolumnie naszej groza położenia musiała być odczuta, każdy musiał mieć świadomość niebezpieczeństwa, w jakim znajdowaliśmy się, bo szliśmy cichutko, w milczeniu, jak cienie. Po dwugodzinnym może marszu w takim napięciu nerwów i oczekiwaniu wypadków, przebyliśmy szczęśliwie ten niebezpieczny przesmyk i zostawili ogniska poza sobą.

Może w tych najbliższych obozach moskiewskich nie było tak wiele wojska, abyśmy mu nie mogli stawić czoła w zwykłej bitwie, ataku jednak z dwóch stron, zdaniem mojem, oddział nie byłby wytrzymał. Jego duchowe siły, przy braku bezwzględniego zaufania do dowódcy i braku zaufania we własną dzielność, były jeszcze za słabe. Pomysł tego marszu był ryzykowny — ale udał się.

Z brzaskiem dnia dotarliśmy do lasu, którym idąc spory kawał, znaleźliśmy się znów na austriackiej drodze granicznej

i tu na wstępie spotkaliliśmy dwa plutony wojska cesarskiego; austriacy stali z bronią do nogi, przypatrując się nam w milczeniu i nie zaczepiając wcale.

Jeszcze cały oddział nie wstąpił na tę drogę graniczną, gdy posłyszeliśmy na naszych tyłach strzały. To moskale, dowiedziawszy się, żeśmy się im z Porycka wymknęli, dopędzili nas i atakowali arriergardę.

Wywiązała się tam utarczka między naszą kawaleryą a kozakami, która cały oddział zaniepokoiła. To też na pierwszy odgłos strzałów wszyscy zatrzymaliśmy się w marszu bez rozkazu, pod wrażeniem tego niespodziewanego ataku i sądząc, że teraz wywiązać się musi walna jakaś rozprawa.

W tych pierwszych chwilach zaniepokojenia oczekiwaliśmy niecierpliwie na jakąś komendę, na jakieś rozkazy do zajęcia właściwych stanowisk przeciw moskalom; nie słysząc jednak żadnej komendy czy rozkazów, staliśmy cicho w szeregach, uwagę mając zwróconą na przebieg tej utarczki.

— Zrzucaj szynel, bo cię swoi zastrzelą — zaczęto wołać na mnie ze wszy-

stkich stron, bo miałem na sobie płaszcz i czapkę oficera moskiewskiego z Porycka i wyglądałem, jak moskal.

Uznawszy natychmiast słuszość tych uwag, odrzuciłem czapkę moskiewską, nałożyłem mój czerwony fez, który miałem w kieszeni i tak w jednej chwili przemieniwszy się w żuawa, byłem już bezpieczny.

Tymczasem utarczka arrier-gardy naszej z kozakami nie ustawała; my zaś w szeregach oczekiwaliśmy jeszcze ciągle na jakieś rozkazy do rozwinięcia kolumny marszowej i zwrócenia się przeciw napastnikom, lub wreszcie oczekiwaliśmy na jakiś atak z ich strony. Rozkazów tych jednak nie było, a moskale musieli tylko mały oddział kawaleryi wysłać w pospiechu dla niepokojenia nas, nim piechota nadejdzie i naturalnie tylko kończyny naszej kolumny atakowali. Co chwila więc kozacy po kilku, po kilkunastu, podbiegali pod naszą konnicę, która zamykała szereg pochodowy, narobili hałasu, a gdy się nasi odwrócili, zmykali, co sił — według zwykłej swej taktyki. W tych utarczkach kawaleria nasza dzielnie się sprawiała; odpędzała

napastujących kozaków, a zapuszczając się między nich, tępiła ich po trochu. Wtedy to widziałem, jak jakiś Włoch przybiegł galopem przed Komorowskiego i pochwalili się zdobytą szablą na kozaku, którego zwałił z konia. Był to bardzo miły widok dla wszystkich.

Bitwa ta podjazdowa trwała może z godzinę, może więcej, a myśmy stali bezczynnie, oczekując ciągle na jakieś postanowienie wodza.

Tymczasem Komorowski przejeżdżał tu i owdzie wzdłuż naszych szeregów, nie decydując i nie wydając żadnych rozkazów.

Wtem dały się słyszeć strzały armatnie — a więc już i piechota moskiewska nadeszła z artylerją.

Do kogo czy do czego teraz moskale z armat strzelali, nie wiem, bo ani ich widać nie było, ani lotu kul nawet słyszeć nie było; zdaje mi się, że to były strachy na lachy — którym lachy ulegli.

Wobec tej nowej zaczepki tem niecierpliwiej czekaliśmy teraz na stanowcze jakieś zarządzenie, na które koniecznie już zdobyć się trzeba było i — czekaliśmy daremnie.

Właśnie w tej chwili decydującej stał Komorowski na polance w odległości może 40 kroków odemnie; podchodzę więc do niego i pytam:

— Pułkowniku, jakie rozkazy?

— Ja nie mogę narażać ludzi na pewną śmierć, nie mogę brać tej odpowiedzialności przed Bogiem na siebie.

— A więc wszystko stracone?

— Jak widzisz — i wskazał ręką.

Obejrzałem się. Strzały armatnie już skutek zrobiły; już demoralizacya wkradła się w szeregi i pojedynczo uciekali nasi w las ku Sokalowi.

Powróciwszy do kompanii, widzę, że i moi już smutni, a za chwilę widzę, że sam Komorowski zwrócił konia i galopem puścił się także ku Sokalowi.

Nie było co robić — wszczęła się panika, zaczęli wszyscy opuszczać szeregi, więc i ja, złożwszy z wielkim żalem sztuciec mój na furgon i nie zalewając się już łzami, jak to miało miejsce pod Krakowem, ale zniechęcony podążyłem za drugimi.

Tak się więc skończyła wyprawa na Poryck.

Osobistych moich uczuć po tym fakcie rozproszenia się oddziału, nie będę więcej szczegółowo skreślał — były one wogóle i są do dziś jeszcze takie same, jak twoje łaskawy czytelniku, po przeczytaniu tego wiernego opisu.

XIV.

Urlop. — Wyjazd do Belgii.

Więc znów znalazłem się w tem położeniu, że musiałem w nogach szukać ocalenia. W lesie, przez który uciekaliśmy — ze wstydem używam tego wyrażenia — nie było wojska austriackiego i można było iść dosyć swobodnie, dopiero po wyjściu z lasu zobaczyłem huzarów, uganiających po polach za powstańcami. Nie chcąc jednak na żaden sposób dostać się w ręce austriaków, biegłem, jak mogłem najprędzej, wybierając taki kierunek, aby być jak najdalej od huzarów — i to mi się udało.

W parę godzin, może krócej, dobiegłem do jakiejś wioski, a nie zatrzymany przez nikogo — bo zapewne wszystkie posterunki wojskowe wymaszerowały nad granicę, wobec czego i włościanie poszli do domów — oparłem się w karczmie, gdzie zastałem

już czterech towarzyszków obozowych, nie wiedzących, co dalej począć. Uradziliśmy teraz wspólnie, że pojedziemy do Sokala i najawszy furę za dobre pieniądze, pojechaliliśmy.

W Sokalu zajechaliśmy do rządcy, pana Sołowija, gdzie już zastaliśmy dosyć rozbitków i tam złożyliśmy naszą broń, jak wszyscy, którzy się przed nami zgłosili, bo pan Sołowij, dbając o fundusze narodowe, sam tego wymagał i doglądał. Z przyjęcia, jakiego doznaliśmy, widać było, że zacny gospodarz odczuł klęskę naszej wyprawy; przyjął nas jednak gościnnie, dał jeść i przenocował — a było nas cała hurma.

Nazajutrz prosiłem o konie do Parchacza, a pan Sołowij z całą uprzejmością prośbę moją spełnił. Zajechawszy szczęśliwie do tak dobrze znanego mi dworu, trafiłem na obiad. Mnóstwo już tam było powstańców u stołu, a między nimi był i Komorowski, który teraz ogolony, nie wiem dlaczego, bardzo brzydko wyglądał.

Pocziwa pani Kłodzińska, zakłopotana, zmartwiona, nie wiele na mnie uwagi zwracała; nie miałem się więc z kim naradzić,

co dalej ze sobą począć i jakim sposobem dostać się do Lwowa — ale znów szczęście miałem.

Na tym smutnym obiedzie rozbitków, milczącym prawie, bo każdy zajęty swojemi myślami, nie wiele mówił, poznałem teraz p. D'Abancourt'a, przy którym siedziałem, właściciela dóbr, gdzieś w tamtych stronach, starszego już człowieka. Pan D'Abancourt, dowiedziawszy się o moim kłopocie, był tak grzeczny, że obiecał wziąć mnie ze sobą bez karty legitymacyjnej i przewieźć bezpiecznie do Lwowa. dokąd zaraz po obiedzie odjeżdżał.

Dano mi więc czysty kołnierzyk, nową czapkę, płaszcz jakiś porządny i tak zmieniony zewnątrz na jakiegoś wiejskiego z dobrego domu młodzieńca, wyjechałem z Parchacza. Podróż szczęśliwie się udała, bo pan D'Abancourt był znany wszędzie i bez wszelkich trudności mijał wszystkie warty i posterunki, które spotykaliśmy po drodze. Bliżej zaś Lwowa, od Żółkwi, jechaliśmy już extra-pocztą dla większego bezpieczeństwa.

We Lwowie na wstępie zajęchałem do znajomych mi z poprzedniego pobytu państwa Podgórskich, u których krótko jednak

gościłem, zmuszony ciągle zmieniać mieszkanie, aby nie zwrócić uwagi na siebie i nie przyjść ponownie w styczność z panem Bleimem; z tego też powodu po mieście nie chodziłem, tylko jeździłem dorózkami.

Naturalnie, pierwszą moją czynnością po przybyciu do Lwowa, był znów list do matki o pieniądze, bo garderoba moja była niemożliwą — właściwie nie miałem żadnej. Otrzymawszy pożądany zasilek, przeistoczyłem się znów w miejskiego eleganta i zaraz odwiedziłem ze Zwierkowskim Komorowskiego, który mieszkał u Dzięduszyckich, zdaje mi się, gdzieś na Żółkiewskim.

Witał nas serdecznie Komorowski, a w rozmowie o ostatnich wypadkach tłumaczył, że moskale otoczyli nas w Porycku znacznymi siłami, że nie mogąc z tego powodu pomaszerować w głąb Wołynia, gdzie były jeszcze znaczniejsze ich siły, miał zamiar przedostać się w Lubelskie i tam nas prowadził. W tym to marszu właśnie, moskale tak z pod Porycka, jak i inni jeszcze, dopędzili nas na granicy i byliby pewnie wszystkich wystrzelali, gdyby przyjął bitwę, bez jakiegokolwiek pożytku dla spr-

wy powstania — nie mógł więc na pewną rzeź nas prowadzić i takim nierozsądnem postanowieniem sumienia swego obciążać. Naturalnie ogadał nas i ułagodził. Na pamiątkę tej wyprawy darowałem mu zdobycz wojenną z Porycka: kindżał i ładownicę oficera moskiewskiego, którymi to przedmiotami opiekował się pan D'Abancourt w podróży do Lwowa.

Jak wspomniałem, obaj ze Zwierkowskim, a prawdopodobnie i wielu innych blizkich znajomych i przyjaciół Komorowskiego, ulegając czarowi jego osoby, daliśmy się łatwo przekonać o niemożliwości stawienia czoła moskalom w czasie naszej wyprawy, ale nie wszyscy byli tak łatwowierni. Zarzucano mu, że zmarnował oddział doborowy, z takim wielkim trudem i kosztami zebrany; że mógł przyjąć i wygrać bitwę z moskalami, których nie było więcej, jak trzy rotty z dwoma działami i w końcu, że mimo wszystko, powinien był ratować nasz i swój własny honor wojskowy.

Komorowski musiał się zapewne zetknąć z takimi, którzy mu to w oczy zarzucali, musiał odczuć powątpiewanie może jakie o swo-

jej odwadze i musiał być tem boleśnie dotknięty; to też postanowił jeszcze raz prowadzić nowy oddział do Królestwa. W drugiej połowie listopada, zdaje mi się, zawiadomil nas, że przyjął dowództwo konnego oddziału, który wyruszy w pole, skoro tylko wszystkie szczegóły wyprawy zostaną przygotowane, a zwracając się do mnie, powiedział:

— Ty mnie pewnie nie opuścisz!

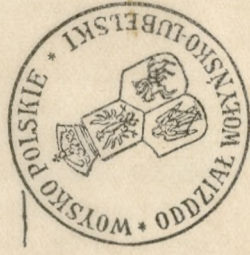
Uścisnąłem mu rękę — umowa była zawarta.

W tym czasie Zwierkowski odjeżdżał do rodziców, którzy mieszkali wtedy w Krakowie i zaprosił mnie ze sobą, znając moje trudne położenie we Lwowie; zaprosiny chętnie przyjąłem, a po porozumieniu się z Komorowskim, otrzymałem urlop na wyjazd, aż do czasu powołania do służby.

Urlop ten w oryginale posiadam do dzisiaj z pieczęcią oddziałową i obok w odbitce, na podobnym papierze dołączam; według zaś ustnej umowy miano mnie wezwać do przybycia, gdy tylko termin wyruszenia oddziału będzie oznaczony.

Przed wyjazdem ze Lwowa, chcąc zostawić pamiątkę swoim przyjaciółom, poszedłem do fotografa Edera, wówczas naj-

Uwaga że panna porównała
Chaniłanowi Gregorowi
wzrostu a i do wam-porównania
do starych. dnia 20 listopada
1863 r. —



więcej wziętego i kazałem zrobić swoją podobiznę w mundurze żuawskim, z odznakami świeżo nabytej oficerskiej godności. Fotografia wyszła dosyć dobrze, jak świadczy obrazek po drugiej stronie. Co do podróży, ze Zwierkowskim umówilem się w ten sposób, że on pojedzie naprzód do Krakowa i przysła mi stamtąd swoją kartę legitymacyjną, za którą ja znów pojedę. I tak się stało — i przybyłem do Krakowa.

Rodzice mego przyjaciela, państwo Zwierkowscy, oboje ciemni zupełnie, zajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze w Spi skim pałacu, to samo, gdzie dziś kawiarnia Hawelki — było więc tam dosyć obszernie. Mieli oni troje dzieci — Władysława, mego kolegę, z którym teraz w jednym pokoju mieszkałem; córkę Walentynę, która otaczała opieką rodziców i jeszcze najstarszego syna Mścisława, który miał wioskę w Królestwie i czasami do Krakowa dojeżdżał.

Z całą przyjemnością i wdzięcznością wspominam miłą gościnność państwa Zwierkowskich i to ciche życie, w którym mi tak dobrze było. Czas upływał nam po

większej części na głośnem czytaniu i uwagach o czytanej treści, ze względu na starych państwa, którzy tylko słuchem mogli odbierać wrażenia — ale upływał w tak miły i pouczający dla młodych sposób, że z największą chęcią i zadowoleniem włożyłem się wkrótce do tego regulaminu domowego.

Po pewnym przeciągu czasu, może już przy końcu grudnia, zaczęliśmy rozmawiać o mojej przyszłej wyprawie; zapytuje mnie więc Władysław:

— A umiesz ty jeździć konno, gdy się wybierasz do konnego oddziału?

— Na wakacyach — odpowiadam — jako uczeń gimnazyalny, zaganiałem u mego wuja w Stefanówce stado z pastwiska, a nawet wuj, Nieniewski, rotmistrz od ułanów z czasów W. Ks. Konstantego, kazał mi na derce jeździć naokoło klombu przed dworem; zdaje mi się więc, że dam sobie radę z koniem.

— A no, chodź, pójdziemy do ujeżdżalni.

I poszliśmy.

Okazało się, że słaby jeszcze jeździec ze mnie, więc zacząłem co dzień chodzić na lekcye, a Władysław, który dobrze

AUTOR „WSPOMNIENÍ“





jeździł, jako wychowany na wsi, towarzyszył mi zawsze. Nauczyciel mój był dosyć delikatny w obejściu, ale kolega i przyjaciel był nieznosny; ciągle miał coś do zarzucenia.

— Siedź prosto, nie pochylaj się na szyję konia, nie odskakuj od siodła; trzymaj się dobrze kolanami, bo spadniesz, spodnie ci się do góry podnoszą itp.

Ja trzymam się konia, co tylko mogę, ściskam kolanami, co siły i jakoś lepiej idzie; lecz po kilku dniach tej nauki jeszcze nie tęgo jeździłem, a starłem sobie skórę na nogach przy kolanach tak silnie, że porobiły się rany, jak pięciokoronówki. Trzeba więc było zaprzestać nauki i smarować się śmietankową maścią.

Jeszcze się nie wygoiłem zupełnie, a rany dopiero się zastrupily, gdy przyszło wezwanie, abym się stawil do oddziału, bo około 12-go stycznia wyruszamy. Naturalnie nie było możebności, abym przyjął udział w tej wyprawie; nie będąc jeszcze wygojony, nie mógłbym się na koniu utrzymać, a tem mniej znosić trudy marszów. Zawiadomilem więc Komorowskiego o moim wypadku i dodałem zapewnienie, że jak

tylko się wyleczę, zaraz się zgłoszę do szeregu.

Tymczasem oddział wyszedł, jak mi się zdaje, około dnia 15-go stycznia 1864 roku.

Już wówczas czuć było, że powstanie upada; już coraz mniej było walczących żołnierzy naszych na obszarze Polski pod zaborem moskiewskim — Europa cichła w wyrażaniu swoich sympatyj dla naszych usiłowań; to też i mnie radzono, abym powrócił do Belgii, kończyć swoje studia.

Wtem przychodzi wiadomość o fatalnem rozbiciu oddziału Komorowskiego w dniu 17 stycznia.

Cały oddział złożony ze 100 konnicy dostał się w zasadzkę i kozacy prawie do nogi wszystkich wycięli; zaledwie kilkunastu z Komorowskim na dobrych koniach uratowało się z pogromu.

Uczulem rękę Opatrzności, która mnie w tak cudowny prawie sposób ochroniła od przygody i dziękowałem Bogu, żem pozostał w Krakowie i uniknął pewnej śmierci.

Teraz już zrobiłem postanowienie i napisałem do mojej matki, że wracam do

Belgii, prosząc, aby wystarała się o nowy paszport dla mnie i przysłała pieniądze na drogę.

W lutym 1864 roku byłem już w Gandawie.

XV.

Powtórny pobyt w Galicyi.

W r. 1868, z wiosną, otrzymałem dyplom inżyniera cywilnego dla królestwa belgijskiego, złożywszy przed *jury* przepisane egzamina. Po otrzymaniu dyplomu nie mogłem wracać do Warszawy, ponieważ ostatni paszport dano mi tylko do powrotu natychmiastowego, ja zaś pozostałem w Belgii przez całe 4 lata już bez pozwolenia, bo innego paszportu na pobyt za granicą wydać mi nie chciano. Wobec nie tego niejasnego stosunku do rządu moskiewskiego, nie chcąc się narażać w Warszawie na skutki niebezpieczeństwa, a może i na jakie dochodzenia z czasów powstania, wyjechałem z Gandawy do Paryża.

Starając się o zajęcie we Francyi, otrzymałem posadę inżyniera przy kolei żelaznej w Owerni; a gdy autonomia w Galicyi została wprowadzoną i sejm uchwalił statut

służby technicznej dla dróg krajowych, zostałem stamtąd powołany do tej służby przez wydział krajowy.

W ten sposób w sierpniu 1869 r. przybyłem powtórnie do Galicyi, a od tego czasu ciągle tu przebywając, tu kości złożę, wdzięczny za dary serca, jakimi tutejsze społeczeństwo tak hojnie zawsze mnie obdarzało i obdarza.

Pisałem dnia 31 sierpnia 1902 r.

Stanisław Grzegorzewski.

stanie, ponieważ dla tego, że
 zostało ono już dawno
 przez siebie odkryte.
 W tym czasie w tymże roku
 było to odkrycie, że
 zostało ono już dawno
 przez siebie odkryte.
 W tym czasie w tymże roku
 było to odkrycie, że
 zostało ono już dawno
 przez siebie odkryte.

W tym czasie w tymże roku

W tym czasie w tymże roku

DODATEK.

DOVATEK.

Głosy o żuawach.

Po napisaniu już moich »Wspomnień«, przyszła mi myśl porównania dat i szczegółów, które podaję z czasów istnienia żuawów pod Langiewiczem, z datami i opisaniami tych samych zdarzeń, ogłoszonymi już przez innych uczestników. W tym celu poczyniłem wyciągi z kilku dzieł, które mam pod ręką i przekonałem się, że zawarte w nich opisy różnią się między sobą co do przebiegu, nawet co do daty i miejsca zaszłych wypadków; a nadto, co dla mnie najważniejsze, że mój własny opis nie zgadza się także z innymi.

Ponieważ zdaje mi się, że pamięć mnie nie zawiodła, że wiernie opisałem wszystkie szczegóły, na które patrzyłem i zdarzenia, w których udział brałem, nie mogłem przeto

sprzeczności zauważanych pozostawić bez wyjaśnień dla samego siebie. Wniknąwszy też głębiej w treść i szczegóły każdego z tych opisów, usiłowałem zdać sobie sprawę z przyczyn, istniejących między nimi różnic i zbadać, gdzie błędy, a gdzie prawda.

Z tej pracy powstała wiązanka uwag i porównań, którą miałem zamiar pomieścić w tej książeczce; — po głębszym jednak namyśle, postanowiłem pracę moją ogłosić w osobnej broszurce, nie chcąc śmieć opowiadać o pierwszych chwilach idealnego porywu narodu do walki z wrogiem, wytykaniem błędów osób i stronnictw działających, nie chcąc rzucić na tak jasne wspomnienia najpiękniejszych dni mego życia ponurej tkanki krytycznych spostrzeżeń i wniosków ¹⁾).

W ciągu więc tego dodatkowego rozdziałku nie będę rozbierał opisów działań wojennych dyktatora, nie będę wskazywał

¹⁾ Mam tu na myśli przede wszystkim »Notatki osobiste« szefa sztabu dyktatora, Wł. Bentkowskiego, który, wlaższy »w błoto«, jak sam powiada, błotem bryzga przez cały ciąg tych notatek na wszystko i na wszystkich.

na zachodzące między nimi różnice i wytykał sprzeczności; ani też nie będę dowodził i bronił prawdziwości mego własnego opisu. W dalszym ciągu ograniczę się tylko do przytoczenia dosłownego znanych mi głosów, wydanych przez współczesnych pisarzy o żuawach, o tym najślawniejszym pułku w powstaniu 1863 r.

Czas z soboty dnia 21-go marca 1863 r. nr. 66 pisze w ostatnich wiadomościach:

»W dniu 17-go marca po południu wyruszył korpus dyktatora Langiewicza z Chrobrza przez Nidę ku Zagościowi, a tylna jego straż z oddziału żuawów złożona, spaliła most na Nidzie po przejściu korpusu.....

Nazajutrz dnia 18 t. m. rano korpus zwycięski..... stanął obozem w pozycji leśnej pod wsią Grochowiska na drodze do Pińczowa. Tutaj przed południem okazały się nowe i liczniejsze wojska moskiewskie od Pińczowa i od Chmielnika przybyłe i nowy zacięty bój się rozpoczął..... Jak w dniu poprzednim, tak i w tym boju odznaczył się walecznością i dobrem prowadzeniem oddział żuawów«.

Czas z niedzieli dnia 22-go marca 1863 r.
w ostatnich wiadomościach donosi :

»Pulkownik Rochebrune, który się świetnie odznaczył w walkach pod Chrobrzem, czyli Zagościem i pod Grochowskimi, mianowany został generałem brygady«.

»*Notatki osobiste*« Władysława Bentkowskiego z r. 1863. — Wydawnictwo materiałów do historyi powstania 1863 — 1864 r. tom II.

Na str. 38—39 pisze Bentkowski, szef sztabu dyktatora Langiewicza o alarmie w Sosnowce w dniu 13 marca i o żuawach ustawionych pod lasem:

»Oglądałem różne posterunki; jeden Rochebrune tylko na najniebezpieczniejszem postawiony miejscu, zimno, z rozwagą i znajomością rzeczy rozstawił swoich ludzi«.

Na str. 62 o bitwie pod Chrobrzem:

»Rochebrune'owi poleciłem, aby rozsyłał cokolwiek tyralierów w okolicy pałacu i na zewnętrznym brzegu wsi od strony drogi pińczowskiej, główną zaś siłą, aby obsadził obronny rów, przez środek wsi w półksiężyc biegnący..... Po niejakiem czasie objechałem te różne posterunki i z radością przekonałem się, że Rochebrune i jego

oficerowie poczynili dyspozycje najodpowiedniejsze i że żuawów najlepszy duch ożywił. Oprócz obsadzenia rowu, palisad i przesmyków, pourządzali sobie w mgnieniu oka wedle wszelkich wskazówek sztuki doskonale blokhausy z kilku chalup i sto-dół, wyrzynając w nich strzelnice« itd.

Na str. 64 pisze dalej:

»Kiedy już most w jasnych stał płomieniach, poleciłem Rochebrune'owi, ażeby pozostał ze żuawami..... aż cały most w rękę runie i pale mostowe się zajmą«.....

Str. 68.

»Tymczasem u lewego naszego skrzydła Rochebrune, widząc klusujący ku sobie szwadron dragonów, nie tylko, że w szczupłym swoim oddziale, samotnie w otwartym polu pozostawionym, żadnego nie dopuścił popłochu, ale z wzorową zimną krwią, rozwinął swoich żuawów w porządną linię bojową i zaczął sypać plutonowym ogniem na dragonów. Dragoni powstrzymali się natychmiast w swoim zapędzie, tak niespodziewaną widząc gotowość i determinację w tej garstce i zsiadłszy z koni, obyczajem dragońskim w pieszą uformowali się linię i ogniem z ręcznej broni żuawów razili. Dość niewinna ta strzelanina trwała

czas niejaki, wreszcie Rochebrune, doczekawszy się, jakem mu był polecił, zupełnego spalenia mostu, zaczął się w przekątni przez pola i podorywki ku głównej naszej sile cofać, co stokilkadziesiąt kroków robiąc front ku moskalom i odstrzeżliwając się dragonom. Dragoni bali się ścigać tak dzielny i porządny oddział piechoty« itd. ¹⁾).

Na str. 75—76 o bitwie pod Grochowskami:

»Wziąłem więc Rochebrune'a ze żuawami, przeprowadziłem przez grobelkę na

¹⁾ Opis bitwy pod Chrobrzem, pomieszczony w »Notatkach« Bentkowskiego, a tu w małych wyjątkach przytoczony, jest zupełnie mylny; różni się też zasadniczo od opisu, jaki ja przedstawiłem czytelnikowi we »Wspomnieniach«. Opis mój jest prawdziwy w ogólnych zarysach i przez uczestników bitwy, którzy jasno widzieli i pamiętają to, co widzieli, musi być za taki uznany. Wobec jednak powagi szefa sztabu Bentkowskiego, proszę łaskawych kolegów wojskowych, a mianowicie żuawów, którzy te wyrazy czytać będą i innych uczestników bitwy, aby mi swoje uwagi, lub prostą aprobatę opisu nadsyłali; na zdania te będę się powoływał w rozbiórce krytycznym »Notatek«. Uwagi proszę nadsyłać w jakiegokolwiek formie, a imię, nazwisko i stan wojskowy wyraźnie zaznaczyć.

mokradle ku zagajnikowi..... i dałem mu instrukcję, żeby rozsypał część żuawów w tyraliery przed sobą, a z resztą w odwodzie za nimi postępował i w takim szyku szedł naprzód aż do przeciwnego krańca lasu i zarośli«.....

Na str. 79.

»Tymczasem ogień karabinowy Roche-brune'a w owym zagajniku na lewo widocznie od nas się oddalał; rozeznąć było można po strzałach, że się żuawy naprzód posuwają; jednocześnie zaczął ogień nieprzyjacielski słabnąć. Miarkując z tego wszystkiego, że żuawy górę biorą, że moskale wobec tak dzielnego oporu mięknąć i cofać się zaczynają, przyszedłem do przekonania, że jakie takie poparcie żuawów z naszej strony..... odda w moc naszą działa rosyjskie« itd.

Mimo takiego przekonania szefa sztabu do pomocy żuawom nikt nie przyszedł. Wyjaśnienie powodów przytacza Bentkowski na str. 79—80.

»*Pamiętniki księdza Szulca*«, wydane przez Agatona Gillera w zbiorze: »Polska w walce«.

Na str. 89 pisze ksiądz Szulc o ataku na Miechów:

»Okolo 5-tej rano dnia 17-go lutego wyruszono pod Miechów; kawalerya pod komendą p. Nałęcza, oficera z wojska pruskiego i żuawi pod komendą Rochebrune'a, żołnierza z wojska francuskiego, rozpoczęli bitwę o godzinie 6-tej rano. Żuawi walecznie rzucili się na miasto; do nich Moskwa wysłała strzały, które szerzyły wielkie spustoszenie w ich szeregach. Rochebrune krzyczał ciągle: naprzód, naprzód Polacy! i młodzież szła naprzód, znacząc swą drogę trupami..... itd.«

Na str. 117 z bitwy pod Chrobrzem:

»Żuawi i saperzy zapalili most (na Nidzie), gdy wysunęło się przeciwko nim dwa szwadrony dragonów i piechota moskiewska z zamiarem odcięcia ich od reszty naszego wojska. Moskałe już byli może na sześćset kroków, gdy się żuawi sformowali(?). Rochebrune zakomenderował ognia. Jedna linia strzeliła, potem druga, mierząc bardzo celnie; zamieszanie wielkie zrobiło się między dragonami; wielu spadło na ziemię z koni, aż wreszcie wraz z piechotą wrócili się w tył, nie dokonawszy swego«.

Bitwę pod Grochowiskami zbywa ksiądz

Szulec kilkoma frazesami, o żuawach pisze na str. 118 – 119:

»W tej bitwie odznaczył się walecznością Rochebrune ze swoimi żuawami«.

»*Wspomnienia ulana*« z r. 1863, zebrał Zygmunt Lucyan Sulima.

Autor »Historyi dwóch lat« tak opisuje dosłownie całość bitw pod Chrobrzem i pod Grochowskimi na str. 56 – 57 »Wspomnień ulana«:

»Ominawszy od południa Pińczów, dyktator już z Czengierym na karku stanął noclegiem w Chrobrzu, majątności ordynackiej Wielopolskiego. Wycisnąwszy kontrybucyę i wypiwszy panu margrabiemu całą piwnicę, Langiewicz zamyślał o świetle wyruszyć dalej. Ale o wschodzie słońca dnia 18 marca nieprzyjaciół zaatakował nie wszystkimi siłami i ostrożnie. Langiewicz, zostawiwszy wyborowy batalion piechoty, żuawami zwanej, pod dowództwem Francuza Rochebrune'a, dla zasłony odwrotu, cofał się wolno ku północo-wschodowi. Rochebrune odparł moskali i połączył się nad wieczorem z Langiewiczem w Grochowskich, małej wiosce, leżącej między Pińczowem a Buskiem z jednej strony, a z dru-

giej między Chmielnikiem a Chrobrzem. Nazajutrz dnia 19-go marca 1863 r. o świcie nieprzyjaciel zaatakował go całemi siłami i rozstawiwszy parę bateryi dział na wzgórzach, rozpoczął bitwę kartaczowym ogniem. Dyktator, otoczony licznym i świetnym sztabem, wynoszącym przeszło 100 koni, co było trochę za wiele na sześciotysięczny oddział, przebiegł szeregi, witany wszędzie okrzykiem: »niech żyje dyktator! niech żyje Polska!« i porwawszy za sobą swą poboczną jazdę, gidami zwaną, na pysznych białych koniach, rozkazał żuawom z Rochebrune'em na czele, rdzennym atakiem, wspartym kosynierami, wyrzucić moskali z pozycyi — poczem znikł! Wówczas bitwa zawrzała na całej linii. Strzelcy powstańczy, rzuciwszy się w tyraliery pod zasłoną lasu, ostrzeliwali nieprzyjaciela z boku, podczas kiedy Rochebrune z bagnetem w dłoni rzucił się na czele swej kolumny nieśmiertelnych wprost na ziejące kartaczami działa. Moskale, przerażeni zachwalstwem tego ataku, na gwałt przyprzodkowali działa i pędem zbiegli z pozycyi, którą Rochebrune zajął i rozpoczął żwawy karabinowy ogień, prowadząc pod jego zasłoną kolumnę kosynierów, którą

nagle rzucił z głośnym okrzykiem: hurra! na Moskwę. Wówczas to rozpoczęła się straszliwa rzeź — moskale siekani kosami, padali, jak snopy podcięte, a w końcu pierzchnęli w nieładzie na wszystkie strony. Zwycięstwo było kompletne. Rochebrune, skąpany w krwi i pijany tryumfem, prze-
nocował na pobjowisku» itd.

Z różnych opisów bitw z czasów dyktatury Langiewicza, które znam, najtreściwszy, a z literackiem zacięciem wykończony, jest opis p. Sulimy, w całości właśnie ze »Wspomnień ulana« przedrukowany. Z opisu tego widać jasno, że p. Sulima nie był osobiście ani pod Chrobrzem, ani pod Grochowskimi, a reminiscencye swoje rzucił na papier na podstawie głosów i opowieści, zasłyszanych nie z jednego, ale z różnych źródeł w czasie powstania. *Potpourri* to, w szczegółach mylne, stanowi jednak wierny oddźwięk pochlebnej, a sprawiedliwej opinii, jaka się zaraz po upadku dyktatury rozpowszechniła w całej Polsce i po świecie o udziale żuawów w zwycięskich walkach z moskalami.

Inni autorowie opisów — a uczestnicy tych walk — mając własne cele na oku,

nie byli w stanie wznieść się na wyżyny bezstronnych sprawozdawców.

Oprócz głosów powyżej przytoczonych, znane mi są jeszcze opisy walk dyktatorskich z »Pamiętników« generała A. Jeziorańskiego, z »Wypraw wojennych« Stan. Wierzbńskiego i ze świeżo wydanej broszury »10 dni dyktatury« A. Zdanowicza. Każdy z wymienionych autorów w opisach swoich z uznaniem wyraża się o męstwie i waleczności żuawów. Również dzielność żuawów zaszczytnie zapisaną została na kartach ogólnej historyi powstania, a to tak w dziele Limanowskiego, jak i w »Zapiskach« Berga.

Berg tak pisze dosłownie na str. 43—44 tom III.:

»Oddziały Czengierego, Bentkowskiego (majora moskiewskiego, *przyp. kopisty*) i Jabłońskiego zaatakowały jednocześnie z 3-ch stron Langiewicza w lesie pod Grochowskimi; powitane jednak celnymi strzałami powstańców, osadzonych w lesie, ze strastami musiały się cofnąć«.

A w odnośniku:

»Strzelcami u Langiewicza dowodził niesłychanie odważny condotier, pułkownik Rochebrune, Francuz, świeżo przybyły z Pa-

ryża..... Langiewicz powierzył mu formację osobnego oddziału »polskich żuawów«, co uskutecznił, umundurowawszy ich fantastycznie z szerokim białym krzyżem na piersiach. Oni to byli celnymi strzelcami«.

Oprócz głosów pochlebnych o żuawach, pomieszczonych w różnych wspomnieniach, pamiętnikach i innych opisach zwycięskich walk dyktatora, a wypowiedzianych prozą, wielu jeszcze poetów naszych, podziwiając bohaterstwo w boju tej garstki i zapal patriotyczny, w pieśniach i odach sławę zwycięzców opiewa. Ze znanych mi przytaczam tutaj »Marsz żuawów« Włodzimierza Wolskiego i »Ode« na ich cześć Ernesta Buławy ¹⁾).

Marsz żuawów.

Nie masz to wiary, jak w naszym znaku!
Na bakier fezy, do góry wasy —
Śmiech i manierek brzęk na biwaku,
W marszu się idzie, jak gdyby w płasy.
Lecz gdy bój zawrze, to nie na żarty,
Znak i karabin do ręki bierzem,

¹⁾ Pomieszczone w śpiewniku polskim, wydany przez Księgarnię Polską, Lwów, 1886 r. Tom I i V.

A Polak w boju, kiedy uparty,
Stanie od razu starym żołnierzem.

Marsz, marsz żuawy,
Na bój, na krwawy,
Święty a prawy — marsz!

Pamięta Moskwa, co żuaw znaczy,
Drżąc soldat jego wspomina imię;
Sporo bo nakłuił carskich siepaczy,
Brat nasz francuski, żuawek w Krymie.
Miechów, Sosnowkę, Chrobrz, Grochowska,
Dzwoniąc też w zęby, wspomni zbój cara —
Krwia garstka doszła mężnych nazwiska,
Garstka się biła, jak stara wiara.

Marsz, marsz żuawy! itd.

Kiedy rozsypiem się w tyraliery,
Zabawnie pełzać z bronią, jak krety;
Lecz lepszy ogień — gesty a szczery,
I lepszy rozkaz, marsz na bagnety!
Bo to sam bagnet w rękę aż rośnie,
Tak wzrasta zapal w dzielnym ataku!
Hura! hura huczy radośnie,
Górami krzyż biały na czarnym znaku!

Marsz, marsz żuawy! itd.

W śniegu i błocie mokre noclegi,
Choć się zasypia przy sosen szumie,
W ogniu rzednieją diabło szeregi,
Chociaż się zaraz szlusować umie.
A braciom ległym na polu chwały,
Mówimy: wkrótce nas zobaczycie!
Pierw za jednego z was, pluton cały
Zbójów nam odda marne swe życie.

Marsz, marsz żuawy! itd.

Po boju spoczniem na wsi, czy w mieście,
Cóż to za słodka dla nas podzięka,
Gdy spojrzysz mile oko niewieście,
Twarz zapłoniona błysnie z okienka!
Bo serce Polek, bo ich urodę,
Żuaw czci z serca, jak żołnierz prawy,
I choćby za tę jedną nagrodę
Winien być pierwszy wśród boju wrzawy.
Marsz, marsz żuawy! itd.

Nie lubim spierać się o czcze kwestye!
Ale na marne carskie dekrety,
Jakieś koncesye, jakieś amnestye,
Jedna odpowiedź: marsz na bagnety!
By ta odpowiedź była dobitna,
Wystosowana zdrowo a celnie,
Niech ją żuawi najpierwsi wytną,
Bagnety nasze piszą czytelnie.
Marsz, marsz żuawy! itd.

Słońce lśni jasno, albo z za chmury,
Różne są losy nierównej wojny;
Żuaw ma zawsze uszy do góry.
Z bronią u boku zawsze spokojny;
Kiedyśmy mogli z dłońmi gołymi
Oprzeć się dzikiej hordzie żołnierzy,
To z bronią wyprzem ich z polskiej ziemi,
Nie do żuawów — kto w to nie wierzy!
Marsz, marsz żuawy,
Na bój, na krwawy,
Święty a prawy — marsz!

Włodzimierz Wolski.

ODA

na cześć żuawów nieśmiertelnych.

Hej! zadrżij ziemio! grzmijcie pioruny!
To żuawów śmierci kolumna —
Zastęp szturmowców — to dzieci luny —
Dłoń męstwa piorunem dumna!
Na działo grzmiące, jako w objęcie
Kochanki, pędzą weseli;
Z krzyżem na piersiach, jak wniebowzięcie
Śmierć za ojczyznę pojęli!
Przed nimi, podła Mongołów chmara,
Jak mur człowieczej niewoli,
Którą shańbila piekielność cara,
Co z trupem Polski swawoli!
Hej, Urra! Naprzód! Jak jeden człowiek
Żuawy piorunem pomknęli!
Każdy wzniósł w słońce blask orlich powiek
I śmierć na świadka — zakłęli.
Jako pantera wściekle się rzuca
Żuaw polski, gdzie wroga czuje;
On woń kurhanów wciągnął w serce płuca
I Polskę — krwią swą miłuje!
On z Samosierry rodowód wie dzie
Usarskich skrzydeł sierota;
Słowo »Ojczyzna« jemu na przedzie —
Szturmem serc jego — Golgota!
On ssal pierś śmierci z dziką swawolą
I życia wyssał pogardę;
Rany ojczyzny tylko go bola,
A czoło śmiercią ma harde!

Pola Grochowsk, Miechowa mury,
O! niechaj wiekom śpiewają
Los męczenników walki ponurej,
Z przeliczną hydry swej zgrają.
Kto z kijem w rękę wydzierał wrogom
Broń, którą potem ich gromił?
Żuaw, co zemstę poślubił bogom,
Co w krwawy puhar lęz ronił.
Kto lwem się ciskał na wrogów chmurę
I pierś miał w rany gwieździstą,
Choć lica zawsze smętne, ponure?
Żuaw polski z duszą ognistą!
Toć kiedyś w wolnej Ojczyźnie stanie,
Jako dąb wielka i dumna,
Na pobojuwisk ojczystych łanie,
Śniertelnych żuawów kolumna!
Gdy księżyc zejdzie nad jej marmurem,
To lżą jej łono popłynie;
Lecz gdy grom zagrzmi głosem ponurym,
Kolumna zadrga w swojej posadzie
I z grobów zerwie się biała —
I jak duch burzy w blasków gromadzie
Będzie do rana szalala!
Bo na głos grzmotów żuawów siła
W żołnierza przepiorunuje,
Że będzie chmurom burz przewodziła,
Jak żuaw, co w grobie nocuje!
A żuawom będzie się w grobie śniło,
Że walczą Polski obrońce!
Aż zejdzie ranek nad ich mogiłą,
Gdzie czekał orzeł na słońce!

Ernest Buława.

Ponieważ dotąd nie wyjaśniłem powodów napisania tego dodatkowego rozdziału i przytaczania głosów o żuawach, więc się teraz z tego obowiązku wywiązuję i wyjaśnienia te składam.

Otóż zamiarem moim było zwrócić uwagę czytelników na wszechstronnie uznaną dzielność, męstwo i wszystkie przymioty wojenne tego doborowego oddziału piechoty, zwanego »żuawami«, który podtrzymywał sławę bitności Polaków w czasie klęski moralnej, jaką sprawa narodowa poniosła przez upadek dyktatury. Zamiarem moim było wskazać na uznanie powszechne dla żuawów, za zwycięstwa odniesione nad Moskwą, w czasie tej klęski — zwycięstwa, wobec blasku których błdną intrygi stronnictw, błędnie niedołęstwo przewódców i dowódców.

W końcu zamiarem moim było zaznaczyć, że »żuawi śmierci«, a jak o nich pp. Sulima i Władysław Tarnowski powiadają »kolumna nieśmiertelnych«, w historyi walk z Moskwą w powstaniu 1863 roku najzaszczytniejsze miejsce zajęli i zajmować je po wszystkie czasy będą.

Jeszcze wyjaśnienie.

Jeden z przyjaciół, któremu dałem »Wspomnienia« moje w rękopisie do przejrzenia, zrobił mi uwagę, że za mało przytoczyłem przykładów bohaterskich zapasów żuawów w czasie bitw i że należało bohaterstwo ich uwypuklić, uwydatnić licznymi opisami dramatycznych spotkań z Moskwą.

Na zarzut ten, może słuszny, który w pewnych warunkach wpłynąć może na sąd czytelnika o zasługach mego pułku, odpowiadam na tem miejscu i w ten sposób:

Już w opisie bitwy grochowskiej skorzystałem z tej uwagi i tam wymieniłem powody, dla których nie przytaczam epizodów starć i walk, zasłyszanych od kolegów. Teraz jeszcze zrobię uwagę, że w opisie moim jest mowa o całym pułku, o tem, jak »krwią garstka doszła mężnych nazwiska«, o tem, że żuawi »z krzyżem na piersiach, jak wniebowzięcie śmierć za ojczyznę pojęli«, więc bohaterstwo żuawów i zasługi ich dla sprawy narodowej wynikają z ich zbiorowego zachowania się wobec wrogów, z ich przejęcia się idealnem uczuciem miłości ojczyzny.

Jeżeli zatem nie mogę odnieść uczynionego mi zarzutu o brak wypukłości za-

ślug żuawów do samej akcyi żuawów, to muszę zarzut ten odnieść do swojej osoby i do opisu.

Więc co do mojej osoby, uważam, że przyjemniejby było czytać mojemu przyjacielowi, żem zastrzelił ze sześciu moskali, przebił bagnetem ze czterech i pokaleczył, broniąc się, całą hurmę, która mnie opadła, niż tak drobne epizody, które o sobie przytoczyłem we »Wspomnieniach«. Gdybym rzeczywiście nabił tyle moskali, byłbym dopiero wystąpił w bohaterskiej szacie i ze siebie przelał sławę męstwa i szalonej odwagi na cały pułk. Niestety, nie miałem na tyle fantazyi, aby kilka wypadków zgrabnie wystrugać, politurą prawdy pociągnąć i za swoje przygody przedstawić. W całych »Wspomnieniach«, jak już dwukrotnie nadmienilem, opisałem tylko to, co widziałem i czego doświadczyłem rzeczywiście, a nie moja wina, że zdarzenia te nie były więcej dramatyczne i liczniejsze.

Jeżeli w końcu brak wypukłości bohaterstwa żuawów, wypływa z tego, że sposób mój przedstawienia wszystkich ich czynów wojennych jest za słaby, rozumowanie nie przekonywujące, styl zanadto prosty — to także nie moja wina. Żałuję, że Pan Bóg

nie obdarzył mnie takim talentem, abym godniej opisać mógł i podnieść zasługi i bohaterstwo tak sławnego w powstaniu 1863 roku wojsk naszych oddziału.

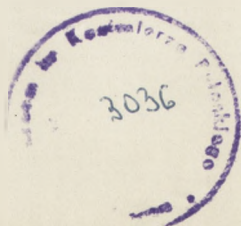
Może jednak opowieść moja stanie się podniętą dla innych, żyjących jeszcze kolegów, którzy, w nowe szczegóły odwagi, dzielności i bohaterstwa wyposażając historię żuawów — barwniejszem piórem opisując ich ideały i wymowniej podnosząc ich waleczność, uzupełnią monografię, przezemnie rozpoczętą i sławę ich rozpowszechnią.

Ja rzecz moją opisałem, jak umiałem najlepiej — a to tylko dodam, że w czasie pisania pióro zawsze w serdecznem uczuciu dla mego pułku maczałem.

Borszczów, dnia 1 sierpnia 1902.

Stanisław Grzegorzewski,

*były sierżant pułku »żuawów śmierci«,
oficer wojsk polskich.*



the object of the present study is to
 determine the effect of the various
 factors on the growth of the
 plant. The results of the study
 are given in the following table.

Factor	Effect on Growth
Light	Increases growth
Temperature	Increases growth
Humidity	Increases growth
Soil	Increases growth
Water	Increases growth
Nutrients	Increases growth

The results of the study show that
 the growth of the plant is
 increased by the various factors
 mentioned above.



SPIS RZECZY.



	Str.
Wstęp	1
I. Pobyt w Liège	5
II. Manifestacye warszawskie	16
III. Wyjazd do powstania. — Żuawi śmierci.	
Wymarsz do obozu	34
IV. Obóz w Goszczy	52
V. Dyktatura, marsze i utarczki	71
VI. Marsz żuawów pod Chrobrzem	85
VII. Bitwa pod Grochowskimi	99
VIII. Ostatnie dni żuawów	127
IX. W Krakowie — w Tarnowie	138
X. We Lwowie, w austriackim areszcie i po wiejskich kwaterach	154
XI. W Romanówce. — Wyjazd do oddziału	169
XII. Formowanie oddziału	189
XIII. Wyprawa na Poryck	207
XIV. Urlop. — Wyjazd do Belgii	225
XV. Powtórny pobyt w Galicyi	236

DODATEK.

Głosy o żuawach	241
Marsz żuawów	253
Oda na cześć żuawów nieśmiertelnych	256

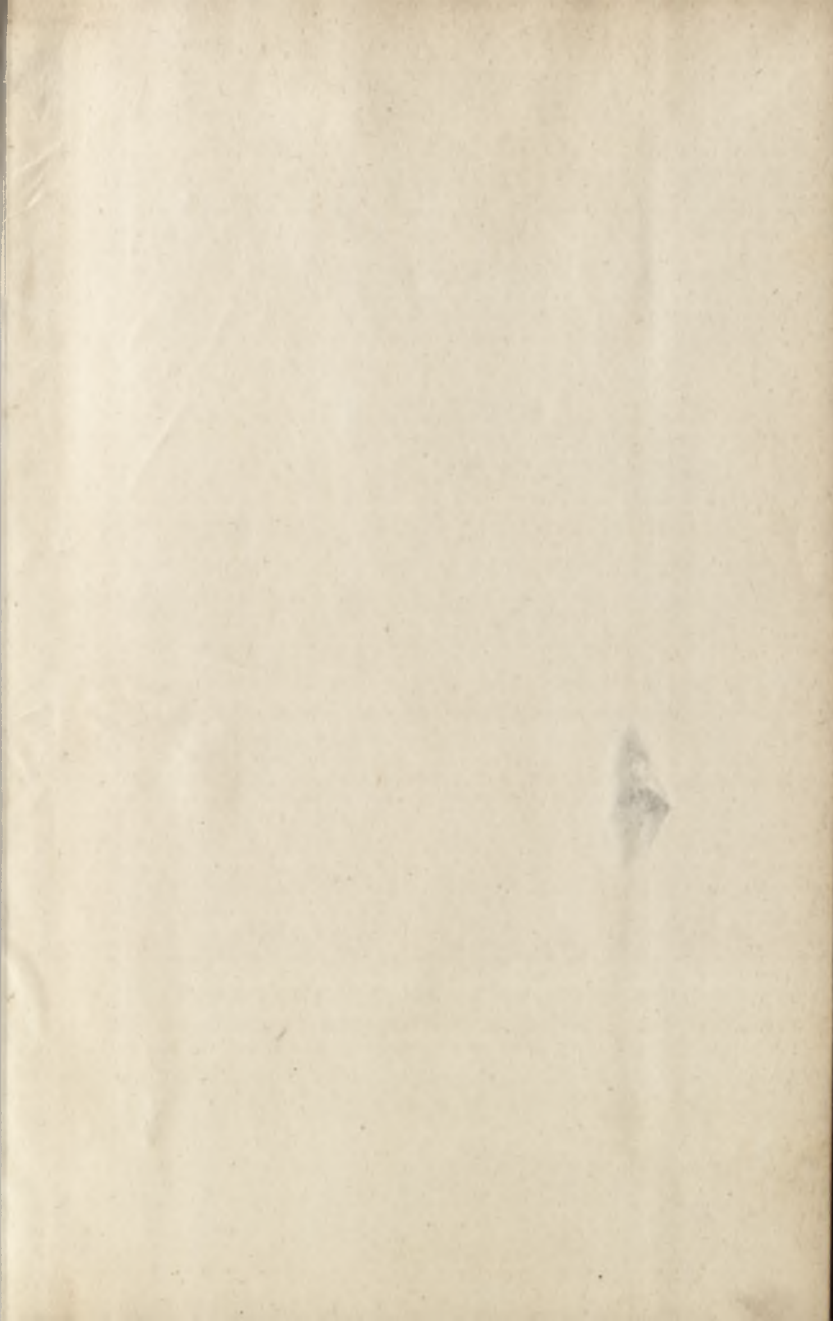


2118 BAKER

1. *...*
2. *...*
3. *...*
4. *...*
5. *...*
6. *...*
7. *...*
8. *...*
9. *...*
10. *...*
11. *...*
12. *...*
13. *...*
14. *...*
15. *...*
16. *...*
17. *...*
18. *...*
19. *...*
20. *...*
21. *...*
22. *...*
23. *...*
24. *...*
25. *...*
26. *...*
27. *...*

2119 BAKER

1. *...*
2. *...*
3. *...*



Marjan F. Lewandowski
Zakład Introligatorski
1502 W. Division St.
Chicago, Ill.

